

„ORZEŁ BIAŁY“
(White Eagle)
(L'Aigle Blanc)

Juillet—Août
1968

Cena 3/6
\$ 0.50; 2.50 F.



SYRENA

Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM

B.D.I.C

ORZEŁ BIAŁY

LIPIEC—
SIERPIEŃ
1968

Nr 48/9—1195/6



ZJAZD STOWARZYSZENIA POLSKICH KOMBATANTÓW
W WIELKIEJ BRYTANII

13 — 14 lipca 1968

F2P 2156

Następny numer „ORLA BIAŁEGO“
 ukaże się po przerwie wakacyjnej dnia
 1 września 1968 r.

W NUMERZE :

- K. Ostrowski: Idzie nowe 1
 Z. Grabowski: Na półmetku
 roku 1968 2
 J. Kowalewski: Co by było
 gdyby SPK nie było 4
 J. W. Surynowa: „Stara Polonia“ w Brazylii i Argentynie 6
 M. Tomkiewicz: Tam się też
 żyło 8
 T. Radwański: Chiny po re-
 wolucji kulturalnej 11
 K. Brzozowska: „Sto ostatnich
 dni“ 13
 K. Evans: Rzut zapoznanego
 pióra 16
 J. Ostrowski: „Uczucia“ i
 „Miłość“ św. Tomasza 17
 H. Jankowska: Śladami
 Henryka Dąbrowskiego 18
 Kage: Kronika wojskowa 19
 W. Strzałkowski: Historia
 z happy endem 20
 F. Goldschlag: Architekci
 ciała ludzkiego 22
 Z życia polskiego 25
 Dyskusja o młodzieży 26
 J. Ostr.: Notatnik kulturalny 28
 Wiślan: Kraj kontrastów 29
 W. Netter: Kanclerz
 Szachownicy 30
 J. Orłowska: Przechodniu
 powiedz Polsce 32
 S. Legeżyński: Światło
 w ciemności 34
 K. E.: Przeważnie dla Pań 36
 To i owo 37
 W. Stefański: W pogoni za
 słońcem 38

WÓDKI I LIKIERY NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI

J. A. BACZEWSKI

Lwów

1782

Wiedeń

Wiśniówka — Krupnik — Starka — Wiśniak
 Jarzębiak — Malinowa — Tea Rum — St. Bernhard

Importowane przez:

PODOLIA COMPANY LIMITED

Zamówienia kierować do:

PODOLIA CO. LTD. — 159, Waterloo Street,
 Oldham, Lanc's. Tel.: 061 MAI 4626

lub do:

J. A. BRUCE & CO. — 9, Lenthal Place,
 London, S.W. 7. Tel.: 373 5808

Żądać wszędzie

Ceny przystępne

LISTY DO REDAKCJI

„MASZ TU KADUCEUSZ... MAĆ
 NIM WODĘ MAĆ!

Szanowny Panie Redaktorze,

W kwietniowym numerze „Orla Białego“ ukazał się artykuł pióra p. Goldschlaga pt. „Czapkę wicher niesie“... Po dwukrotnym przeczytaniu jego wypowiedzi, nie mogę zrozumieć o co temu panu chodzi.

P. G. karci całe społeczeństwo za to, że nie bierze na siebie odpowiedzialności „za nasze położenie wewnętrzne i ostateczną katastrofę“. A cóż by pomogło, gdyby nawet cały naród bił się w piersi wołając mea culpa „w ostatecznej katastrofie“, skoro zmiana sytuacji była od nas niezależna.

Pan G. pisze. „w przewrocie majowym zainscenizowanym przez juntę wojskową rola partii socjalistycznej nie zasługuje na miano demokratycznej i chlubnej“.

Po pierwsze: Przewrót majowy nie był zainscenizowany przez juntę wojskową, a był rezultatem głębokiego namysłu i rozterki duchowej samego Marszałka.

Po drugie: Przypisywanie jakiejś roli partii socjalistycznej w przewrocie majowym jest dużą przesadą. Zorganizowaną akcję podjęła tylko PPS dawna Frakcja Rewolucyjna, która grupowała w większości pracowników kolejowych. Toteż b. skuteczną była dla Marszałka działalność kolejarzy, wstrzymująca transporty wojska z Poznańskiego do Warszawy. I tyle.

Skąd autor zaczerpnął wiadomości, że „Daszyński udaremniał Piłsudskiemu krwawą łaźnię posłów“, to już jest albo tajemnicą albo produktem wyobraźni.

P. Goldschlag porusza tematy historyczne, więc powinien kierować się prawdą historyczną. Niestety, w całym artykule tego znaleźć nie można.

„Lieberman szczególnie prześladowany za wystąpienie w procesie Czechowicza“. Nie za wystąpienie w procesie Czechowicza. Lieberman był socjalistą polskim tylko z racji zamieszkania w Polsce. Natomiast z przekonania był socjalistą międzynarodowym, dla którego niepodległość Polski była co najmniej obojętna. Jako poseł do parlamentu austriackiego był lojalny

wobec monarchii austro-węgierskiej, czego natomiast nie można powiedzieć o jego stosunku do suwerennej Polski. W 1920 roku znosił się z bolszewikami, zarzucano mu otwarcie zdradę, na co nie reagował. Przed postawieniem go w stan oskarżenia chronił go mandat poselski.

Autor z lekkim sercem używa mocnych słów w stosunku do ludzi, których postępowanie, choćby najbardziej słuszne, jemu się nie podoba. Nazwanie Sanojcy „najgorszym sprzedawczykiem i renegatem“ jest nie tylko nieprzyzwoite, ale i niegodne publicysty. Czy autor był świadkiem albo znani mu są świadkowie, którzy widzieli że Sanojca za zmianę przekonań albo kierunku politycznego brał zapłatę?

Nie mogę zrozumieć, skąd się u p. Goldschlaga nagle wzięła miłość do Piasta i Witos, bo wszystkie inne stronnictwa nazywa „oportunistami, kombinatorami i paszożydami“. Witos był przedstawicielem bogatego włościaństwa, a wybrany był do sejmu galicyjskiego i parlamentu austriackiego w większości głosami chłopów małorolnych w nadziei, że będzie bronił ich interesów. Z częścią tego zaufania przecisnął się do parlamentu polskiego. W krótkim czasie przekonano się, że Witos nie bronił interesów małorolnego chłopstwa, sam natomiast z całym prawie Piastem robił dobre interesy (głośne afery: Doilid, wyręb lasów państwowych, Hammerlinga). Toteż nie dziwnego, że tak wielu chłopów od Piasta odpadło.

Partie polityczne nie są wyrazem demokracji, albowiem demokracja polega na wolności jednostki ograniczonej tylko na użytek społeczeństwa zorganizowanego w państwo. Natomiast partie polityczne kierujące się doktryną partyjną ograniczają — przy pomocy dyscypliny partyjnej — wolność jednostki na swój wewnętrzny użytek. Partie polityczne to oligarchie, w których chwytają się władzy przy pomocy agitatorów. Partyjnowładztwo równa się oligarchii, a rządy partyjne w państwie są rządami oligarchów. Co tu mówić o

(Dokończenie na przedostatniej
 stronie okładki)

WIOSNA przyniosła światu więcej ważkich wydarzeń niż niejeden rok poprzedni.

Ma się wrażenie, że jakiś podniecający powiew idzie przez świat, upaja i podnieca do szaleńczych, nieprzemyślanych odruchów jednostki i społeczeństwa — reakcja na zbyt zmaterializowany świat powojenny.

W rzeczywistości jest to psychoza zbiorowa. Jej prawdziwe źródła ujawniają się dopiero w przyszłości.

Ulegają jej przede wszystkim najmniej zrównoważeni i niedojrzali. Ci którzy przez wiedzę, kulturę i doświadczenie nie zostali jeszcze uodpornieni na bodźce irracjonalne: a więc młodzież, ludy które dopiero ocierają się o kulturę i męty społeczne.

Nie oni zresztą jedni. Ludzie stojący u szczytu zdają się też temu poddawać. Politycy, mężowie stanu, profesorowie stoją bezradni, nie wiedząc jak się ustosunkować lub przeciwstawić. Tolerują więc — a nie jeden dołącza. Przywódcy wielkiej demokracji amerykańskiej wyglądają zagubieni i uciekają od odpowiedzialności. Sowiety były zrazu zaskoczony, jeżeli nie wydarzeniami, to rozmiarami jakie przybrały. Sam de Gaulle przyznaje, że się wahał czy nie ustąpić, a teraz idzie na spotkanie w pół drogi. Tito zdaje się go naśladować.

Jesteśmy pod wrażeniem dramatu jaki się rozegrał w Ameryce. Robert Kennedy, członek nowoczesnej „dynastii“ hojnie obdarzonej genami parcia ku wielkości — został zamordowany. Stało się to kiedy, śladem swego znakomitego brata, sięgał po władzę i zapowiadał śmiało przeobrażenia. Reakcja społeczeństwa po zabójstwie wskazuje, że byłby chyba wybrany. Pozostał trzeci brat i kilku z następnego pokolenia tej niezwykłej rodziny, która zdaje się być predestynowaną do odegrania, poprzez katastrofy i śmierci, przewodniczącej roli w odnowie, do jakiej ludzkość zmierza. Dzieje się to na podobieństwo tragedii greckiej.

Przedtem zginął od kuli Martin Luther King. Był on tym, który mógł być doprowadzić do pokojowego rozwiązania sprawy murzyńskiej. Zejście jego ze sceny grozi zaostreniem konfliktu, który przy obecnej atmosferze może ubezwładnić główną ostożę prawdziwej demokracji. Czy-



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM

Nr 48/1194

LIPIEC — SIERPIEŃ, 1968

Rok XXVII

IDZIE NOWE

ja ręka kierowała obu kulami jest dla nas aż nadto jasne.

Cały świat będzie czekał z zapałym oddechem na wynik wyborów nowego prezydenta, choć nie bardzo wiadomo, którego sobie życzyć. A tymczasem w Wietnamie impas, choć walki nadal trwają. Niezbyt już w Stanach liczni, którzy jeszcze nie korzystają z ogólnego dobrobytu — demonstrują. Młodzież się burzy, wygłupia w kampusach i wychodzi na ulice.

W Europie — jeszcze gorzej. Każdego kto widział polityczne popisy gwiazdorów studenckich z różnych krajów w londyńskiej telewizji, musiał ogarnąć niesmak i przerażenie na widok płytkości, nieuctwa i tupeju tych rzekomych przywódców pokolenia, które przecież ten świat po nas przejmie. Prawda, że większość młodzieży chce się uczyć i z nimi się nie solidaryzuje, ale oni, narzucają się tupetem i umiejętnym terrorem. Trzeba przyznać, że BBC starannie pozwoliło im się w oczach angielskiej publiczności ośmieszyć.

Jest wszakże sprawa, którą można do pewnego stopnia podzielać — to reforma uniwersytetów. Jest ona istotnie spóźniona. Ale oni chcą skasowania egzaminów, a bodaj że i profesorów, względnie chcą swych nauczycieli uczyć...

Czego poza tym chcą naprawdę — trudno dojść. Nie potrafią nawet zrozumieć się wysłowić i plotą białuki. Głoszą arogancko, że chcą wszystko zburzyć. Co na to miejsce ma być zbudowane, to się dopiero potem okaże. Miały to być jakiś naiwny zlepek skrajnego komunizmu i anarchii. Demokratyczne wybory uważają za burżuazyjne oszukaństwa.

Władza dla wszystkich. Ma ją narzucić siłą mniejszość. Biedacy nie rozumieją, że potem może przyjść tylko jakaś dyktatura z czym właśnie walczą.

Dążenie do stworzenia lepszego porządku rzeczy, opartego na sprawiedliwości i altruizmie, bez oglądania się na wyświechtane dogmaty, nie jest monopolem młodzieży radykalnej. Jest pragnieniem i nadzieją wszystkich. Chcemy ładu i wolności, zwłaszcza wolności osobistej. Buntujemy się przeciwko reglamentacji naszego życia przez przemożne państwo. Mamy dosyć wszechobecnej biurokracji, która miesza się do najbardziej osobistych spraw każdego człowieka. Najdrastyczniej przejawia się to tam, gdzie rządzi komunizm. Tam nawet myśl jest reglamentowana. Młodzi wyrażają protest przez naiwny bunt. Ludzie dojrzali będą musieli znaleźć na ten „malaise“ dzisiejszych czasów rozsądną odpowiedź.

Okazuje się, że nie tylko bronią można w obecnych czasach wielkie sprawy rozstrzygać. Nawet broń atomowa i cały potencjał wielkich mocarstw mogą być skutecznie zasachowane przez wolę społeczeństw i siły niematerialne. Chodzi o to, by wartości moralne parły we właściwym kierunku. Widzimy, że mogą być skuteczne.

Stwierdzenie to odkrywa przed naszą sprawą nowe widnokreśli. Nasz pęd do wolności jest tak wielki, że mogliby przełamać niejedne zapory. Będzie to możliwe, jeżeli spod kaskady wydarzeń, popłynie ich strumień w naszym kierunku.

Krystyn Ostrowski

NA PÓLMETKU ROKU 1968

TRUDNO powiedzieć, aby pierwsza połowa roku bieżącego nastrajała nadmiernie optymistycznie. W przeważnie wypadków i sytuacji mamy do czynienia z zastojem i brakiem inicjatywy, kryzys walutowy Zachodu nie jest zażegnany, morderstwo polityczne coraz bardziej podnosi głowę w Stanach Zjednoczonych, których pozycja na skutek tych zamachów została zachwiana — pozycja Ameryki jako przywódcy świata Zachodniego.

Zacznijmy od dwóch jasnych punktów, czy raczej jaśniejszych. Wspomnieć należy co najmniej o dwóch, chociaż być może w ogólnym rozrachunku wszystko kończy się na tych dwóch przykładach, jeżeli chodzi o pogodniejszą nutę. Przede wszystkim ruszyła z miejsca sprawa wietnamska i posunięta została bardzo daleko kwestia genewskiego układu o nierozpowszechnianiu broni nuklearnych. Nie jest to wiele, ale i tak musimy być wdzięczni losowi, że na tle ponurym i czarnym umieścił te dwa jaśniejsze punkty.

Pesyimiści powiedzą, że te postępy są albo minimalne, albo żadne i że paryskie spotkanie delegacji amerykańskiej z delegacją północnego Wietnamu nie przyniosło dotychczas żadnych wyników. Twierdzić oni mogą również, że jeżeli chodzi o układ genewski, to projekt amerykańsko-sowiecki spotkał się z takimi zastrzeżeniami ze strony innych mocarstw i państw, że raz jeszcze mamy do czynienia z impasem.

Takie stanowisko wydaje się niesłuszne w odniesieniu do dwóch spraw przed chwilą poruszonych. Wojna w Wietnamie ciągnęła się tak długo, a zaciągała na jeszcze dłużej, że spotkanie obu delegacji w Paryżu stanowi już przełamanie pierwszych lodów. Nikt nie oczekiwał spiesznego decyzji od konferencji paryskiej. Nie zapominamy, że swojego czasu narady Amerykanów z Północną Koreą trwały długie miesiące i co chwila zdawało się, że rokowania zostaną zerwane przez Północną Koreę. Sproszczenie do stołu konferencyjnego delegacji z Hanoi stanowi już wielki sukces. Wymuszony on został

interwencjami dziesiątek chyba osób, poczynając od Papieża, a kończąc na rządzie kanadyjskim. Te wysiłki dały jednak wynik i Hanoi po cichu uznaje, że zwycięstwo militarne nie jest do osiągnięcia ani przez jedną, ani przez drugą stronę.

Od początku konfliktu wietnamskiego i Ameryka i Hanoi wierzyły, że osiągną rozstrzygnięcie militarne. Do chwili ofensywy Wietkongu na początku roku bieżącego, wydawało się Amerykanom, że zwiększenie stanów wojskowych, jak również i nasilenie bombardowania lotniczego przyniosą ostatecznie rozstrzygnięcie. Po ofensywie Wietkongu w Południowym Wietnamie, amerykańscy szefowie zarówno na miejscu w Sajgonie, jak i w Waszyngtonie musieli wziąć uważnie pod rozwagę pytanie, czy mają ciągnąć w nieskończoność konflikt, w którym walka w dżungli jest beznadziejna przy całej nawet masie sprzętu i zaopatrzenia żołnierza amerykańskiego. Prezydent Johnson jako stary gracz polityczny zorientował się, że szanse wyboru prezydenta należącego do partii demokratycznej osłabiają się wyraźnie, jeżeli wojna w Wietnamie będzie trwała dalej. Dlatego zapowiedział, że nie przyjmie mandatu na nową kadencję: wiedział bowiem, że bez załatwienia sprawy Wietnamu, jego widoki na nową kadencję są fatalne.

Narada paryska potrwa na pewno liczne tygodnie i narazie tajemnice tej konferencji są pilnie strzeżone. Przypuszczać jednak wolno, że jest to subtelna gra dyplomatyczna, w której każda ze stron stara się zyskać nieco na terenie. Jest to partia szachów, w której każdy ruch coś oznacza, a wolno przypuszczać, że negocjatorzy obu stron odwołują się często do dwóch stolic w prośbie o nowe instrukcje. Ameryka wysłała swojego najbardziej giętkiego dyplomata — Harrimana, który ma za sobą długą karierę jako rozjemca i jako dyplomata, który jak gdyby najlepiej czuł się w atmosferze kryzysu. Poważne dzienniki amerykańskie dają wyraźnie do zrozumienia, że konferencja paryska nie skończy się jeszcze w tym roku i że największą

przeszkodą będzie udział Wietkongu w nowym rządzie Południowego Wietnamu.

Narada genewska na pewno toczyć się będzie dalej po próbach wprowadzenia pewnych korektur do projektu amerykańsko-sowieckiego. I tutaj dostrzegamy promień nadziei, albowiem uzyskanie zgody dwóch kluczowych mocarstw nuklearnych, a zatem USA i Rosji stanowi najważniejszy moment. Negocjatorzy z Waszyngtonu i z Moskwy starają się na razie nakłonić pomniejsze mocarstwa, aby dały swój placet na projekt układu nuklearnego.

A teraz punkty ciemne: Na Bliskim Wschodzie panuje dalej stan napięcia na tle niezalutwienia sporu izraelsko-arabskiego. Pozycje wyjściowe obu stron dalej nie uległy zmianie i wszelkie próby podejmowane przez wysłanników U Thanta, jak i przez stolice Zachodu, spaliły na panewce. Izrael dierży dalej wschodni brzeg Kanału Sueskiego i stara się zorganizować życie i administrację po lewej stronie rzeki Jordan. Propaganda arabska wyraźnie osłabła w swoim ferworze, a obóz arabski dalej jest skłócony, co do metod walki o odbicie zajętych terenów. Nawet jeżeli Rosja zdołała przebroić swoim sprzętem armię egipską, to i tak jej siła bitewna zależy nie od sprzętu, ale od morale. Tego na razie nie widać wśród armii egipskiej. Polityka Egiptu jest dalej zawila, ale rozumie ona, że nad pokojem na obszarze Bliskiego Wschodu czuwa flota amerykańska i że gdyby nie obecność tej floty w czasie wojny czerwcowej w 1967, to kto wie, czy Rosja nie zasilaby bardziej Zjednoczonej Republiki Arabskiej. Panuje dzisiaj przekonanie, że flota amerykańska uratowała w r. 1967 Bliski Wschód od pożogi na dużo większą skalę. Nie należy jednak sądzić, aby ta sytuacja mogła trwać wiecznie. Rosja wysłała na Morze Śródziemne długi szereg jednostek, których stan ocenia się na 60 okrętów wojennych. Po raz pierwszy w swojej historii Rosja wkroczyła na Morze Śródziemne, o czym marzyli carowie Rosji, walczący z

Turcją. Jeżeli by doszło do nowej katastrofy na Bliskim Wschodzie, to kto wie jak zachowa się flota rosyjska? Czy wesprze swoich partnerów arabskich? Czy też biernie przypatrywać się będzie jak Izrael gromi raz jeszcze pułki arabskie?

To, że nie znaleziono formuły rozwiązania problemu Bliskiego Wschodu, stanowi wielkie obciążenie możliwości pokoju. Strona arabska wydaje się bliska rozumowaniu, że jednak za trzecim razem potrafi uporać się z Izraelem i że Rosja wystąpi czynnie. Takie nadzieje są wielce niebezpieczne, albowiem trzymają narody arabskie w stanie pogotowia i wiary w cuda militarne.

Ten stan rzeczy sprawia, że Izrael nie może się rozbroić i musi łożyć olbrzymie kwoty na utrzymanie wojennego pogotowia. Problem uzupełnienia luk w dziedzinie lotnictwa nie został całkowicie załatwiony, ale istnieją domysły, że Ameryka wejdzie na miejsce Francji, jeżeli chodzi o pomoc w sprzęcie i że maszyny amerykańskie zastąpią znakomite francuskie myśliwce „Mirage“.

I to prowadzi nas do polityki francuskiej, która dokonała obrotu o 180 stopni, jeżeli chodzi o Bliski Wschód i opowiada się obecnie za światem arabskim. Oczywiście, chodzi tu o politykę oficjalną, gdyż masy francuskie mają dalej sympatie dla Izraela. Przez pierwsze półrocze 1968, Francja okazywała wielką aktywność dyplomatyczną w postaci wizyt oficjalnych de Gaulle'a w Rumunii, jego konferencji prasowej, na której przedstawił owoce swej polityki. Ale niespodzianka spadła w formie rozruchów studenckich, które przyniosły momentalnie niepokoje na szerszą skalę. Francja starała się również odegrać rolę w kryzysie monetarnym, wracając do swojej starej tezy, że waluty świata powinny mieć pokrycie w złocie. Teza ta nie spotkała się z życzliwym przyjęciem, a niebawem w okresie rozruchów paryskich, sam frank francuski przekonał się, że pokrycie w złocie nie stanowi wszystkiego i że decydującą sprawą jest zdolność produkcyjna i wiara w trwałość układu politycznego. Widmo jakiejś rewolucji, czy wojny domowej zostało zażegnane, ale de Gaulle otrzymał lekcję, że nie powinien posuwać się zbyt daleko w chwaleeniu się siłą nowej Francji —

albowiem Francja jest dalej ^{BIG} takim barometrem, który momentalnie notuje wszelkie wahania się i błędy jej przywódców. Sam de Gaulle przyznał się w wywiadzie telewizyjnym, że istniał moment, w którym chciał zrezygnować z godności prezydenta, ale masowe manifestacje na Polach Elizejskich w Paryżu i podejrzenie, że za całą robotą demonstrantów contra rządowi odkryć można rękę komunistyczną — przekonały go, że musi nadal pozostać u władzy. Nie będzie to jednak okres łatwy dla niego, gdyż nie tylko trzeba będzie podwyższyć płace i zaspokoić żądania studentów, ale wprowadzić reformy społeczne w formie udziału robotników w zyskach zakładów fabrycznych.

De Gaulle okazywał niebывałą energię jak na człowieka swego wieku, ale te interwencje, jak na przykład wizyta w Bukareszcie, oraz tezy wygłoszone w okresie kryzysu walutowego Zachodu, nie przyniosły żadnych wyników. Nie bez racji krytycy polityki de Gaulle'a powiadają złośliwie, że de Gaulle „traktuje mówienie jako samą akcję“ i dlatego tak łatwo daje się ponieść retoryce. Faktem jest, że dotychczasowe próby de Gaulle'a wobec Europy Wschodniej — z Polską włącznie — były raczej ćwiczeniami retorycznymi, aniżeli poważną akcją dyplomatyczną, która stwarza jakiś nowy układ sił w Europie Wschodniej, czy zapowiada takie zmiany.

Kryzys monetarny odbił się najbardziej niekorzystnie na Anglii, która zdecydowała się wreszcie na dewaluację funta szt. po wielu wahaniami i ociąganiach — zupełnie niepotrzebnych. Polityka Labour Party streszczała się w obronie funta szterlinga i dla tej obrony rzucono miliardy. Teraz okazuje się, że ta akcja podtrzymywania funta była bezcelowa, gdyż i tak wiadomo było, iż funt musi się zdewaluować. Tak więc, cały program Wilsona został podcięty, funt stracił na wartości o 15%, a oceny podskoczyły.

Stany Zjednoczone nie uniknęły wstrząsów kryzysu monetarnego i przez jakiś czas mówiło się o dewaluacji dolara. Na razie dolar został obroniony, chociaż pokrycie na niego przedstawia się słabo, a dawne bogactwa umieszczone w Port Knox ogromnie się uszczupliły. Ale za walutą amerykańską stoi potężna masa

produkcji. Ameryka musi pozbywać się powoli swoich długów wewnętrznych i nie może już prowadzić tak rozrzutnej polityki pomocy dla krajów zagranicznych. Kwoty na tę pomoc zostały zredukowane, a jeżeli Ameryce odpadnie kłopot wietnamski, to uzdrowienie finansowej sytuacji USA nie będzie tak trudne.

O wiele trudniejsze jest uspokojenie czarnego buntu, a zatem elementu murzyńskiego. Umiarkowanym przywódcą ruchu murzyńskiego, zmierzającego do równouprawnienia czarnych i białych, wyrwano niejako grunt spod nóg przez zabójstwo Martina Luther Kinga, który głosił ewangeliją przyjaźni i opowiadał się integracją elementu murzyńskiego nie tylko na północy, ale i na południu Stanów Zjednoczonych. Jeszcze nie ucichły echa strzałów oddanych do pastora Kinga, kiedy w Los Angeles padł Robert Kennedy. Morderstwo to wywołało olbrzymie wrażenie na całym świecie, co tylko dowodzi jak czuły jest ten świat na wszelkie wstrząsy przychodzące z Ameryki. Drugie już zabójstwo, jeżeli chodzi o ród Kennedych i nowa strata, jaką ponosi polityka amerykańska przez zejście ze sceny Roberta Kennedy'ego, wywołują zaniepokojenie, czy potęga amerykańska nie jest podminowana sporem rasowym do tego stopnia, że morderstwo polityczne jest traktowane przez pewne koła fanatyków za rzecz całkowicie usprawiedliwioną?

Pojednanie Murzynów z białymi w USA zajmie sporo lat, a wysiłki polityków takich jak Johnson, Robert Kennedy i innych, stanowiły zaledwie zapoczątkowanie światłej akcji, zmierzającej do pacyfikacji stosunków murzyńsko-amerykańskich. Bez zlikwidowania tych tragicznych różnic, które targają całym społeczeństwem amerykańskim, nie ma mowy o przywróceniu Stanom Zjednoczonym roli przywódcy wolnego świata. Ameryka ma dalej prymat jeżeli chodzi o arsenał nuklearny, i jeżeli chodzi o ogrom produkcji — ale okres ślepej wiary w Amerykę jak gdyby się skończył po drugim morderstwie na rodzinie Kennedych. Jest to wielka strata dla całego Zachodu i dla całego wolnego świata, ale trzeba sobie jasno i odważnie uprzytomnić ten fakt, aby nie ulegać złudzeniom i nie wydawać fałszywych sądów.

Zbigniew Grabowski

Co by było, gdyby SPK nie było...

LUDZI można dzielić rozmaicie. Na przykład na chodzących pieszo i jeżdżących samochodami. Albo na wesołych i ponurych. Genialny Leonardo da Vinci powiedział kiedyś, że uznaje dwa rodzaje ludzi: artystów i zwyczajnych „napełniaczy wychodków“. Tak się wyraził — tylko, że po włosku — i proszę do autora niniejszego szkicu o Stowarzyszeniu Polskich Kombatantów nie mieć pretensji, że się tak wyraża. Bo to nie ja.

„W SZCZĘŚCIU WSZYSTKIEGO SA WSZYSTKICH CELE“

Mickiewicz dzielił rodzaj ludzki na samolubów i takich, dla których „nektar żywota natenczas słodki, gdy z innymi dzielę“. Uważał, że szczęście wszystkich ludzi — nie tylko nasze osobiste — powinno być celem, do którego dążyć należy. Więcej: szczęście, jego zdaniem, jest dobrem niemożliwym do osiągnięcia w odosobnieniu, w oderwaniu się od własnego społeczeństwa. Człowiek, który zamyka się w sobie, albo w ciasnym kręgu rodzinnym — choćby i najprzykładniejszej rodziny — skazuje się na nieszczęście, na swe go rodzaju więzienie i ubóstwo przeżyć i doznań, związane z każdym więzieniem. Nie mam, oczywiście, na myśli klasztorów czy pustelników, bo oni żyją dla Boga i z Bogiem. To sprawy z innego wymiaru. Ja mam na myśli wymiary ziemskie, ludzkie.

Ludzie zdrowi, normalni dążą do pełni szczęścia. I tacy ludzie mają zdrowy instynkt — społeczny. Wiadomo, że większość chorób i zahamowań duchowych ma swe główne źródło w egoizmie, w zasklepieniu się człowieka w sobie, w życiu własnymi myślami, nie konfrontowanymi z myślami innych ludzi. Taki sposób życia przekształca się z czasem w stan maniakalny, w depresję i w szaleństwo. To są, oczywiście, wypadki skrajne. Ale między zdrowiem psychicznym, a tymi skrajnościami jest cała wielka skala — od egoizmu zwykłego tzw. „zdrowego“ po

przez stany przejściowe dziwactw i pesymizmów do tego skrajnego nieszczęścia, jakim jest życie we własnym grobie, czyli szaleństwo.

Ten luksus zamyślenia, filozoficznego, którym się z wami powyżej dzielę, nawiedził mnie, gdy się zaczął zastanawiać nad rolą Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w naszym życiu społecznym — z okazji zbliżającego się zjazdu S.P.K. — Wielka Brytania. Trudno powiedzieć, jak wielka jest ta rola. To znaczy jak bardzo wielka.

Zamknijmy oczy i pomyślmy, co by było, gdyby nie było S.P.K.? Może byłby chaos i stopniowe coraz szybsze wynaradawianie się naszych dzieci i nas samych. A może byłyby inne organizacje na wzór amerykańskiego Kongresu Polonii. Bóg wie!

W każdym razie nie byłoby: setki kół kombatantkich w Wielkiej Brytanii z 6 i pół tysiącami „aktywistów“, płacących składki i stanowiących zawsze i wszędzie zaczął wszystkich społecznych i niepodległościowych naszych akcji.

— Nie byłoby 31 społecznych, wspólnych domów kombatanta.

— Nie byłoby 27 kół sportowych, założonych i prowadzonych przy kołach kombatantów.

— Nie byłoby ok. pół setki szkół sobotnich, prowadzonych przez koła kombatantkie, uczących mowy, literatury, historii Polski, a w tych szkołach około 2.500 uczniów i 197 nauczycieli

— Nie byłoby 40 bibliotek kombatantkich z około 40.000 książek.

— Nie byłoby kilkudziesięciu zespołów dramatycznych, chórów, orkiestr kombatantkich szerzących polskość w formach może najatrakcyjniejszych — i dla widza i dla wykonawcy.

— Nie byłoby kombatantkich działów opieki społecznej — w Centrali i przy poszczególnych kołach — i poradni prawnych; a setki rodzin, czy to chorych czy mniej przy-

stosowanych do trudnych warunków życia na obczyźnie błakałoby się jak te „pijane dzieci we mgle“.

— Nie byłoby przyjaznej braterskiej współpracy S.P.K. z innymi, specjalistycznymi, by tak rzec, organizacjami społecznymi uchodźstwa polskiego, które korzystają i z gościny domów kombatantkich i z dotacji i z tak zwanej „siatki organizacyjnej — najpowszechniejszej i najrozleglejszej, bo S.P.K. jest organizacją najliczniejszą i najszerzej rozgałęzioną w W. Brytanii.

— Nie byłoby — jak w tym roku sprawozdawczym — a tak jest co rok mniej więcej — zastrzyku ok. 30.000 funtów z kas Centrali i poszczególnych kół SPK na polskie cele kulturalne i ogólnie społeczne.

— Nie byłoby — takie jest moje nagłębsze przekonanie — z takim rozmachem przeprowadzonej akcji Milenium Polski Katolickiej z jej szczytem — ponad 40-tysięcznym zlotem Polaków wielkobrytyjskich na stadionie White City, gdzie, nawiasem mówiąc, padły te wspaniałe słowa ks. kardynała Jana Heenana:

„Smutno jest wam, że jesteście uchodźcami, ale Kościół katolicki i całe społeczeństwo angielskie, wszyscy my tutaj, uważamy, że jesteśmy wzbogaceni waszą obecnością... modlimy się o uwolnienie bohaterskiego narodu spod tyranii jego komunistycznego rządu, panującego z łaski czerwonej armii“...

— Nie byłby też takim sukcesem Zjazd Polski Walczącej, zwołany w tym samym czasie, gdy w Londynie obradował VIII Zjazd Federacji Światowej S.P.K.

— Nie byłoby też z pewnością tak zdecydowanego, tak niedwuznacznego, tak pogardy pełnego stanowiska całej naszej emigracji wielkobrytyjskiej wobec wszelkich, niekiedy nawet rozpaczliwych i zgoła szalonych (patrz „Biuletyn Polonii Brytyjskiej“ nr. 2), prób reżymu, zmierzających do przeciągnięcia nas, a co najmniej zneutralizowania i znieczulenia na tragiczny los narodu w kraju.

A NA POCZĄTKU BYŁO WOJSKO...

S.P.K. to specjalny typ organizacji, to zgromadzenie ludzi uformowanych z wyjątkowo zahartowanego żelaza. Stworzyła nas wojna, uformowało nas wojsko, kieruje nami nieomylna busola — miłość kraju, do którego nie tylko nostalgicznie tęsknimy, ale któremu chcemy pomóc ze wszystkich sił, z całego serca naszego.

Znamienne jest, że pierwotna organizacja kombatancka założona, czy raczej zapoczątkowana, 25 sierpnia 1945 roku nazwała się Samopomocą Żołnierzy Polskich na Obczyźnie, a potem Samopomocą Wojska. Organizacja z takich się wywodząca tradycji musi odznaczać się wyjątkowymi cechami. Wiemy, czym było dla naszego kraju wojsko przez wieki naszego bytu narodowego. Zarówno wojsko w kraju, gdzie osłaniało nasze granice żywą tarczą, jak i wojsko polskie poza krajem — Legiony Dąbrowskiego i nasze formacje z okresu drugiej wojny — zawsze walczące z myślą o Polsce i Polsce życie w ofierze składające.

Nie ma może specjalnego dziwu, ale jest dużo szczęścia — w tym całym naszym historycznym nieszczęściu — że trzonem życia społecznego naszej emigracji jest Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, złożone z byłych żołnierzy, ludzi którzy umiając rozkazywać, umiają i słuchać: którzy poznali korzyści dyscypliny organizacyjnej — spróbujcie wygrać najmniejszą choćby bitwę czy potyczkę bez dyscypliny! A jednocześnie z ludzi, którzy zdolni są do najwyższych ofiar — dla dobra wspólnego.

Nikt może tak, jak żołnierz nie rozumie mickiewiczowskiego: „I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu, jeśli poległym ciałem dał innym szczybel do sławy grodu“. To jest istota, duch, źródło talentu w prowadzeniu spraw społecznych: złożenie ambicji na ołtarzu sprawy ogólnej. I to jest właśnie istota wojska. To że S.P.K. tak niezwykle się rozwinęło w ciągu 22 lat — jeśli nie liczyć pierwszego roku stadium organizacyjnego — to że potrafi je-

(Dokończenie na str. 6)

Orzeł Biały, lipiec-sierpień 1968

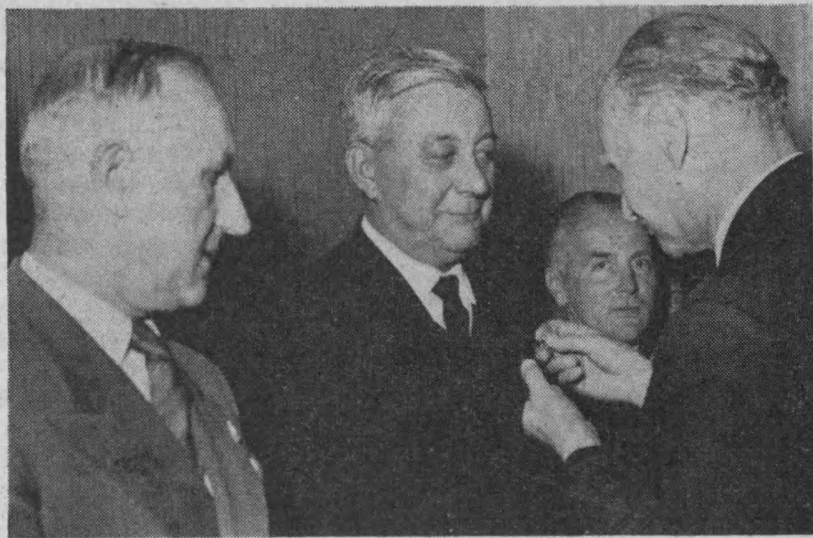
B.D.I.C



Juniorzy Komb. K.S. Polonia Bradford przed finałami w Cannoek. Na zdjęciu od lewej: S. Soboniewski — prezes SPK W. Brytania, gen. K. Głabisz — prezes Zw. Klubów Sport. i przewodniczący Rady Federacji Świat. SPK



Zespół Taneczny Szkoły SPK w Leicester



Dekoracja złotymi odznakami SPK. Od lewej: R. Badocha — prezes Koła SPK „Żbik“, K. Bieliński — b. prezes Koła SPK w Blackburn, dr W. Wierzbicki — prezes Koła SPK „Żandarm“ oraz gen. K. Ziemiński, prezes Fed. Świat. SPK

dnoczyć wszystkich, podtrzymywać upadających na duchu, łagodnie właśnie, że potrafiło dorobić się niemałego majątku i stać się światową organizacją Polaków, organizacją czynną, społecznie żywą, pozbawioną nawyków do martwej rutyny — to zawdzięcza tej swojej tradycji. Wojskowej tradycji.

KŁĘSKA REŻYMU JEST ABSOLUTNA

Ostatnio reżym podjął wielkie — i kosztowne, bo agenci i propaganda kosztują — wysiłki rozbicia nas. Zakłada dziesiątki agenturalnych grup od Odry i Nysy do ... Pacyficu. Prawdziwą dumą i radością przejmuje nas fakt, że wszystkie te zlepkę odstępców albo i głupców, z ledwością może przekraczają 100 — dosłownie stu — ludzi uważających się też za Polaków. A jeśli tak jest, to nie mała w tej permanentnej kłęsce reżymu zasługa S.P.K. Pamiętać trzeba, że reżym ma do swej dyspozycji i pieniądze i środki mocnego nacisku — po prostu policyjne: wobec naszych rodzin w kraju, wobec rodaków wyjeżdżających do kraju do krewnych i możliwości przekupywania. A mimo to jest wobec nas absolutnie, sromotnie bezsilny. Jak słyhać, reżymowe kółko w W. Brytanii już jest rozbite na kilka różnych namiętnie zwalczających się „ośrodków“ — czy raczej należałoby rzec ośrodeczków — na tle metod taktyki jaka powinna być stosowana wobec nas. Nie wiedzą, głupcy, że żadna taktyka im nie pomoże, bo my jesteśmy — my; ludzie

Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID
FRANCJA
66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.

spod Monte Cassino, spod Falaise, z tragicznie zakończonych, ale zaw sze bohaterskich walk września, z bitwy powietrznej o Wielką Brytanię, z Powstania Warszawskiego, z Tobruku.

I jesteśmy zorganizowani. O murry naszej organizacji złamią sobie zęby ludzie na usługach gomulków i moczarów.

S.P.K. jest organizacją żywotną i żywą. Życie niesie coraz to inne problemy, przynosi akcenty ważności na coraz to inne sprawy. I zawsze S.P.K. — jak to jest praktykowane w każdym dobrym wojsku — potrafi zdobyć się na zwrotność i obrotność, na umiejętność manewru i przestawienie sił z odcinka na odcinek. Były u nas najpierw sprawy po prostu bytowe, po demobilizacji. Sprawy wydawnicze — gdy nie było jeszcze ani Polskiej Fundacji Kulturalnej, ani Instytutu Literackiego. Były sprawy szkół polskich dla dzieci. Przyszły sprawy walki z dywersją reżymową polityczno-ideologiczną. I wiele innych, S.P.K. zawsze przodowało, zawsze podejmowało obronę odcinka **najbardziej zagrożonego**.

OPIEKA SPOŁECZNA

Co dzisiaj jest takim odcinkiem?

Chyba sprawa opieki nad chorymi, starcami, załamany mi psychicznie. W samym Londynie S.P.K. opiekuje się ponad setką rodaków umysłowo upośledzonych, którym nie wystarcza dać pieniądze (m.in. z przydziału brytyjskiego dla Polaków, byłych żołnierzy) do ręki. Trzeba ich poza tym ubrać, nakarmić, wystarać się o Assistant Board (niektórzy nie wiedzieli, że coś takiego istnieje). Przez biura Centrali londyńskiej przechodzą całe dziesiątki tych nieszczęśliwych ludzi. W tej chwili pięć osób stale musi zajmować się tymi sprawami w Centrali S.P.K. To już spore biuro. A potrzeby, niestety, rosną. Dochodzą sprawy opieki nad „wybierającymi wolność“, nad zagubionymi turystami z Polski, nad pokrzywdzonymi.

Pytam, co by było, gdyby nie było S.P.K. z jego 6 i pół tysiacy aktywistów (to znaczy z ok. 30.000 czynnych społeczników, licząc rodziny i przyjaciół)?

Janusz Kowalewski

J.W. SURYNOWA

„STARA

NASZA emigracja w Południowej Ameryce dzieli się na: „starą emigrację-zarobkową“ i na „emigrację nową-polityczną“. Dziś chcę napisać o emigrantach ze „starej Polonii“. Tych z Buenos Aires, Missiones, Kurytyby i Rio Grande do Sul.

BUENOS AIRES

Emigracja polityczna zjechała do Buenos Aires w maju-czerwcu 1948 roku. Jak na nich patrzyła stara emigracja, z dawna tu osiadła, znająca język i obrosła w pierze?

Dzieliło nas wiele. Mówmy szczerze — stary emigrant, który tu przeszedł piekło fizycznej pracy w chłodniach miejskich i po „campach“ całej Argentyny — patrzył na tych nowych emigrantów krzywo. Bo to wszystko byli „panowie“. Nie wiadomo było, czy nie będą zadzierali nosa ze swojego nazwiska, bohaterskiej przeszłości i wykształcenia? Okazało się jednak, że to byli przede wszystkim Polacy, tak jak oni, po największej części bez pieniędzy, jak ryby wyrzucone na brzeg.

Więc przede wszystkim współczucie i chęć pomocy jak najserdeczniejsza, dopóki nie dadzą sobie rady ci co walczyli za kraj pod Monte Cassino, w Afryce, w lotach nad Anglią, w powstaniu Warszawskim i gnili po obozach niemieckich i sowieckich.

Nieporadnie sobie poczynali, ufali znanym krajowcom; nie umieli znaleźć pracy, choć po uniwersytetach się kształcili. A przecież tym trudniej im było, że do pracy fizycznej nie byli przyzwyczajeni, a służba ni jednemu z nich przed wojną usługiwała i życie łatwym robiła. Czasem więc ten i ów ze starej Polonii uśmieiał się patrząc jak jakiś adwokat do łopaty niezręcznie się bierze. I jak pułkownik, bohater z Westerplatte, ręce sobie zdziera nad robotą tapicerską. A pan major spodnie prasować się uczy. Jak pani kapitanowa za robotnicę idzie do fabryki marmolady, a ta co w Angli, w marynarce jakies wysokie naszywki miała — w fabryce plastyków pracuje.

„Koło Polek“ w Buenos Aires spie-

POLONIA“ W BRAZYLII I ARGENTYNIE

szyło z pomocą tym nowym emigrantom. Pani Czokowa, założycielka „Koła Polek“ oko nad wszystkim miała, jako przewodnicząca. Wiedziała jak zaradzić złemu. Jak o robotę się wystarać. Znała przecież język, ludzi i miała doświadczenie zdobyte w pocie czoła. Założyła biuro pośrednictwa pracy. Ze składek zakupiła maszynę do szycia. Najpierw jedną, potem drugą. I kierowała nauką kroju. I od samobójstwa uratowała matkę jednego porucznika, co już chciała się rzucić na szyny, pod pociąg, na stacji Retiro. A zimą to i pożyczek udzielała i pierzynę posłała jednym takim co marzli śpiąc na ziemi.

A teraz już pani Czokowa, żona krawca — leży sobie na cmentarzu Chacarita, w Buenos Aires. I na grobie ma napisane, że była założycielką „Koła Polek“ i dzielną patriotką. Byłam kiedyś, przed 17-tu laty u pani Czokowej, w jej mieszkaniu na placu Italia. Ciemno tam było i niebogato. W patio stały polskie kwiaty w doniczkach. Nad kopiasto zasłanym łóżkiem wisiał obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej na tle łowickiej zapaski, a chleb leżał w zakopiańskim talerzu pięknie rzezanym w drzewie. Tyle o pani Czokowej.

A teraz kilka słów o panu Florianie Czarnyszewiczu. Znamy go z książki, które drukowały „Libella“ i „Fundacja Kulturalna“. Dziś chcę tylko wspomnieć o Czarnyszewiczu jako człowieku. Zjechał do Buenos Aires przed wielu laty. Napracował się w chłodniach, nosząc na ramionach połacie mrożonego mięsa. Pracując po campach, organizując życie społeczne starej Polonii i pisząc książki.

Na stare, zemerytowane lata mieszkał w Carlos Paz, w domku przez siebie budowanym, nad jeziorem San Roque. Był człowiekiem niezwykłej prawości. Niestety, jego odpoczynek po ciężkiej pracy, którą opisał w „Losach Pasierbów“ trwał krótko. Zżarła go choroba płuc rozwinięta w chłodniach, gdzie ludzie nawet w upał czuli się jak Eskimosi, tylko że bez futer.

Co wycierpiała Polonia Argentyń-

ska mieszkająca w blaszanych domkach Avecanedy zanim obrosła w pierze, co czuła i co myślała uwiecznione zostało przez Czarnyszewicza, o którego talencie pisały takie pióra, jak Józef Czapski, Melchior Wańkiewicz czy Michał Pawlikowski. Żyłam w wielkiej przyjaźni z tym słabochetnym człowiekiem, z czego jestem dumna.

KURYTYBA — RIO GRANDE DO SUL — MISSIONES

Jest rzeczą charakterystyczną, że nasza emigracja polityczna w Południowej Ameryce łatwiej się odosobnia, łatwiej wchodzi w kontakty z międzynarodowym towarzystwem. Nostryfikuje swoje dyplomy, żeni się nieraz z cudzoziemkami, wchodzi do tutejszej arystokracji, obejmuje katedry na uniwersytetach i czołowe stanowiska po fabrykach Sao Paulo (Brazylia). Nie znaczy to, żeby wśród emigracji politycznej nie było działaczy społecznych, organizatorów polskich słuchowisk w radio, założycieli bibliotek (Biblioteka Domeyki) w Buenos Aires), Macierzy Szkolnej, harcerstwa i Związku Studentów-Polaków, ale poza tymi uspołecznionymi emigrantami są tysiące rozproszkowanych po olbrzymim terytorium Brazylii i Argentyny i wchłoniętych przez środowisko, czasem broniących się rozpaczliwie przed wynarodowieniem i wysyłających dzieci do ośrodków polskich chociażby na wakacje.

Co innego stara Polonia w Kurytybie, Rio Grande do Sul i Misiones. Oni emigrowali gromadnie. Pochodzą z chłopów i trzymają się ziemi tradycyjnie, zachowując obrządkie religijne, zwyczaje, anachronizmy gwarowe i miłość do „macierzy“.

Pisała o tym z drugiej ręki Maria Konopnicka w swoim „Panu Balcerze z Brazylii“. Piszę o tym Roman Wachowicz w książce swej „Mara-gato“. Może kiedyś napiszę recenzję z tej książki pisanej przez nauczyciela ludowego. Dziś chciałabym tylko napomknąć jak to nasz chłop przyjechawszy po kawałek chleba do Południowej Ameryki, zagarniał ziemię, karczował ją, uprawiał, sprowadzał

dla nauki dzieci nauczyciela i budo-wał szkołę.

Zwiedziawszy się, że w Kurytybie nasi dają sobie radę, pod koniec XIX wieku coraz to nowi wygnani przez biedę z raju emigrowali za ocean. Wlekli się dalej. Przekraczali granicę, zakładali kolonie w argentyńskiej Misiones. Plantacje herbaty i ryżu. Wysłali swoich na naukę do Chin, jak tę herbatę suszyć. I teraz zalali całą Argentynę pięknie opakowanymi paczkami, lśniącymi srebrnym papierem z napisem „Te Punta de Oro“. Ci w Misiones dorobili się. Płacą składki na fundusz społeczny, sprowadzają polskich księży. Uczą dzieci po polsku. Przed wojną owacyjnie przyjmowali naszego Staszka Skarżyńskiego, po jego samotnym locie przez ocean. I są jak najbardziej Polakami.

A na pograniczu Tapiru i Palamy osiedlił się taki Wojciech Jurkowski. Chłop z dziada pradziada. Uparł się, że rodzinę postawi na nogi. Ziemia była nadzwyczaj urodzajna, pi-sze o tym Wachowicz. Krzewy winorośli rozrastały się do niebывałych rozmiarów. Pszenica, kukurydza, lucerna. Coraz większe pola wśród potężnych drzew. Ulepszył drogę kołową. Kopał rowy po zboczu góry i zwoził części do młyna. Wysadzał dynamitem skały. I doprowadził rynną wodę na mułach i koniach. Ale ten raj na ziemi miał wrogów — pszenicę napadały chmary papug, kłęską były mały i dzikie świnię. Równocześnie napadały watahy i grupy rozbójnicze. Jurkowski został ograbiony, zięcia mu zakatowano. Władze wezwane nie umiały bronić życia i mienia kolonizatorów. Morderców schwytano i wypuszczono. Wtedy Jurkowski zorganizował planową samoobronę i zwyciężył.

Takich Jurkowskich w Brazylii, takich Wachowiczów uczących z zaparciem dzieci kolonistów w Rio Grande do Sul i takich przewodniczących „Koła Polek“ i takich patriotów jak Czarnyszewicz — w Argentynie było bardzo wielu. Mówili oni jak Roman Wachowicz: „Świat jest duży i zaczyna się tam, gdzie nieraz się zdaje, że się już skończył“.

TAM SIĘ TEŻ ZYŁO (V)

MOŻE BYĆ JESZCZE GORZEJ...: Głód to też pojęcie względne, rośnie czy zmniejsza się zależnie od czasu i okoliczności. Byliśmy głodni wczoraj i jesteście głodni dzisiaj, ale zawsze teraz jesteście bardziej głodni niż przedtem, tym bardziej, że czas wyczerpał w nas resztki odporności i siły. Otchłań w środku, trudno ruszać ręką i nogą. Razem z innymi jestem pokryta pleśnią, jak ubranie wyciągnięte z walizki. Drzę jak liść, a przy najmniejszej okazji nerwy wybuchają dzikim napadem hysterii czy płaczu. Mam pretensje o wszystko i do wszystkich. Puchnę, to bolesne, rozkładam się jak szmaciana laka. Osłabiona biegunką mam stałe zawroty głowy, często mdleję. Moje zanikające uczucia wyrażają się raz w krwotokach, kiedyindziej w bólach brzucha. Wystarcza drobniak, złe słowo, żeby otworzyły się niezagojone rany i rozpałiło cierpienie, gdybym znalazła wcześniej melinę dla rodziców, gdybym zatrzymała Piotra, gdybym...

Na wolnej przestrzeni kolezastych drutów, między suszącym się podartym ręcznikiem, a dziurawymi kalesonami, rozsiadł się diabeł historii rechoce monstrum obłąkanego świata. Człowiek przez człowieka rozpięty na kolezastych drutach krwawi. Oh, nie czuć, nie myśleć, umrzeć na jakiś czas, żeby obudzić się po wszystkim.

...I LEPIEJ: Jak błędne ogniki migotały czasem przed obolałymi oczyma wiadomości o postępującej ofensywie Aliantów, o niemieckich klęskach i możliwościach wymiany. Postanowiliśmy już nie wierzyć, dosyć mieliśmy rozczarowań. A tu naraż — paczki z Czerwonego Krzyża! Słoik marmolady, 6 ementalskich serków i 70 deko kostkowego cukru, pięknie zapakowane w żółte pudełko z czerwonymi napisami. Więc ktoś o nas pamięta, nie jesteście trędowaci, co za szczęście! Niektórzy płakali z radości, odżyliśmy. Niby nie, a tak dużo, słodki list z normalnego świata, od ludzi którzy wiedzą o nas, może chcą nam pomóc. Jaka to cudowna rzecz zjeść kilka łyżeczek rozpylającej się w ustach marmolady,

albo zagryzać kawałek czarnego chleba chrupiącym pod zębami cukrem, po prostu samo zdrowie! A obrazki na serkach — błękitne jezioro i pomarańczowy domek, — jak przyjemnie popatrzeć pod brudnym kocem, w przegniłym i spłowiałym baraku.

Bobuś prosił nieomal co chwila, mamusi, kawałek cukru, a że trudno mi było odmówić, zjadł kiedyś ze 20 kostek i wszystko potem zwymiotował. Bardzo mi było żal zmarnowanego cukru, wobec czego oddałam cały swój zapas Elzie, która z kolei stała się ofiarą żarłoczności Bobusia.

Miałam w tym okresie pryczę w „salonie“, czyli blisko okna, i sympatyczne sąsiadki. Do późnej nocy prowadziłyśmy długie rozmowy, często nicując ludzkie dusze jak stare ubrania. Ciemno, tylko w środku baraku migoce światełko od małej żarówki, którą zostawialiśmy w charakterze ochrony przed kradzieżami. Leżę na ślubnej poduszce, której crepesatinowa powłoczka nabrała brudniejszego koloru, a przy mnie śpi skulony Bobuś. Elza, Bronia czy Mala wystawiają głowy z górnych pryczy, gadamy. Paryż, Żeromski, Osterwa, suknia z różowej koronki, Teresa, on zdradził, czy istnieją zdrady podczas wojny?, Rembrandt jako Charles Laughton i jako taki, indyk w porównaniu z blutwurstem, Debussy czy Tango Nocturno... Aż z dalszych rzędów zaczynają się krzyki: może już byście się tak przymknęły? Cały dzień wam mało? Salonowe damy!

Mówiliśmy, jak zemścimy się na Niemcach; czasem nawet robiłyśmy plany na przyszłość, ale to najrzadziej. Raz zaczęłam się zastanawiać, w jaki sposób zawiadomić zagranicznego kuzyna, że cała jego rodzina zginęła. Matkę zabrali, ojca zamordowali, wuja wsadzili do gazu, babcia umarła z głodu, stryj popełnił samobójstwo, braciśzek się spalił, a Różę rozwalili „granatowi“... jak to opowiedzieć? Wyobraziłam sobie, jak spojrzę na mnie kuzyn, kiedy zdam mu pełną relację i podzieliłam się swoimi wątpliwościami z sąsiadkami. Wybuchnęliśmy śmiechem, śmiałyśmy się jak szalone. Płacze

się nad stratą ojca czy męża, domu czy majątku, ale jak wszystko za jednym zamchem przestaje istnieć, to już chyba tylko śmiech zostaje. Doszliśmy do wniosku, że trudno nam będzie znaleźć wspólny język z ludźmi, którzy na własnej skórze nie odczuli wszystkich straszliwości „naszej“ wojny. I jeszcze coś: że nasz humor nie będzie ich humorem, bo w normalnych warunkach nikt nie zrozumie tego specjalnego humoru nieszczęścia.

OBOZOWY HUMOR: Oto na przykład próbka naszego humoru, wątpię czy roześmiesz cię, czytelniku, dla którego skanalizowana ubikacja jest czymś tak normalnym, że nawet nie wypada o tym mówić.

Mieliśmy w obozie 3 klozety bez drzwi, z których jeden zawsze zepsuty, a dwa przepelnione. Ktoś z nas obliczył, że brak nam 3000 klozetogodzin dziennie. Przed klozetami — przepraszam, że nie używam słowa „ubikacja“, ale to naprawdę za elegancki zwrot! — zawsze długie kolejki ludzi, każdemu pilno, przecież pęcherze i reszta organizmu nie są w porządku, a schodzi się z pryczy w ostatniej chwili, tak trudno ruszyć się.

Ze zrozumiałych względów ludzie w kolejce są bardzo nerwowi, zazdroścą szczęśliwcowi, który nareszcie dotarł do celu. Siedzący w środku nie myśli już o braciach w nieszczęściu, którzy skracają sobie czekanie odpowiednimi docinkami. „Pewno ci się śni, że jesteś na Marszałkowskiej, u siebie w domu!“, „Może gazetkę czy książkę?“. „Trzeba być ostatnim podłecem, żeby tak długo siedzieć!“, „Prędzej, już dłużej nie mogę...“

Ten w środku broni się, przecież on nie tańczy, ma zepsuty żołądek, inni nie są lepsi... Są też tacy, którzy zachowują w tej sytuacji stoickie milczenie, ci obrywają najwięcej.

No nareszcie! Nie! Wychodzący błaga „spadkobiercę“, żeby jeszcze chwileczkę zaczekał, on musi sprowadzić doktora: „Rozumiesz, dieta“, pada czarodziejskie słowo. A że każdy może znaleźć się w podobnej sytuacji, pierwszy w kolejce ustępuje, mimo

gderania pozostałych. Podnosi spodnie, przestępuje z nogi na nogę — wypróbowany sposób na wstrzymanie! — cierpliwości...

Wyrwany po raz nie wiadomo, który z drzemki, nasz „naczelný doktor“, bakteriolog z wykształcenia, toczy się na krótkich nóżkach, kiwając łysą głową. Jego spodnie są pogniecione i pełne plam. Obowiązek, któryśmy narzucili na niego, jest ciężki, niełatwo się z niego wywiązać, ma przecież do dyspozycji tylko 15 litrów diety na 350 chętnych, a w gruncie rzeczy wszyscy są chorzy.

Ludzie rozstępują się i dają mu przejść, nie można przecież zadziierać z jedynowładcą diety. Naczelný doktor wchodzi do środka, nachyla się nisko nad miską, bo jest krótkowzroczny, wpija wzrok w jej zawartość, kiwa głową, po czym krótko i dosadnie ogłasza wyrok: „Wypróżnienie niezłe, dostatecznie dobrze ukształtowane, z diety nici“. I toczy się z powrotem na pryczę, spokojny i grzeczny jak zwykle, udając, że nie słyszy złośliwych uwag, wymierzonych w... niego jak strzały.

Amator diety trzyma się za brzuch, jęcząc boleśnie, po czym wzywa dramatycznym gestem zebranych, żeby na własne oczy stwierdzili, jaka mu się stała krzywda. Ktoś z kolejki woła na bok ofiarę biegunki i szepce mu do ucha mądrą radę: „Ty osłe, dlaczego zaprowadziłeś go akurat do tej ubikacji? Trzeba było pokazać mu ten przepelniony klozet i co najgorsze w misce. Nie spodoba mu się, mówisz że omyliłeś się, i pokazujesz co innego. Niech by wtedy powiedział, że żołądek w porządku.“

A tymczasem w kolejce wspólne rodaków rozmowy koncentrują się na biegunce, diecie, zupie z trawy czy niedogotowanych liści, względnie na tabletkach węgla, jakby się przydały. Kto uwierzy, że problemy te miały dla nas większe znaczenie od bólu, tęsknot, strachu i śmierci? A przecież człowiek nie może stale żyć pod wysokim napięciem wielkich czy strasznych uczuć. Wysokie napięcie to stan przemijający, trwa dłużej czy krócej, ale musi minąć; to stan powrotny, ale życie kręci się koło rzeczy drobnych i zwyczajnych, z których składa się normalna codzienność.

W każdym razie tak było z nami, w obozie koncentracyjnym Bergen-Belzen..

NARESZCIE KAWALEK CZYZNY! W styczniu 1945 sprowadzono do nas grupę 107 „myszlingów“ z Czechosłowacji — chrześcijańskich lub ożenionych z Chrześcijankami — którzy do tej pory niewiele ucierpieli od wojny. Chłopy na schwał, dobrze ubrani, jaka różnica z naszymi mężczyznami, których męskość rozplynęła się w głodzie i strachu.

Przybycie ich co prawda jeszcze zmniejszyło nasz „lebensraum“, ścisł był wielki, ale póki Czesi byli zdolni przypomnieć nam o istnieniu mężczyzn na świecie, robiłyśmy do nich słodkie miny, na tyle ile tylko nas było stać w tych warunkach. Jeden z nich przyczepił się do mnie. Śmieszne, myślałam sobie, niewiarygodne, zdążyłam już przecież zapomnieć, że jestem kobietą. Przyjemne, doszliśmy do wniosku z kumami podczas nocnych pogaduszek. Nareszcie znów mężczyźni, którzy prawią komplementy, dostawiają się, dają nam prezenty, chociażby to był tylko kieszonkowy grzebyk czy chusteczka.

Ale ten szeroki gest myszlingów nie trwał dłużej jak kilka tygodni, akurat tyle czasu, ile wierzyli, że Niemcy dotrzymają obietnic dostarczenia im pracy w normalnych (dla nich!) warunkach. Nie upłynęły dwa miesiące, a już i oni chleptali z ziemi zupę rozlaną przez dyżurnych, i przestali zwracać uwagę na obozowe kobiety.

NIE MOŻE BYĆ GORZEJ: W końcu lutego 1945 naszych węgierskich sąsiadów przeniesiono do innych baraków, a na ich miejsce przyszło kilka tysięcy kacetników różnych narodowości, wszyscy skazani na wykończenie. Dekoracja, jak zwykle: papierowe pasiaki i łachmany, trupie twarze, wszy. Błagali o papierosa jak o życie; błagali o wodę. Niezapomniana ta noc, gdy kilku z nich przekradło się do nas przez odgięte druty. Błądziły po ciemnym baraku kościotrupy, wyciągając po omacku ręce, uosobienie ich i naszej śmierci. Ślepy strach sparaliżował nas na pryczach. To oni, więźniowie obozu koncentracyjnego, którzy mogą zginąć za godzinę w najwymyślniejszych torturach. A my? W końcu Niuta krzyknęła jasnym głosem, żeby podeszli do jej pryczy, dała im miskę kawy, spytała o to i owo. W ciepłe ludzkiego

odruchu rozplynął się strach, ustąpił paraliż, ofiarowaliśmy im co kto mógł. Mówili spokojnie, kulturalnie, ludzie w pasiakach, których chcieliśmy się jak najprędzej pozbyć z naszego straszego obozu, o tyle jednak mniej straszego od ich. Wstydziliśmy się uczucia niewysłowionej ulgi, kiedy ich skurczone sylwetki zginęły z drugiej strony drutów. Z niezwykłym zapalem i jednością nasi „panowie“ rzucili się natychmiast do naprawiania wygiętych drutów.

Mieliśmy się czego bać, bo to co się działo za drutami mogło napełnić przerażeniem najodważniejszego. Piekło nie może wyglądać inaczej, ani koszmary obłąkanych. Niezależnie od pogody, pod deszczem czy śniegiem, więźniowie stali od białego świtu na apelu, na patykach nóg, drżący z zimna, podtrzymujący jeden drugiego. Wzdłuż szeregów spacerowali strażnicy, Niemcy i kapo, wypasieni, dobrze ubrani, z żelaznymi pałkami w rękach. Szukali ofiary i prędko ją znajdowali. Nie stoi jak trzeba, nie kuca jak trzeba, albo poprostu twarz im się nie spodobała. Żelazny kij spada z całą siłą na ogoloną głowę, na rozdartą krzykiem twarz. Trask pięścią raz i drugi, człowiek osuwa się jak pusty worek, ostatnie podrygi konania uspakajają się pod ciężkim, wyglansowanym butem.

Po niekończących się godzinach apelu, ledwo już żywym ze zmęczenia, strażnicy kazali robić dla odmiany „gimnastykę“, wstań—padnij, przysiady, albo siedzieć w kucki, w równiutkich rzędach, jak monstrualne grządki jarzyn posiane diabelską ręką. Kto nie wytrzymał, a nie zliczyć ilu takich było, padał wykończony przez strażników.

Podział żywności także zamieniał się w torturę. Strażnicy wykonywali dwa systemy, obydwa odznaczające się przemyślanym chociaż nieludzkim okrucieństwem. Jeden to pozwolić wygłodzonym tłumom rzucić się na kotły z zupą. Chaos, zamieszanie, dzicy z głodu więźniowie odpychają się wzajemnie, gryzą i biją, czasem zabijają. Strażnicy stoją z boku i pękają ze śmiechu, zachęcając silniejszych i bardziej agresywnych, czasem nawet pomagają im czynnie, przy pomocy pejsza czy drąga. Bo motorem obozów koncentrac-

(Ciąg dalszy na str. 10)

cyjnych jest selekcja: silniejsi i zostają jeszcze trochę przy życiu, słabi padają, jeden po drugim, jest ich coraz mniej.

Drugi system polega na tym, że strażnik dzieli zupę wedle swego widzimisię, daje więcej i co gęściejsze tym, którzy mu się podlizują, służą mu lub przekupują go. Albo zadawalniają ich seksualne chucie, bo wśród strażników jest dużo homoseksualistów i jeszcze więcej zbrojców. Tym wybranym strażnicy nalewają zupę do misek. Reszcie albo nic nie dają, albo nalewają im rzadki, często wrzący płyn do złożonych błagalnym gestem dłoni, lub do czapek. Kto tego nie widział, nie może sobie wyobrazić widoku nieszczęśników chlepcących zupę z czapek, albo rozpostartych na ziemi i wylizujących z niej to co się wylało, czy przeciekło przez palce. Inni pożerają nieomal własne lepkie od brudu i zupy ręce. Te „posiłki“ odbywają się przy akompaniamencie bezustannych wrzasków i rechotu strażników, jęków pobitych i głodnych, oraz bicia, na prawo i na lewo. W ten sam sposób odbywał się podział innych artykułów żywnościowych. Bo porządek musi być. A więc Niemcy dostarczają żywność, a strażnicy, zgodnie z otrzymanymi instrukcjami, dzielą ją tak, by dotarła do jak najmniejszej ilości ludzi. Wykonując skrupulatnie rozkazy, strażnicy dochodzą czasem do szczytów perfidii w wynajdowaniu sposobów dręczenia więźniów. Jednym z nich jest zwracanie do kuchni pełnych kotłów, często nawet nieotworzonych, na oczach spuchniętych z głodu ludzi, męczarnia gorsza od najstraszniejszych tortur, pomysł godny króla szatanów.

Takie były dni, a noce jeszcze straszniejsze. Ciemność potęguje chaos, wzmacnia napięcie. To noce grozy, pijane krwią i śmiercią.

Skuleni jak bezpańskie psy na kamiennej posadzce, po 15 na jednej zawieszanej pryczy, na siedząco i stojąco, więźniowie starają się złapać chwilę snu, zapomnienia. Ale nie, i to im nie dane. Bo naraz noc rozdziera wrzaski strażników, wstawać, przekłęci, wyjść z baraku! A drzwi zamknięte na klucz. Ludzie rzucają się do nielicznych okienek, łamiąc przy tym ręce i nogi; Niemcy i strażnicy walą na oślep, strzelają. Strzelają i walą jak w kłody

drzewa, aż bezkształtne ciała padają na ziemię w podrygach i skrętach. Inni depcą po nich, w tłoku, po śpiechu i ustawicznym strachu; błyszczące buty kopią martwe i jeszcze zipiące ciała, drągi rozłupują martwe i jeszcze żywe głowy. Krzyki i jęki we wszystkich językach, wezwania do Boga o różnych nazwach, coraz słabsze, coraz cichsze, urwane charkotem konania. Niektórzy pytają naiwnie, dlaczego taki los? Dlaczego właśnie mnie to spotkało? Powtarzają dziecinne pytanie bez końca, jak zepsuta płyta. Powtarzają pytanie aż palka czy lufa wpakuje je im do gardła razem ze spuchniętym językiem. Dlaczego akurat ja? Dlaczego właśnie tak? Dlaczego?

Czasem słyszeliśmy krzyk buntu, jeżeli nie ja, to mój brat, mój syn, zemszczą się krwawo...

Toczy się piekielna noc jak monstrualny tank, z krótszymi i dłuższymi przerwami, żeby potem, po raz nie wiadomo który wyrwanym ze snu było jeszcze trudniej ją przeżyć. Nazajutrz wyciągają z baraków setki trupów, pokrytych krwią, nagich, czasem bez wnętrzości. Jeszcze — nie — trupy ciągną trupy, ładują je na wozy jak kawały mięsa. Wlecze się skrwawiona głowa po ziemi, Piotr, Witek? Boże, zrób żeby nie...

Leżeliśmy w te noce w naszym baraku, który stanowił przedłużenie ich, zatykaliśmy uszy, naciągali pleidy na głowę, żeby nie słyszeć, odciąć się od koszmaru po drugiej stronie cienkiego przepierzenia. Każdy z nas myślał o najbliższych, których los był nam nieznany, których los mógł być losem tych obok zza drutów. Był świadkiem zbrodni bez precedensu i nie móc pomóc nawet dobrym słowem, to paraliżuje człowieka od środka. Człowiek wstydzi się, że jest człowiekiem, robi się twardy jak kamień. Jutro może nasza kolej, na pewno nasza kolej, myślimy, i zbieramy dla tragicznych sąsiadów chleb i papierosy. Papierowo cienkie plasterki chleba, któreśmy ukradkiem rzucali przez druty, miały raczej na celu uspokoić nasze sumienia; stanowiły opiatek dla konającego w nas głosu człowieczeństwa. Czasem jasny dzień dawał komuś z nas odwagę, by powiedzieć kilka gorzkich słów kapo za drutami, o zbrodni i karze, o zemście i o litości, i że jutro będzie na-

leżało do nas, a wtedy biada im. Mówiliśmy im, nie można było nie mówić, ale sami już nie wierzyliśmy, że to jutro kiedyś nastąpi.

Zbierali się czasem kacetonicy przy drutach i patrzyli na nas obłąkanymi oczyma, apatyczni. Czasem na widok dziecka zapalał się w nich płomyk życia. Raz wysoki mężczyzna o poczciwej twarzy w bliznach i strupach rzucił się na druty, złapał pięcioletnią Bertę ze złotymi lokami, i zaczął w dziki sposób całować wystraszoną dziewczynkę. Kolce rozdrapywały mu skórę, krwawe łyzy płynęły z oczu, krzyczał, córeczko, córeczko, w znieznajym języku, w zrozumiałym dla nas wszystkich języku wspólnego nieszczęścia.

Wiosenne powietrze było przesiąknięte ciężkim zapachem krwi i gnijących ciał. Cztery piece nie dążyły pokryć dziennego zapotrzebowania na trupy. Niewolnicy kopali długie rowy, w których palono nadprodukcję trupów, przeciętnie 1000 ciał dziennie. W dołach tych były specjalne urządzenia, żeby tłuszcz zbierał się oddzielnie, przy czym część odstawiano do fabryk, a nieodpowiednią do przemysłu resztą polewano stosy ciał, żeby się prędzej paliły.

Jasne niebo Bergen-Belzen przesłoniły wstęgi czarnego dymu. Obok wozów z połciami czerwonego mięsa dla załogi, toczyły się podobne, tylko nieporównanie liczniejsze, wozy z trupami. Zmieszane kikuty rąk i nóg, kupy ogolonych lub pokrytych szczecią głów, obnażone do kości ciała, tańsze od bydłowego ludzkie mięso. Z obciążonych ponad pojemność wozów często spadały trupy, rozplaszczając się w szarym pyłe drogi. Codziennie było ich więcej tych wozów, które przejeżdżały szosą, żałobne karawany nie z tego świata. Na wozach, na ziemi, w autach, na plecach tragarzy, wszędzie trupy. Gdzie są żywi ludzie, gdzie są ludzie?, pytaliśmy siebie w głębi sparaliżowanych serc.

Jęczały kolczaste druty, płakała szosa, lała się krew z kolorowego nieba Bergen-Belzen. „Dlaczego?“, pytały dzieci. My dorośli nie mieliśmy kogo pytać. W rozbieganych falach dymu nad naszymi głowami nie było Boga. Ludzie byli tak daleko od Bergen-Belzen, że przestaliśmy wierzyć w ich istnienie. I jak nasze dzieci nie rozumieliśmy, dlaczego?!

Mina Tomkiewicz

CHINY PO REWOLUCJI KULTURALNEJ

TRWAJĄCA od blisko dwóch lat w Chinach tzw. „rewolucja kulturalna jest drugą z rzędu akcją Mao-Tse-Tunga, mającą na celu wykrycie i unieszkodliwienie swoich przeciwników. Już bowiem w jesieni 1956 r., na VIII zjeździe partii, podał on surowej krytyce postępowanie wielu członków, których styl życia był sprzeczny z marksizmem-leninizmem. Zwrócił szczególnie uwagę na rosnący wśród intelektualistów chińskich wpływ kultury zachodniej. Wychowani w większości na uczelniach zachodnich, profesorem uniwersytetów zapoznawali swych studentów ze strukturą polityczną i ekonomiczną tych krajów i swobodą wyrażania tam myśli, czemu mają do zawdzięczenia rozwój w dziedzinie ekonomicznej, i wysoką stopę życiową ludności..

ZAKAMUFLOWANA REKTYFIKACJA

Dla ukrycia właściwego celu zamierzonej akcji, Mao nadał jej hasło: „Niech zakwitnie sto kwiatów, niech sto szkół (teorii) debatuje ze sobą.“

W kołach intelektualistów nowe hasło przyjęto z zadowoleniem, toteż zgodnie z nakazem wodza, kolumny gazet zaczęły się wypełniać uwagami krytycznymi i sugestiami naprawy istniejącego stanu rzeczy. Wśród dyskutujących byli pisarze, prawnicy, ekonomiści, pedagodzy i publicyści. W sposób otwarty wyrażano zdanie, iż marksizm jest przeżytkiem i nieodpowiednią dla Chin teorią, a ideologia marksistowsko-leninowska nie może pretendować, by została przyjęta przez cały naród chiński. Wielu autorów wskazywało wyraźnie na fakt, iż nie wszystko, co jest burżuazyjne, szczególnie w dziedzinie nauk społecznych, jest złe. W sposób odważny wyrażali zdanie, że partia nie zna się na wychowaniu młodzieży na wyższych uczelniach i dowodzili, iż na uniwersytetach studenci garną się na wykłady starszych profesorów, a ignorują młodych naukowców-dogmatyków, za-

mianowanych na te stanowiska tylko z tytułu ich przynależności do partii.

Po upływie zaledwie roku, nowa chińska agencja prasowa ogłosiła, nowy rozkaz Mao-Tse-Tsunga, o zakończeniu akcji stu kwiatów. Zapowiedziano także, iż partia postanowiła wszczać kroki przeciw elementom pravicowym, które w okresie ostatniego roku ujawniły swoje antypartyjne nastawienie, a jednocześnie rozpoczęto, zakrojone na wielką skalę, usuwanie intelektualistów z zajmowanych stanowisk i wysyłanie ich do odległych prowincji, gdzie pracując wśród chłopów mieli przejść okres reedukacji na dobrych komunistów. Zakończył się wtedy jeden z typowo chińskich podstępów Mao, unieszkodliwienia swych przeciwników, nazwany dziś pierwszą fazą „rewolucji kulturalnej.“

REWOLUCJA KULTURALNA

Środki represyjne, stosowane w następnych 10 latach, najwidocznie nie zdołały osiągnąć zamierzonego celu, tj. wytepienia wszystkich, którzy, mimo presji nie chcieli uwierzyć w nieomylną wielkiego Mao. Do poderwania wiary przyczynił się nieudany drugi plan pięcioletni (1958-1962), nazwany „wielkim skokiem naprzód“, który miał przeobrazić Chinę w okresie pięciu lat w kraj wysoce uprzemysłowiony. W zbudowanych naprędce „podwórzowych“ piecach przetopiono wszystkie rezerwy posiadanego żelaza, które w rezultacie dały nieużyteczną dla przemysłu maszynowego stal. Wzrastały coraz silniej głosy ekonomistów, domagających się zmiany polityki gospodarczej partii, rosło niezadowolenie w samej partii i brak wiary w „złote myśli“ prezesa Mao. W szybkim tempie rosły szeregi antymaoistów.

W tej sytuacji kierownictwo partii postanowiło przeprowadzić generalną ofensywę przeciw wszystkim elementom zachwianym w wierze w „boskość“ Mao-Tse-Tsunga.

W jesieni 1965 r. Mao, pod pretek-

stem zmiany systemu nauczania w duchu rewolucyjnym, zamknął, na okres jednego roku, wszystkie szkoły, a jednocześnie nakazał, by miliony młodzieży rozpoczęło marsz do Pekinu, Szanghaju i innych miast celem „nabrania rewolucyjnego doświadczenia.“ Dla milionów uczniów szkół, rozkaz marszu stał się niebywałą okazją skorzystania z wielkiej ekskursji. Marsz miał im przypomnieć wielki marsz samego Mao z roku 1934, kiedy na czele 100 tysięcy swych żołnierzy przebył 6 tysięcy kilometrów, z położonej na południu bazy w Kiangsi do nowej bazy w prowincji Shensi. Jednak spuszczone na ze smyczy młodzież szkolna zamiast marszu zapełniła pociągi i autobusy, a czerwone opaski na ramieniu stanowiły namiastkę biletu. Po drodze młodzież korzystała z wolnych kwater i utrzymania rządów i komun, wpadała do biur administracji i fabryk, gdzie z miejsca przeprowadzała egzamin załóg ze „złotych myśli“ prezesa Mao, zwalniała podejrzane elementy z pracy i partii. Trudniej natomiast wypadły jej wizyty w fabrykach, gdzie dochodziło do krwawych walk z załogami, narażonymi na utratę zarobków i sprawy te kończyły się zawsze interwencją armii.

Setki tysięcy po przybyciu do Pekinu, rozpoczęło oblepianie obcych ambasad plakatami z wizerunkiem i hasłami Mao, znieważało personel ambasad i podpaliło siedzibę ambasady brytyjskiej.

W tym samym czasie Mao i jego najbliższe otoczenie rozpoczęło gwałtowną propagandę przeciw głowie państwa Liu-Shao-Shi, autorowi książki „Jak zostać dobrym komunistą“, która przez dłuższy czas, z rozkazu Mao, była obowiązkową lekturą dla mas. Określono go jako wyrzutka społeczeństwa i zdrajcę, który winien ponieść karę śmierci, a treść jego książki nazwano zatrutym zieliskiem, wprowadzającym w błąd masę chińską. Zwolniono ze stanowisk wielu wybitnych członków partii, między nimi generalnego sekretarza

(Dokończenie na str. 12)

partii Teng-Hsiao-Ping oraz burmistrza Pekinu Peng-Chen, sekretarza partii stolicy. Prezesa akademii nauk Mo-Jo, który był jednocześnie prezesem ogólnochińskiej federacji literatury zmuszono do publicznego pokajania się za rzekome przewinienia, przeciw Mao. Zniwelowano 74 letniego uczonego do publicznego oświadczenia: „wszystkie moje dzieła winny być spalone.“

KOSZTY REWOLUCJI KULTURALNEJ

Olbrzymie koszty, spowodowane nakazaną przez Mao inwazją młodzieży, nie będą nigdy znane, bowiem Chiny ludowe uniękały dotychczas ogłoszenia w ogóle statystyk gospodarczych. Za to z relacji korespondentów, którzy w okresie ostatnich dwóch lat odwiedzili Chiny i byli świadkami chaosu, wynika, iż najbardziej ucierpiał przemysł. W wielu wypadkach bitwy stoczone z Maoistami spowodowały zastoje w produkcji, a nawet chwilowe zamknięcie fabryk. Posuwająca się lawina młodzieży, po zarekwirowaniu całych pociągów spowodowała zastój w głównych centrach kolejowych w centrum przemysłu rafineryjnego TACHING. Na skutek rekwizycji paliwa potrzebnego dla zarekwirowanych przez armię kulturalną autobusów, powstał zastój w produkcji benzyny i olejów. Spadła produkcja stalowni w Anshan, która zaopatrywała kraj w 12 milionów ton stali rocznie. W portach nastąpiły zastoje w ładowaniu i wyładowaniu produktów, spowodowane nie tylko trudnościami na kolejach, ale również na skutek zwolnianych przez czerwonych gwardzistów częstych zebrań, trwających codziennie po kilka godzin, na które musiały przybyć całe załogi portów. Kapitanom zagranicznych linii okrętowych nie pozwolono zakotwiczyć statku, dopóki kapitan nie wysłuchał odczytanych mu przez tłumacza myśli Mao, nie przyjął czerwonego brewiarza i broszki z wizerunkiem wodza, którą musiał nosić w klapie munduru w czasie postoju w porcie.

NOWE MYŚLI MAO-TSE-TUNGA

Mao ogłosił z początkiem br. „Nowy strategiczny plan dla urzeczywistnienia rezultatów rewolucji kultu-

ralnej.“ W 12 punktach określił sytuację nie tylko jako doskonałą, ale zapowiedział, iż po kilku miesiącach będzie ona jeszcze lepsza. Zapowiedział również dalszą walkę z „nowoczesnym rewizjonizmem“ i egoizmem, oraz wezwał mało wiernych do samokrytyki. Walka przeciw wrogom klasowym ma być prowadzona intensywnie, a ponadto, nowe zarządzenia zmierzać będą do dalszego zrównania miasta ze wsią. Jako pierwszy krok dla osiągnięcia tego celu obniżono od nowego roku dochody pisarzy, uważanych za klasę uprzywilejowaną, jak równieżuczonych, profesorów, lekarzy, nauczycieli, urzędników oraz aktorów. Zapoczątkowana reforma uposażeń ma z biegiem czasu zniwelować dochody między pracownikami fizycznymi — a umysłowymi.

Mao wydał również rozkaz do czerwonych gwardzistów, aby przyspieszyli połączenie się w „rewolucyjne związki“ (o czym w następnym rozdziale). Okazało się bowiem, że taką unifikację przeprowadzono do końca 1967 r. tylko w 9 prowincjach z ogólnej ilości 26, co dowodzi, że do tego czasu Mao nie zdołał zlikwidować ugrupowań popierających głowę państwa Liu-Shao-tsi.

WOJNA Z FRAKCYJNOŚCIĄ

O tej wojnie doniósł korespondent Trybuny Ludu Słomkowski 12 lutego br. Píše on ostrożnie, by nie podzielić losu swego poprzednika Lulińskiego. Mimo tego dowiadujemy się z jego korespondencji, że już w jesieni ub.r. kierownictwo partii doszło do przekonania, iż rezultatem akcji czerwonej gwardii było utworzenie się w kraju dwóch wielkich obozów tj. ludzi dobrych, wiernych hasłom Mao i złych tj. reakjonistów. Reakcja kulturalna obóz tych ostatnich wzmocniła. Wyrzucono bowiem z partii i stanowisk wielu zasłużonych kadrowców, po czym znowu wielu zrehabilitowano, a co osłabiło ostry kurs rewolucji, niezależnie od faktu, że w nowej sytuacji nie można już nikomu dowierzać, do której właściwie frakcji należy. Stąd, zgodnie z nowym dekretem, rok 1968 Mao nazwał rokiem zjednoczenia poszczególnych ugrupowań. Jednocześnie zarządził, by większość młodzieży, która od dwóch lat wałęsała się po kraju, wróciła do szkół.

Misję zjednoczenia powierzył Mao armii, która wydelegowała swych przedstawicieli do fabryk i szkół, a nawet do hoteli i restauracji, gdzie wojskowi politycy rozpoczęli organizować kursy studiów myśli Mao-Tse-Tunga. Przymuszczalnie za interwencją wojska kryje się plan odesłania rozpasanej młodzieży do domu.

Akcja polityków kończy się bardzo często bez rezultatu, toteż nowym zjawiskiem są obecnie niezliczone procesy przeciw członkom „niektórych organizacji rewolucyjnych“, w których przedstawia się aresztowanych jako zwykłych kryminalistów i kontrrewolucjonistów, oskarżonych o kradzież, zbrojne napadnięcia i morderstwa, popełnione przez czerwonych gwardzistów pod hasłem niszczenia wrogów Mao.

Jak wiadomo, Chiny ludowe nie wydały dotychczas kodeksu karnego, a jedyną ustawą karną jest dekret z 20 lutego 1951 r. o działalności kontrrewolucyjnej, pod którą podpada każde przestępstwo zdolne osłabić ludowo-demokratyczny ustrój Chin, m.in. szerzenie niezgody klasowej i partyjnej. Kary są surowe, bo przestępcom grozi długoletnie lub dożywotnie więzienie, a nawet kara śmierci. W specjalnych dodatkach prasowych ogłasza się imiona osób lub całych grup zasądzonych za to, że nie posłuchały rozkazów, zawartych w orędziu wielkiego Mao.

Jak wynika z obserwacji korespondentów zachodnich, Mao pierwszą rundę, „na razie“ wygrał, ale jednocześnie wzmocnił opozycję do nowej rewolucji która może nastąpić jeszcze za jego życia.

Tadeusz Radwański

Józef Garliński

„DRAMAT I OPATRZNOŚĆ“ 18/6
„MATKI I ZONY“ 18/6
„MIĘDZY LONDYNEM
I WARSZAWĄ“ 18/6

Trzy książki, które w beletrystycznej formie wprowadzają czytelnika w atmosferę walki, zaskakujących osiągnięć i wielkiego zasięgu Armii Krajowej.

„ZIEMIA“ — opowieść 12/6

Skład główny:
GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K.
20, Queens Gate Terrace,
London, S.W.7.
i wszystkie kioski i księgarnie
polskie

„STO OSTATNICH DNI“ B.D.I.C

JAK POWSTAŁA KSIĄŻKA?

KSIĄŻKA Johna Tolanda pod najwyższym tytułem jest olbrzymią panoramą wypadków dziejowych w ostatnich stu dniach drugiej wojny światowej w Europie. Panorama ta stworzona została techniką mozaiki. Poszczególne kamyczki składające się na obraz całości — raporty z działań wojennych, dzienniki sztabowe, monografie, pewna ilość ściśle tajnych depech i osobistych dokumentów, które nie były dotychczas dostępne dla badań historycznych.

„Nawet dialogi w tej książce nie są fikcyjne“ — informuje nas autor. „Pochodzą one z odpisów, not stenograficznych i wspomnień uczestników“.

Zamiarem autora było: „...odtworzyć minione wydarzenia po upływie czasu dość długiego, aby można było zebrać materiały we względnie spokoju, zanim jednak wymrą świadkowie, których wspomnienia są przyprawą nadającą historii barwę życia i autentyczności“.

By osiągnąć ten cel — autor i jego japońska żona Oshiko przejechali ponad 100.000 mil, byli w 21 krajach (w tym — w pięciu za „żelazną kurtyną“). W więzieniu w Monachium zrobili wywiad z gen. SS Wolffem (przeprowadził on operację „Sunrise“, czyli kapitulację wszystkich wojsk niemieckich w północnych Włoszech), odwiedzili dom Bernadotte'ów w pobliżu Sztokholmu, „Shell House“ w Kopenhadze (siedzibę Gestapo i więzienie najważniejszych członków duńskiego ruchu oporu, zbombardowaną przez aliantów dla zniszczenia obciążających kartotek). Byli w budapesteskiej Cytadeli, w warszawskim Getcie, w Dachau, Buchenwaldzie, Oświęcimiu i Sachsenhausen, w Stalagu „Luft III“, Stalagu „II A“ koło Neubrandenburg, gdzie się szkolił teraz armia wschodnio-niemiecka. Zwiedzili pola bitew koło Frankfurtu nad Odrą, byli w Gdańsku, Szczecinie i Wrocławiu, W Wiedniu słuchali opowiadania majora Szokolla o zorganizowanym przez niego powstaniu przeciw Niemcom. Rozmawiali z Harriemanem w jego domu w Georgetown; mieli wywiad z Attlee'm w sali jadalnej Izby Lordów, z Bernardem Baruchem — w Południowej Karolinie, z adm. Doenitzem w pobliżu Hamburga. Otton Skorzeny i Hans Ulrich Rudel — dwaj ulubieńcy Hitlera — opowiadali im o swoich wyczynach w tym okresie czasu. Amb. Raczyński przyczynił się znacznie do właściwego oświetlenia w książce spraw polskich; Tadeusz Nowakowski

dał autorowi wstrząsający obraz wyzwolenia więźniów w Dachau przez Amerykanów. Toland korzystał również z książek „Defeat in Victory“ amb. Jana Ciechanowskiego, „The Communist Party in Poland“ M. K. Dziewanowskiego, „Rape of Poland“ Stanisława Mikolajczyka, „I saw Poland betrayed“ A. Bliss-Lane'a, „The secret Army“ gen. Bór-Komorowskiego, „An Army in exile“ gen. W. Andersa oraz „Allied Diplomacy“ Edwarda J. Rożka. Ogółem biorąc autor przeprowadził przeszło 600 wywiadów z aktorami tego historycznego dramatu, jego świadkami i ofiarami.

Jak mówi Toland w ostatnim rozdziale: „Książka ta nie mogła być napisana bez pomocy amerykańskiego Departamentu Obrony, Armii, Marynarki i Lotnictwa, jak również rządów wchodzących i zachodnio-niemieckiego, Polski, Węgier, Danii, Austrii i Jugosławii. Dziesiątki bibliotek amerykańskich i europejskich służyło mu pomocą.“

Zebrał materiały ułożył autor w formie kalendarzowej, dając obraz wszystkich wydarzeń zachodzących niemal dzień po dniu na każdym z teatrów wojny i politycznego działania. W ten sposób czytelnik przeżywa w skrócie owe końcowe sto dni, nie zagubiony jednak — jak się to działo z jednostkami podczas wojny — w chaosie niezrozumiałych wydarzeń; śledzi ich wątki, powiązania oraz skutki — jakże dalekosiężne — popełnianych wówczas błędów politycznych.

ZDRADA „WIELKIEJ TRÓJKI“

„Sto ostatnich dni“ rozpoczyna słusznie konferencja jałtańska, która wyznaczyła tory dalszemu przebiegowi wojny i sprawiła, że ostatni jej etap był nie tylko „zmierzchem bogów“ narodowo-socjalistycznych, ale również jutrzenką panowania „młota i sierpa“ nad połową Europy i wszystkich kolejnych etapów „zimnej wojny“, która trwa już 23 lata i ciągle wzmaga swe nasilenie oraz powiększa zasięg działania.

Przebieg konferencji w Jałcie, opisany szeroko przez autora z zacytowaniem wszystkich prowadzonych rozmów, znany jest czytelnikom polskim z wielu opracowań. W książce Tolanda sprawa polska — zgodnie z prawdą — wychodzi jako największa przeszkoda w porozumieniu wielkiej trójki, jako przeszkoda, przez którą wszyscy (prócz Harriamana) usiłowali się prześliznąć: Roose-

velt — biorąc za dobrą monetę kłamliwe obietnice Stalina, Churchill — obstając przy sprawie Polski z obowiązku, zdradzając się jednak z antypatią do Polaków, Stalin — obiecując wiele bez zamiaru dotrzymania czegokolwiek. Wiedział on przecież dobrze, że Polska jest kluczem do Europy, że bez Polski komunistycznej nie byłoby komunistycznych Niemiec, ani Węgier, ani Czechosłowacji, może nawet i państw Bałtyckich. Zaporą ta musiała być usunięta dla zdobycia środkowej Europy, a w dalszych zamierzeniach — i zachodniej.

Obawa Churchilla — przed zawarciem przez Rosję oddzielnego pokoju z Niemcami i nadzieje Roosevelta, że Sowiety pomogą Stanom w wojnie z Japonią, sprawiły że żaden z nich nie zdobył się na stanowczość w rokowaniach ze Stalinem, żaden nie miał odwagi powiedzieć prawdy w oczy, ani zająć nieprzejednanego stanowiska w obronie nie tylko Polski, ale w każdej rozważanej sprawie, gdzie gra szła o losy całych narodów. Na argument np. Stalina (w dyskusji o wschodnich granicach Polski), że w ciągu ostatnich 30 lat Niemcy dwukrotnie przeszli przez Polskę, aby zaatakować Rosję, żaden z jego partnerów nie wytknął mu, że w każdym z tych wypadków Polska nie istniała jako państwo: w 1914 roku wchodziła w skład cesarstwa rosyjskiego, w 1939 — została rozebrana właśnie przez Niemcy i Sowiety, tak że zarówno przed I-ą wojną światową jak i w roku 1941 — bezpośrednim sąsiadem Rosji były Niemcy. Bariera, którą mogła stanowić Polska, została przez oba te państwa za wspólną zgodą zniesiona.

ZMARTWIENIA CHURCHILLA

Autor wspomina wszystkie późniejsze niepokoje Churchilla i depeche wymieniane między nim a Rooseveltem oraz wysyłane do Stalina w tej sprawie, straconej już bezpowrotnie w Jałcie. Mówi o naiwnym idealizmie prezydenta USA, który napomykał o kolonializmie W. Brytanii namawiając Churchilla do zwrócenia Chinom Hongkongu, nie dostrzegając jednak zupełnie agresywnego kolonializmu Sowieców.

Późniejszy opór Eisenhowera wobec nacisków Churchilla, aby usiłował zająć jak największy teren Niemiec przekraczając wyznaczoną w Jałcie linię podziału, był rezultatem tych uchwał o „sferach wpływów“ wyznaczonych przez

(Ciąg dalszy na str. 14)

„wielką trójkę“. Dlaczego wylewać krew amerykańskiego żołnierza w walce o ziemię, które trzeba będzie oddać Rosji? Barbarzyństwa krasnoarmiejców w Budapeszcie i Wiedniu były rezultatem uchwał jałtańskich. Dzięki nim Rosjanie zajęli Berlin, jakkolwiek gen. Simpson robił już ostateczne plany ataku na stolicę. Zrozpaczony Bradley, który wezwał go do Wiesbadenu, powiedział mu natychmiast po wyjściu z samolotu: „Chcę powiedzieć panu to zaraz. Musi się generał zatrzymać. Nie możecie iść dalej. Musicie się cofnąć za Elbę“. Nie pomogły protesty Simpsona, że w ciągu 24 godzin mógłby być w Berlinie. Decyzja Eisenhowera była nieodwołalna. Churchill kołatał później do Trumana o zajęcie Pragi przez Pattona. Miasto to, zdaniem Bismarcka, stanowiło klucz do Środkowej Europy i Churchill dzielił tę opinię. I w tej sprawie Eisenhower wyjaśnił prezydentowi, że „czerwona armia ma doskonały punkt wyjściowy do zajęcia Czechosłowacji“ — i że — „z pewnością dotrze wcześniej do Pragi od gen. Pattona“. Narodowemu Komitetowi Rewolucyjnemu w Czechach pomogła w wypędzeniu Niemców „Ruska Armia Wyzwoleniowa“ gen. Własowa która, wypowiedziawszy służbę Niemcom, kierowała się na południe, aby kapitulować przed zachodnimi aliantami. Autor zna i wspomina dalsze tragiczne losy tej armii.

Toland notuje również inne błędne posunięcia aliantów. Po niefortunnym przełamaniu w Ardenach („Battle of the Bulge“) Churchill powziął decyzję przeprowadzenia operacji „Thunderclap“ (uderzenie pioruna), czyli bombardowania niemieckich miast dla zwiększenia terroru. Operacją tą chciał za imponować Rosji po chwilowym niepowodzeniu. Rezultatem tej akcji było zburzenie zabytkowego Drezna, nie mającego specjalnego znaczenia strategicznego, i śmierć w płomieniach 130.000 ludzi.

WYZWALAJĄCY I MŚCICIELE

Czytelnik poznaje również kolejne etapy ofensywy toczącej się na terenie III Rzeszy, reakcję ludności na przyjęcie wyzwolicieli od zachodu i mścicieli ze wschodu. Cytuje autor apel Ehrenburga do sowieckich żołnierzy: „Niemieckie miasta nie mają duszy... wszystkie okopy, groby i rowy wypełnione trupami niewinnych idą na Berlin... buty, trzewiki i pantofelki dziecinne zamordowanych i zagazowanych w Majdanku ma-

CZYTAJ

POLSKĄ

KSIĄŻKĘ!

szerają na Berlin... Nie wolno nam niczego zapomnieć...“ Nie wszyscy żołnierze czerwonej armii czytali te zachęty do zemsty, ale większość praktykowała je jako osobiste porachunki z nieprzyjacielem, inni — jak przypuszcza autor — kierowali się prymitywnym instynktem barbarzyńców, którzy mają prawo pohulać w zdobytym kraju. „Komm, Frau“ („Chodź, kobieto“) — były to słowa najczęściej słyszane po wkroczeniu wojsk rosyjskich. Bardzo często nie kończyło się na gwałcie; na drzewach pod Berlinem spotykano często trupy kobiet zgwałconych, z poderżniętym gardłem i powieszonych za nogi. Protestującemu przeciw gwałceniu kobiet, „wyzwolonemu“ jeńcowi amerykańskiemu, powiedział spokojnie krasnoarmiejec: „Wszystkie kobiety niemieckie są własnością Sowietów“.

GENERAŁOWIE PRZECIW GANGSTEROM

Czytelnik poznaje również ściśle przebieg wydarzeń w Kancelarii Rzeszy, później w bunkrze pod jej ruinami, skąd wychodziły do dowódców najniecierpielnicze rozkazy: bronięcia pozycji, do których obrony nie mieli ani wojska ani amunicji, czołgów i samolotów, ani nawet paliwa; całkowitego niszczenia kraju, aby zwycięzcom pozostawić „nagą ziemię“.

Z protokołów rozmów toczonych przez Hitlera i jego najbliższych doradców z generałami, którym naczelny wódz wydawał niewykonalne rozkazy, wylania się obraz dwóch grup: wyższych dowódców wojskowych (Guderian, Heinrici, Wenck, Modell, Manteuffel i inni), mających poczucie odpowiedzialności za kraj, wojsko i przyszłość narodu, oraz gromady gangsterów czy obłąkańców, jak Goering, Bormann, Goebbels, Himmler i Keitel — nazywany przez kolegów „lokajem“ — zapatrzonych ciągle w na wpół już przytomnego wodza, który wciąż jeszcze chciał kierować losami wojny do ostatecznego zwycięstwa, mimo że stracił całkowicie poczucie rzeczywistości.

NIE BĘDZIE ODDZIELNEGO POKOJU

Śmierć Roosevelta obudziła w bunkrze wielkie nadzieje: na pokój, na zerwanie zachodnich aliantów z Rosją i obrócenie wszystkich sił sprzymierzonych łącznie z Niemcami przeciw Sowietom, marzenia które miały się wkrótce rozwinąć całkowicie. Truman nie był miękkim idealistą na miarę Roosevelta i nie był człowiekiem chorym jak prezydent U.S.A. w Jałcie, kiedy przyszło mu decydować o dalszych losach świata, a Harriman był właściwym człowiekiem

do wprowadzenia go w stan rzeczy na politycznej arenie. „Moim zdaniem“ — informował nowego prezydenta — „stojmy przed barbarzyńską inwazją Europy. Musimy zdecydować jaką postawę mamy zająć wobec tych nieprzyjemnych faktów“. Uważał jednak, że można będzie osiągnąć bazę działania z Rosjanami. „Będzie to jednak wymagało ponownego rozpatrzenia naszej polityki i porzucenia wszelkich złudzeń, że rząd sowiecki będzie działał zgodnie z zasadami, które stosuje cały świat w sprawach międzynarodowych“. Te właśnie zasady nie pozwoliły Trumanowi na zawarcie oddzielnego pokoju z Niemcami, ani tym bardziej na współdziałanie z dotychczasowym wrogiem przeciw niewygodnemu sojusznikowi.

PRZEPOWIEDNIE

Rzecz dziwna, ale właśnie dwaj fanatycy, Goebbels i Hitler, dojrzeli jasno przyszłość, którą miała przynieść współpraca Zachodu z Sowietami. Goebbels napisał w swym artykule „Rok 2000“:

„Jeżeli naród niemiecki skapituluje, Sowiety zajmą... cały wschód i południowy wschód Europy łącznie ze znaczną częścią Niemiec. Przed tym olbrzymim obszarem, wraz ze Związkiem Sowieckim, zapadnie żelazna kurtyna... Reszta Europy wpadnie w chaos polityczny, będący tylko okresem przytłumionym do nadejścia bolszewizmu...“

A Hitler prorokował w ostatnim ze swych prywatnych przemówień w dniu 2 kwietnia 1945 r., że tylko dwie światowe potęgi wyłonią się po klęsce Niemiec — Ameryka i Związek Sowiecki. „Prawa historyczne i geograficzne zmuszą te dwie potęgi do próby sił — albo na polu wojennym, albo też na ekonomicznym i ideologicznym. Te same prawa sprawią, że niewątpliwie obie te potęgi staną się wrogami Europy“. Dalej wróżył, że w tym współzawodnictwie oba te mocarstwa będą pragnęły oprzeć się na narodzie niemieckim, który nie powinien pozwolić aby którykolwiek z tych obozów narzucił mu rolę pionka.

POLSKA — ŻYDZI — JUGOSŁAWIA

Żadne działanie natury politycznej lub wojskowej, żadne wydarzenie mające wpływ na losy wojny nie zostało przez Tolanda pominięte. W wypadku, kiedy korzenie zagadnienia sięgały lat wcześniejszych, autor przedstawił cały jego przebieg od początku.

Tak np., mówiąc o problemie polskim nie ograniczył się do przebiegu wypadków od konferencji jałtańskiej. Polska w ciągu lat wojny była zawsze ością w gardle współpracy aliancko-sowieckiej i imię tego pierwszego sojusznika Wielkiej Brytanii wspominał jest przez

autora bezustannie. Siegnął Toland do winowajców zbrodni katyńskiej i zatuszowania tej sprawy przez rząd angielski dla uratowania współpracy z Sowietami. Cytuje protest gen. Andersa, który „odegrał tak wspaniałą rolę w zdobyciu Monte Cassino“. Mówi również o powstaniu warszawskim, w którego upadku Sowiety odegrały walną rolę.

Jakkolwiek w owych stu dniach zaledwie garstka Żydów pozostała przy życiu z wielomilionowej rzeszy tępionej z zaciętością przez lat przeszło cztery, przy omawianiu pertraktacji Bernadotte'a z Himmlerem i wysiłków dr. Felixa Kerstena (masażysty Reichsführera) w celu uratowania choć części tej garstki, autor sięga do źródeł owej tragedii, zwanej „ostatecznym rozwiązaniem zagadnienia żydowskiego“. Pierwobodźcem do nienawiści Hitlera w stosunku do Żydów były nieudolnie sfalszowane przez rząd carski tzw. „Protokoły Mędrców Syjonu“. One to, wraz z psychicznymi urazami, mentalnością półinteligenta i nadmierną pobudliwością nerwową, stały się przyczyną tragedii narodu żydowskiego i cofnięcia cywilizacji ludzkiej wstecz o tysiące lat.

Mówiąc o Jugosławii — daje autor krótki przebieg historii tego kraju od I wojny światowej, naświetla konflikt między płk. Michajłowiczem — monarchistą — a Józefem Brozem (Tity) — komunistą wyszkolonym w Rosji. Informuje o tragicznym losie Michajłowicza, opuszczonego przez Anglię. Cytuje przy tej okazji rozmowę przeprowadzoną w Moskwie między Stalinem a Walterem (jeden z pseudonimów Tity). Stalin namawiał wówczas Tity do zwrócenia tronu królowi Piotrowi aby nie było tarć między Sowietami a zachodnimi aliantami, których pomoc była jeszcze Rosji bardzo potrzebna. Na gorący protest Tity, uważającego, że takie poświęcenie byłoby po prostu zdradą, Stalin wyjaśnił uspokajająco: „Nie musicie oddawać mu tronu na zawsze. Przyjmijcie go chwilowo. Potem, w odpowiednim momencie, możecie wbić mu noż w plecy“. Tito odrzucił jednak to „wygodne“ rozwiązanie sprawy.

HITLER

I JEGO NAJBLIŻSI POMOCNICY

Autor charakteryzuje wszystkich najbliższych współpracowników Hitlera, zajmując się szerzej Bormannem, „szarą eminencją“ Olimpu nazistowskiego, i Himmlerem który, będąc tchórzem nie mogącym nigdy zdobyć się na decyzję, awansował w „tysiącletniej Rzeszy“ z właściciela kurzej farmy na właściciela fabryk śmierci na całym zajęętym przez Niemców obszarze europejskim. Sam Hitler był obląkańcem, któremu wytre-

sowany do posłuszeństwa naród powie- rzył najwyższą władzę i przez kult dla niego i przez wbijany mu od pokoleń mił o „Herrenvolku“, niekiedy zaś po prostu z obawy przed Gestapo, ponosił do końca niemal największe ofiary i pełnił najgorsze zbrodnie. Nazizm wy dobył z narodu niemieckiego, z jego najgłębszych pokładów duchowych, wszystkie siły zła. Tragedią naszą jest, że do pomocy w walce z szatanem wezwano Belzebuba i potraktowano go jak Michała-archaniola.

KIEDY ZACZEŁA SIĘ „ZIMNA WOJNA“?

Toland nie ma złudzeń co do Sowietów. Nie żywił ich również co do Stalina podczas wojny, w której — jakkolwiek o tym nie wspomina — musiał brać jako młody człowiek udział. Patrzył na „Old Joe“ jak na gangstera bez czci i sumienia, podkreśla obecnie wszystkie jego zdrady i kłamstwa. Charakterystyczny jest w tym względzie opis drugiej kapitulacji Niemiec w dniu 8. maja 1945 roku. (Pierwsza nastąpiła 7 maja w Reims. Podpisał ją gen. Jodl, a przyjął Eisenhower). Na żądanie Stalina druga kapitulacja miała odbyć się w Berlinie. Alianci wydelegowali w tym celu marszałka lotnictwa Sir Arthura Teddera. Ze strony niemieckiej miał złożyć podpis marsz. Keitel.

W ciągu pięciu godzin, które Tedder i jego delegacja musieli czekać na przyjęcie u Żukowa, w innej części Berlina pouczano oficerów sowieckich: „Weźcie wszystko z zachodniego sektora Berlina. Czy rozumiecie? Wszystko!! Jeżeli nie możecie czegoś zabrać — zniszczcie. Nie zostawcie niczego dla aliantów. Żadnej maszyny, żadnego kózka do spania, nawet nocnika, do którego mogli by siusiać“.

Można by powiedzieć, że od tego chwalebego przemówienia wiernego sojusznika zaczęła się zimna wojna, ale byłoby to nieprawdą. Zaczęła się już wcześniej — w Jalcie? Jeszcze wcześniej — w Teheranie? A może sięgnąć trzeba dalej, do czasu kiedy Sowiety wspierały dzielnie Hitlera w latach 1939/41?

Opowiem tu fakt, który miał miejsce w Białymstoku, w zimie 1940/41. Było to w teatrze polskim prowadzonym przez Aleksandra Węgierkę, dokąd przysłano z Mińska politruka. Oczom spędzonego na widownię zespołu ukazała się ogromna mapa, na której dominowała Rosja europejska i azjatycka, zamalowana krwawo czerwonym kolorem. Niemcy i reszta Europy przycepienie były do niej jak mała, niekształtna narośl na ciele wieloryba.

Politruk mówił o dotychczasowym przebiegu wojny, o olbrzymim tonażu, który Anglia traciła wówczas na skutek ataków niemieckich łodzi podwodnych i który — jak stwierdził ze złośliwym uśmiechem — idzie na pastwę ryb. Zakończył swój wykład pytaniem: „Który z tych gerojów zwycięży? — I dodał po chwili: „Może przyjdzie trzecia siła, wielka i nietknięta, i zbierze owoce ich walki. A moim marzeniem jest, aby Sowiety sięgały po Gibraltar“ — Zauważwszy zdumione spojrzenia słuchaczy, dodał z filuternym uśmiechem: „Tak, Takie mam imperialistyczne marzenia“.

Może należałoby sięgnąć jeszcze dalej, do roku 1920-go, kiedy Polska walczyła w obronie własnej i całej Europy, a dokerzy angielscy odmówili załodowania broni potrzebnej do tej walki?

Wojna nazywana „zimną“ jest zawsze gorąca — i trwa właśnie od owego 1920-go roku do chwili obecnej, a społeczeństwa zachodnie walnie się przyczyniły i przyczyniają teraz do tego, aby na mapie globu ziemskiego zapanował niepodzielnie kolor czerwony.

Książkę Tolanda warto przeczytać. Amerykański „Look Magazine“ określa ją jako „najważniejszą książkę napisaną dotąd o drugiej wojnie światowej“. Autor należy niewątpliwie do tych ludzi na Zachodzie, którzy mają oczy szeroko otwarte.

Krystyna Brzozowska

THE LAST 100 DAYS. John Toland.
Arthur Berker Limited, 20, New Bond
Street, London, W. 1. Str. X, 622, 8 tabl.
zdjęć poza tekstem.

ZBRODNIA
KATYŃSKA
W ŚWIETLE DOKUMENTÓW
z przedmową
WŁADYSŁAWA ANDERSA
Cena: 35/-

THE CRIME
OF KATYN
FACTS and DOCUMENTS
Cena: 37/6

KSIĘGARNIA S.P.K.
20, Queens Gate Terrace,
London, S.W. 7.

PODSTAWĄ ISTNIENIA PISMA
JEST REGULARNIE OPŁACA-
NA PRENUMERATA

RZUT ZAPOZNANEGO PIÓRA

KSIĄŻKA Czesława Dobka „Drugi Rzut“*) nie jest jego pierwszym „rzutem“ literackim, gdyż przede wszystkim ma poza sobą niepokojącą, niezrozumiałą dla wielu, tragiczną i piękną książkę pt. „Na ratunek gołębiczy“, potem powieści drukowane w odcinkach „Dziennika Polskiego“ i chyba dotąd nie wydane, nie mówiąc już o szeregu opowiadań, recenzji i esejów — czyli tak wielu literackich poczyni, że — gdyby miał inną publiczność — byłby równie znany wśród swoich, jak Anglikom znany jest Alan Sillitoe, piewca — podobnie jak Dobek — niedoli szarego człowieka.

Na Alanie Sillitoe poznał się brytyjski wydawca. Na Czesławie Dobku poznała się paryska „Kultura“ i za to należał się temu wydawnictwu wyrazy naszej szczerzej wdzięczności.

Natomiast na autorze „Drugiego Rzutu“ nie poznało się społeczeństwo polskie może z dwóch powodów: pierwszy to ten, że w ogóle nie lubimy czytać. Dawniej lubiliśmy, owszem, ale później przestali. W roku 1940 każdy numer „Wiadomości“, które zaczęły wychodzić w Londynie już w lipcu tego roku (a na ich kupno nieraz niejednego z nas prosto nie było stać) — był czytany od pierwszej strony do ostatniej z nabożeństwem, z namaszczeniem, w zachwycie. Było to bowiem **polskie słowo**.

Nieco później na szkockich „bilietingach“ po postojach, miasteczkach czy obozach, łamiąc się opłatkiem podczas tej pierwszej, drugiej czy trzeciej Wigilli na wygnaniu rodziny i przyjaciele ofiarowywali sobie polskie książki. Wydawnictwa Colina były rozchwytywane, nie starczało nakładów, a każdy polski autor — dobry, średni, czy nawet zupełnie przeciętny — stanowił dla nas, idących do Polski i wspólną więź i pewność naszej tutaj tymczasowości. Dawał nadzieję, krzepił, był potrzebny.

Aż wreszcie z biegiem czasu naszych rozczarowań i coraz to bardziej przebijającej się w świadomości polskiego żołnierza i uchodźcy prawdy, iż jednak do ojczyzny nie domaszujemy może tak prędko — nasze polskie słowo powoli przestawało być magią i potrzebą.

Zaczęliśmy kupować domy, zakładać interesy, nostryfikować dyplomy, prowadzić biura paczkowe, pracować na nocnych szychtach w fabryce kauczuku czy biszkoportów. Zaczęliśmy nie mieć czasu na polskie słowo.

Dzisiaj po upływie ćwierć wieku od chwili gdy dla wysłuchania polskiego

odczytu tłoczyliśmy się na korytarzach, bo na sali nie było już miejsc, polskie społeczeństwo przestało już kupować książki. Co najwyżej pożyczka je od tych szaleńców, którzy zamiast nabyć „Premium Bondsy“ kupują taną serię wydawnictwa Polskiej Fundacji Kulturalnej. Polskich książek wychodzi coraz mniej, a wydanie każdej z nich to akt odwagi ze strony wydawcy, albo akt rozpaczki ze strony piszącego, który wydaje na własny koszt, bo chce i **musi** powiedzieć co przez te wszystkie lata naszego oderwania się od ojczyzny przemyślał, do czego dojrzał i czym się może z nami podzielić.

Pisarze z Polski, którzy wyjechali z kraju, mają o wiele większe szanse. To bowiem, co słowami swymi przekazują nam **stamtąd** jest o tyle ważniejsze od tego co się działo tu. Może. Ale talenty znajdziemy po obu stronach barykady. A lęk przed wynarodowieniem się jedynie tutaj jest uzasadniony. Gdyby każdy z Polaków zamieszkujących Anglię kupił tylko jedną książkę rocznie — ilość sprzedanych egzemplarzy urosłaby (o ile angielskie dane statystyczne nie zmieniły się na przestrzeni ostatniego roku) do 140.000. Licząc skromnie po dwa tysiące nakładu każdej książki — 70 polskich książek rocznie zasililoby nie tylko polskość naszych domów, ale może i z czasem literaturę światową. Skąd bowiem wiemy, jakie perły, jakie unikatki leżą po szufladach ludzi, którzy w warunkach wolnej ojczyzny byłiby dzisiaj nazwiskami o ustalonej literackiej sławie?

* * *

Nie przypominam sobie, aby o książce Dobka „Na ratunek Gołębiczy“ wydanej przez Oficynę Poetów i Malarzy znalazła się w naszej prasie chociażby jedna recenzja. Dlaczego? Prawdopodobnie dlatego, że prawie nikt jej nie kupił, i mało kto czytał. A przecież, powtarzam, choć trudna, była to książka niecodzienna i nieprzeciętna.

W tomie opowiadań, wydanych przez Instytut Literacki „Kultura“ Dobek już nie jest autorem tragicznie pisanej podwójnej narracji „Gołębiczy“. Tym razem pisze o nas, o wszystkich tych, którzy w pierwszych trzech latach wojennej nadziei karmili się polskim słowem jak manną, aby potem już tej manny nie potrzebować. W 11-tu nowelach Dobek pokazuje nam szarych ludzi, nadal patriotycznych i polskich, będących już jednak przede wszystkim — i słusznie społeczeństwem, które musiało się jakoś urządzić na nowe życie. W opowiada-

niach Dobka znajdziemy typy dobrze nam znajome, które jednak dopiero on uwypuklił nam tak znakomicie. Jest bowiem piewą naszego rozczarowania, naszej małości i naszej, najczęściej nie-podejrzewanej przez nas samych — szarej, ubogiej wielkości.

Pierwsza nowela, od której tom wzięty swój tytuł — jest wprost znakomita. Nie chcę opowiedzieć jej treści w najsurowszym nawet skrócie, gdyż opowiadanie to każdy powinien sam przeczytać.

Dla kontrastu i subiektywnie — „Śmierć cudza“ jest dla mnie mistrzowskim podpatrzeniem życia. Jest w tym opowiadaniu coś niezamierzenie okrutnego, coś co drzuca i przyciąga, prawdziwy klejnocik z naszego wiecznie aktualnego skarba moralnej niedoli.

Dla wielu bowiem niedola stała się już tylko pojęciem moralnym, ostatnim ukłonem w stronę tego wszystkiego, za cośmy się na obcej ziemi znaleźli, ostatnim wyrzutem sumienia po zakupieniu jeszcze jednego bondsa, zamiast polskiej książki.

Naturalnie, nie wszystko podoba mi się w nowelach Dobka. Nie ma chyba na świecie takiego czytelnika, któremu by się podobało absolutnie wszystko w ulubionej przez niego książce.

Otóż w „Cudzej śmierci“ nie podoba mi się, że autor osłabia efekt początkowego dialogu przez nazywanie korpulentnej paniusi, której żalobny kapeluszek wciąż spada na oczy — „panią“ a nie kobietą, czy nawet „niewiastą“. Nie jest ona i nie może być „panią“.

Drugi drobny zarzut odnosi się do opowiadania „Dwadzieścia ton brudnej bielizny“: „Roześmiał się, pokazując spróchniałe zęby“... „Ileż to razy i w ilu powieściach czytaliśmy dosłownie to samo zdanie? Bez owych „spróchniałych zębów“ opowiadanie i tak byłoby doskonałe.

„Drugi Rzut“ to książka o rzeczywistości, która w końcu dogoni nas wszystkich, nawet tych dziarskich i młodych, tych, którzy zaczęli iść za starszymi, a doszli całkiem gdzieindziej. Bo powieści Dobka nie są już prawdą dla naszych dzieci. Dlaczego? Oto co mówi Dobek:

„... Z drugiej strony szyku doskonałego trójkąta kroczyli tamci. Dostojni, wiekowi, drobiący małymi kroczkami, potykający się o groby, skrzętnie wymijający marmurowe obeliski. Prowadził ich wielki starzec, którego głowę muskał zimny wiatr, obsmukający ją z resztek białych włosów.“

„A zewsząd za tamtymi pierwszymi (Dokończenie obok)

*) Instytut Literacki, Paryż, 1968.

„Uczucia“ i „miłość“ św. Tomasza

Gigantyczny zamiar przetłumaczenia na język polski „Sumy Teologicznej“ św. Tomasza z Akwinu posuwa się zdecydowanie naprzód. Inicjator tego przedsięwzięcia, ks. dr Stanisław Bełch zdołał już dobrać tłumaczy i wydać od r. 1962, w ciągu 6 lat, ogółem 11 tomów, czyli po przeciętnie dwa tomy rocznie, z ogólnej ilości przewidzianych 36 tomów. Zatem rzec można, że 1/3 dzieła dokonana. O wszystkich poprzednich etapach tej wielkiej epopei przekładowej czytelnicy pisma byli informowani. Warto więc na chwilę zatrzymać się na obecnym etapie, który obejmuje ukazanie się dwóch, może najbliższych sercu każdego z nas, najbardziej ludzkich traktatów. Pierwszy dotyczy „Uczuć“, drugi cnoty „Miłości“.*)

„Uczucia“ są — jak wiadomo — „motorem działań ludzkich i twórczości duchowej“. Odgrywają w życiu ludzkim i w całej konstrukcji Sumy, która jest też traktatem filozoficznym, rolę szczególną. Tym więcej, że św. Tomasz w wszechobejmującym system myśli chrześcijańskiej, bardziej niż jakikolwiek inny myśliciel, włączył pełny traktat o

*) Tom 10: „Uczucia“ przełożył Jan Bardan z K.U.L. i prof. o. Feliks W. Bednarski, O.P. „Veritas“, Londyn, 1967, 363+3 nl. s.

Tom 16: „Miłość“ przełożył ks. Andrzej Głazewski, „Veritas“, Londyn, 1967, 382+4 nl. s.

biegli inni, szarzy, siwi, zakutani w chustki, pozawijani w palta, Srebrne i rude lisy przedwojenne, jesionki z aksamitnymi kłapami, kapelusze borsalino, niesione w zziębłych rękach...“.

Nasi synowie nie noszą płaszczy z aksamitnymi kłapami tak niedawnego jak przedwojenny kroju. Młodzi w kurtkach na błyskawiczny zamek, lub edwardiańskich surdutach dorabiają się coraz to nowych bondsów czy akcji, zmieniają second-hand samochody ojców na nowe „Cortiny“. Tak też być powinno. Ale dobrze by było, aby w bocznej kieszeni nowego auta młodego inżyniera, który z matką przed snem mówił po polsku, a w angielskiej szkole, która mu dopomogła wyjść na ludzi — śpiewał „God Save The Queen“ — znalazła się także, obok drogowej mapy i polska książka. Także i książka Czesława Dobka.

Klara Ezans

wszelkich postaciach działania ludzkiego, czyli to, co dziś traktowane jest przez uczonych świeckich jako odrębna dyscyplina zwana prakseologią. Formalne uznanie tego faktu nastąpiło właśnie z okazji ukazania się angielskiego przekładu „Traktatu o dobrej robocie“ prof. T. Kotarbińskiego, pt. „Praxiology — An introduction to the science of efficient Action“.**)

W tym bowiem wydaniu na jednym z pierwszych miejsc w bibliografii obcojęzycznej wymienienia się dzieło św. Tomasza z Akwinu w przekładzie angielskim.

Wielu ludzi szuka wytycznych dla swego życia w filozofii świeckiej lub religijnej, i łatwo może trafić na obfitą literaturę o roli uczuć we własnym życiu wewnętrznym i w stosunkach z bliźnimi. Całe systemy filozoficzne były na tym opierane. Francuski filozof, René Decartes, przez Polaków Kartezjuszem zwany, napisał swój słynny traktat o uczuciach duszy (Sur les passions de l'ame — tłumaczony jako „traktat o namiętnościach“). Wiadomo, że szedł tutaj szlakiem wytyczonym przez stoików starogreckich, a mimo, że brał się do dzieła znacznie później od św. Tomasza, istnieje uzasadnione przekonanie, wśród współczesnych filozofów, jak np. u dr. Jana Franciszka Drewnowskiego, wybitnego znawcy to-

**) „Prakseologia Tadeusza Kotarbińskiego“, „O.B.“, Nr 20/1167 z marca 1966 str. 35-37.

mizmu, że jednak wywiązał się z zadania znacznie gorzej od swego poprzednika. To świadczy, że dzieło św. Tomasza w tym zakresie bynajmniej nie przebrzmiało.

Tom o cnotie „Miłości“ należy do dalszej części „Sumy“, w której momenty etyczne i społeczne są mocniej zaznaczone. Ten drugi tom, tak jak i pierwszy, zaopatrzone jest w bogaty aparat pomocniczy, w postaci komentarzy, odnośników, bibliografii i spisu terminów oraz skorowidza rzeczowego, które razem stanowią rodzaj dalszego przyczynku do tomistycznego słownika terminologicznego.

Z przedmów dowiadujemy się pewnych danych o dotychczasowym poparciu, jakie wydawnictwo to uzyskało ze strony subskrybentów, których jest ponad 600. Okazuje się jednak, że aby dzieło szczęśliwie doprowadzić do końca trzeba ich jeszcze co najmniej 400. Tym bardziej, że w miarę czasu praca przekładowa przybiera na intensywności, i w najbliższych latach przewidziane jest ukazywanie się po 4-5 tomów rocznie. Wykończenie tego wydawnictwa w ciągu ok. 10 lat w warunkach emigracyjnych i bez pomocy zewnętrznej byłoby rekordem olimpijskim. Wówczas przyjdzie czas nie tylko na głębszą naukową ocenę przekładu, ale i na drugi etap w pracy Polaków polegający na uwspółcześnieniu wykładu nauki św. Tomasza.

Jan Ostrowski

Go wysłać teraz?

Po co pudłować skoro poinformuje najlepiej najnowszy biuletyn TAZABA ★ ★ ★ (TRZY GWIAZDY)

„POLO“ bluzki, z kołnierzykiem lub „Golfy“? Ortaliony? Jeżeli — to tylko dobre i z wszystkimi „szykanami“ bo dobry gatunek najlepiej się oplaca.

OSTRZA do golenia „Gillette Super Silver“, kalkulujące się u TAZABA: £1 ca: 500 zł., sprzedają się „jak bułki“ po 12—15 zł. za sztukę (ciężko 75 gr. za sztukę). Łącznie z wysyłką: 50 szt. 29/6; 100 szt. 55/-; 500 szt. £12,15.0; 1000 szt. £22.15.0.

Biuletynami ★ ★ ★, najnowszymi cennikami najbardziej aktualnych leków angielskich, niemieckich, szwajcarskich i doświadczeniem 20 lat służy

Największy na świecie Polski Dom Wysyłkowy

TAZABA

22, ROLAND GARDENS, LONDON, S.W. 7.

100 EAST 10th STREET, NEW YORK,

TEL. ALGONQUIN 4-4161

20 RUE LEGENDRE, PARIS 17e. — TEL. WAG 0045

ŚLADAMI HENRYKA DĄBROWSKIEGO

(W 150 ROCZNICĘ ZGONU)

CZYTAJĄC niedawno wydaną w Kraju monografię Gabriela Zycha, dochodzimy do przekonania, co potwierdzają również inne źródła — że zasługi twórcy Legionów nie zawsze były należycie ocenione przez jemu współczesnych. Przeciwnicy — a miał ich wielu — wyolbrzymiali błędy, jakie popełniał w pierwszej fazie swego pobytu w armii polskiej, umniejszając równocześnie chlubne czyny, którymi odznaczył się w późniejszych latach. A chociaż wyżej wymieniony autor wylicza szczegółowo i bardzo pochwalnie wszystkie bitwy, jakie Legiony stoczyły pod dowództwem Dąbrowskiego, jednak nawet jego monografia, mimo swej pozornej bezstronności, uwypukla często zupełnie zbyt — czynnie ową rzekomą „niemieckość“ generała, oraz mylnie pociągnięcia, spowodowane niedostateczną znajomością spraw własnej ojczyzny.

W 150-tą rocznicę śmierci chciałabym tu tylko nakreślić szkicową sylwetkę Dąbrowskiego jako człowieka, z jego „powszednimi troskami i poczynaniami, z którymi, rzecz prosta, Legiony są nierozdzielnie związane“.

Jan, Henryk Dąbrowski urodził się w 1755 r. w niedaleko Krakowa położonym Pierzchowcu, posagowym majątku swojej matki. Zofia Lutow miała wprawdzie nazwisko obce, gdyż przodkowie jej pochodzili z Kurlandii, jednak od wieków osiedli w Polsce, przyjęli język i obyczaje swej wybranej ojczyzny. Ojciec przyszłego generała, Jan Michał, służył wprawdzie w armii saskiej, ale znajdowało się tam też wielu innych Polaków, co było naturalnym następstwem dawniejszej łączności Rzplitej z tą dynastią.

Henryk, który po wczesnej śmierci matki spędził dzieciństwo u babki Lutow, wychowany był w duchu polskim a języka niemieckiego nauczył się dopiero mając lat jedynaście, kiedy to ojciec zabrał swoje dzieci w okolice Drezn, gdzie pułk jego był stacjonowany. Po bardzo fragmentarycznej nauce szkolnej, w następstwie czego pozostała Dąbrowskiemu na całe życie pasja dokształcania się, został przyjęty do pułku księcia Albrechta, w którym jego ojciec dosłużył się stopnia pułkownika. W 1776 zakochał się Dąbrowski w córce kolegi ojca, Gustawie Rackel, tym razem już istotnie czystej krwi Niemce, której uroda i wesołość podbiły serce młodego oficera. Na przeszkodzie rychłego połączenia się zakochanej pary, stanęła tzw. „Wojna Sukcesyjna“ w której niespełna

20-letni oficer zapoznał się z gorączką bitew. Niespodziana śmierć Henrykowej ojca opóźniła jeszcze o rok datę ślubu tak, że dopiero w 1780 roku mogli się wreszcie pobrać. Wkrótce Dąbrowski został przeniesiony do Drezn, gdzie przydzielony do przybocznej gwardii Elektora, prowadził wraz z żoną życie niezmiernie światowe i wystawne.

Rok 1792 jest początkiem „polskiego“ okresu przyszłego wodza Legionów. Porzuciwszy armię saską, wstąpił on do szeregów własnej ojczyzny i został mianowany wice-brygadierem pierwszego pułku kawalerii wielkopolskiej. Sprowadziwszy żonę i dwoje dzieci do Poznania, zabrał się z właściwą mu energią do reorganizacji powierzonej sobie części armii narodowej.

Akces do Targowicy oraz późniejsze wstrzymanie się wraz z całym pułkiem od natychmiastowego udziału w powstaniu Kościuszkowskim, oto dwie mylne decyzje, za które Dąbrowski będzie szarpany za życia i po śmierci.

Kiedy w kwietniu 1794 r. powstanie Narodowe objęło Warszawę, Dąbrowski na czele swego pułku udał się do stolicy, gdzie postawiony przed Radą Wojenną, musiał odpowiadać na zarzut niesubordynacji. Oczyszczony z winy mową obrończą Wybickiego, zajął należne mu miejsce w społeczeństwie polskim. Udział w obronie Warszawy, a zwłaszcza bohaterki wysiłek na odcinku Powązek, umocniły jego pozycję moralną.

Okupacja pruska skłoniła Dąbrowskiego 19 lutego 1796 r. do opuszczenia wraz z 14-letnim synem Warszawy, skąd udał się do Paryża. I już w miesiąc po wysłaniu swej koncepcji legionowej do rządu francuskiego, otrzymał zezwolenie na uformowanie kadr wojska polskiego w północnych Włoszech, gdzie znajdowała się baza operacyjna armii Bonapartego.

Zanim jednak Legiony zdążyły wystąpić w czynnej walce, już w 1797 r. został zawarty pokój w Campo Formio, i Dąbrowski z pierwszym Legionem, który liczył kilka tysięcy żołnierzy, został odkomenderowany do Rzymu, dokąd też przyjechała jego żona z resztą dzieci.

Pokój europejski nie trwał długo. W listopadzie 1798 r. rozpoczęły się znowu walki na terenie Włoch. Żona Dąbrowskiego, uciekając z zagrożonego Rzymu, umarła z wycieńczenia. Dziećmi zaopiekowali się współtowarzysze tej ciężkiej przeprawy, gdyż Dąbrowski zdobywał tymczasem laury na czele swoich Legionów.

Okres pokoju, który nastąpił po 1801 roku wypełniał Dąbrowski spisywaniem autobiografii, w której usiłował usprawiedliwić swoje początkowe pomyłki. Wojna 1805 r. rozpoczęła się bez jego udziału. I dopiero epilog tych walk miał być najchlubniejszym okresem jego służby dla krajn. Zdobycie Tczewa na czele pułków wielkopolskich w 1807 r., było ukoronowaniem tej wspaniałej epopei.

Kiedy w tymże samym roku pokój został podpisany w Tylży, Dąbrowski wycofał się z życia publicznego i zamieszkał w przydzielonym mu przez Napoleona majątku Winogóry. Wkrótce potem, bywając często w niedalekim Poznaniu, poznał tam i poślubił Barbarę Chłapowską, młodszą od niego o lat 30 córkę posła na Sejm Czteroletni. I tak w spokoju i szczęściu domowego ogniska doczekał Dąbrowski 1812 roku. Mimo, że miał wówczas lat niemal 60 i był bardzo wyczerpany trudami wojennymi, postanowił jednak wziąć udział w wyprawie Napoleona na Moskwę, która miała się skończyć tak tragicznie. Pani Barbara, wiedziona jakimś dziwnym przeczuciem, udała się śladem Wielkiej Armii, dziesiątkowanej zimą i udręką długiego marszu. Wreszcie odnalazła męża w Pleszczańskim szpitalu, gdzie generał leżał już od tygodnia z ciężkimi odmrożeniami. Energetyczna kobieta, nie zważając na protesty, kazała zawiniętego w futra ułożyć na saniach i zabrała do Winogóry pod własną opiekę.

Przedzielona niewielu miesiącami spokoju, podczas których Napoleon uzupełnił swoją armię, zbliżała się data rozstrzygającej „Bitwy Narodów“, i ostateczna klęska Wielkiego Cesarza pod Lipskiem w 1813 roku.

Kiedy po dramatycznym zgonie księcia Józefa, Napoleon powierzył Dąbrowskiemu naczelną dowództwo nad polskimi wojskami, generał przyjął zupełnie obojętnie to spóźnione odznaczenie. Był zbyt wielkim realistą, żeby mieć jeszcze złudzenia.

Kongres wiedeński, przerwany krótką błyskawicą Napoleona z wygnania na Elbie, dał nam w wyniku parodię niezależności w postaci Królestwa Polskiego, utworzonego w czerwcu 1815 roku. Dla Dąbrowskiego, który swą polityczną koncepcję opierał na związku z Zachodem, nie było miejsca tam, gdzie w imieniu cara rządził wielki książę Kon-

(Dokończenie obok)

Stopniowe zmniejszanie brytyjskiego potencjału wojennego i, co za tym idzie, roli W. Brytanii w międzynarodowych rozgrywkach, które — w myśl planów ministra obrony Healey'a — ma być kontynuowane, nie ogranicza się tylko do wycofywania sił brytyjskich z baz położonych na wschód od Suez i redukcji „armii Renu“ w Niemczech. Powoduje ono także likwidację lub komasację różnych dowództw, oddziałów, arsenałów, stocznii naprawczych, jednostek rezerwowych itd., obcinanie zamówień nowego sprzętu, wreszcie niestanne kurczenie się ilości zgłaszających się ochotników. Ta „ewolucja w dół“ obejmuje wszystkie części sił zbrojnych (z wyjątkiem piechoty morskiej), choć siły państw komunistycznych niestannie się unowocześniają i dysponują coraz większymi kredytami, choć Ameryka jest wojną w Wietnamie mocno związana i choć wystąpienie Francji z wojskowej organizacji NATO front zachodni dotkliwie osłabiło.

Tegoroczny preliminarz resortu obrony (2.271 milionów funtów) jest wprawdzie formalnie o 66 milionów większy od zeszłorocznego, ale de facto jest dość znacznie mniejszy, gdy się weźmie pod uwagę dewaluację funta, ko-

stanty. Po otrzymaniu tytułu wojewody, usunął się więc w zacisze Winogóry, gdzie w 1816 r. urodził mu się najmłodszy syn Bronisław.

Dwa lata pogodnej szczęśliwości przy boku dobrej i troskliwej żony, wróciłby twórca Legionów dawne siły i energię i byłby jeszcze mógł żyć długie lata, gdyby nie fatalny wypadek. Wracając z Krakowa wiosną 1818 roku, Dąbrowski upadł tak nieszczęśliwie przy wysiadaniu z powozu, że uszkodził źle zagojona na nodze ranę. Wywiązała się gangrena, do której dołączyło się zapalenie płuc. Nie było ratunku. I tak Henryk Dąbrowski zakończył życie 6 czerwca 1818 roku.

Zaledwie przebrzmiały echa mów pogrzebowych, oddające cześć zasługom zmarłego, kiedy Ignacy Prądzyński, najbliższy przyjaciel generała, wydał następną i oczerniającą Dąbrowskiego „Pamiętniki“, które stały się podstawą ataków wielu przyszłych historyków.

Jednak ponad chór tych nieprzyjanych głosów wzbijać się zawsze będzie napisana przez Józefa Wybickiego na cześć zwycięstw włoskich pełna nadziei pieśń „Jeszcze Polska nie ginęła...“. Śpiewana od półtora wieku przez wszystkie pokolenia, została ona uznana jako polski hymn narodu, unieśmiertniający równocześnie pamięć twórcy Legionów.

nieczność nabywania coraz bardziej skomplikowanego, ergo i droższego sprzętu oraz nieuchronne podwyższenie żołdu.

Wszystkie te czynniki oraz stosunkowo wysoka stopa zarobkowa na rynku cywilnym, nie mówiąc już o pacyfistycznej agitacji wśród młodzieży, powodują tak raptowne zmniejszanie się zgłoszeń ochotników, że stany liczebne sił zbrojnych topnieją szybciej, niż plany ministra Healey'a przewidywały.

Tak np. w marcu br. zgłosiło się do marynarki wojennej zaledwie 191 ochotników, do wojska 793, a do lotnictwa 322, czyli w sumie o blisko 900 mniej niż w marcu 1967. Ponieważ podobny niedobór cechował także większość poprzednich miesięcy, stopniały w ciągu roku stany liczebne marynarki wojennej i piechoty morskiej (mimo zwiększenia tej ostatniej) do 79.890, czyli o blisko 2.000, wojska do 154.630, czyli o blisko 6.000, wreszcie lotnictwa do 92.480, czyli o ponad 3.000. Cyfry te nie obejmują wprawdzie oficerów, pomocniczej służby kobiet i młodzików poniżej 17 lat, niemniej są bardzo wymowne. Zwłaszcza, że szczególnie z lotnictwa oficerowie przedwcześnie się wycofują, zaniepokojeni nie tylko jego obecnym stanem, ale także planowanymi redukcjami.

Stan lotnictwa lądowego, które pod koniec wojny miało ok. 9.000 samolotów bojowych w pierwszej linii, jest szczególnie niepokojący. Podług pisma „Air Pictorial“, które jest organem Ligi Powietrznej i utrzymuje kontakt z centralą R.A.F., stan sprzętowy lotnictwa lądowego stopniał do 460 samolotów bojowych, w tym aż 144 przestarzałych l. bombowców „Canberra“, 96 przestarzałych ciężkich bombowców „V“, 50 tłokowych „Schakleton“ i 204 myśliwców „Lightning“, „Javelin“ i „Hunter“, spośród których tylko „Lightning“ mogą od biedy dorównać sowieckim „Mig — 21“, które posiada już 14 państw komunistycznych lub z nimi zaprzyjaźnionych. Nie dziw, że prasa brytyjska bije z tego powodu na alarm. Zwłaszcza, że nie wiadomo, kiedy nowoczesne „Phantomy“, „Harriery“ i „Jaguary“ zastąpią przestarzałe typy i że (wobec zrezygnowania z niepewnych amerykańskich „F — 111“) przewiduje się ich tylko 310, nie licząc rezerwy sprzętu. Na razie, podług korespondenta „Daily Telegraph“, komandora Donaldsona, R.A.F., który pod koniec wojny zajmował drugie miejsce w świecie, nie tylko nie może się równać z lotnictwem amerykańskim i sowieckim, ale także nie dorównuje lotnictwu chińskiemu, fran-

cuskiemu, niemieckiemu, polskiemu, czechosłowackiemu, szwedzkiemu czy japońskiemu i spadł do poziomu lotnictwa włoskiego, indyjskiego, północno-koreańskiego czy tureckiego. Stan ten jest tym bardziej niepokojący, że postępy na polu dalekosiężnych rakiet („Blue Streak“ czy „Black Arrow“) są znikome, że zlikwidowano już dowództwo lotnictwa myśliwskiego, że przewidziane jest zrezygnowanie z lotniskowców w latach siedemdziesiątych i że obcięto do połowy R.O.C., czyli królewski korpus obserwacyjny.

Planowana modernizacja sprzętu wojska (przez wprowadzanie czołgów „Chieftain“, nowych dział panc. 105 mm. armat 155., rakiet panc. „Swingfire“, rakiet plot. „Rapier“ itd.), przedstawia się lepiej, choć i ona jest hamowana niedostatecznymi zamówieniami z zagranicy. Za to ma być zredukowana brygada spadochronowa o 1.600 chłopca, a kompania spadochronowa gwardii ma się skurczyć do plutonu.

Marynarka wojenna wprawdzie też się kurczy i bądź zlikwiduje jedną ze swoich czterech stocznii naprawczych, bądź je zmniejszy i na wyspecjalizowane przeorganizuje, ale za to ma już 6 niszczylieli uzbrojonych w rakiety i 3 okręty podwodne z raketami „Polaris“, z których „Resolution“ już przeprowadził wystrzelenia w zanurzeniu, a ponadto bodaj otrzyma wcześniej świetne amerykańskie samoloty „Phantom“ niż lotnictwo lądowe i wprowadza ulepszoną wersję „Seacat“. Przykry despekt spotkał w maju jej fregatę „Brighton“ (tak samo jak fregatę niemiecką „Köln“) w islandzkim porcie Reyk'avik, gdy demonstranci, protestujący przeciw wojnie w Wietnamie i juncie greckiej wdarli się na pokład i nie tylko rozpylili na nim czerwoną farbę, ale nawet zawiesili flagę czerwoną, zanim zostali przez zaalarmowaną załogę za burę wyrzuceni. Okręty amerykańskie, holenderskie i norweskie, również w tym porcie zakotwiczone, uniknęły tego wstydu.

Kage

Kazimierz Schleyen LWOWSKIE GAWĘDY

Cena: 30 sh.

D o n a b y c i a :

Gryf — Księgarnia SPK,
20, Queens Gate, Terrace,
LONDON, S.W. 7.

HISTORIA

KAZIK Romanowską był naprawdę inteligentnym człowiekiem, co nie tak często pomimo wszystko w świecie się zdarza. Już w Warszawie przed wojną odznaczył się jako świetny mówca na popisach retorycznych Uniwersytetu Warszawskiego, a studiując prawo zagłębił się w kodeks Justyniana, w sentencje Ulpiana i inne prawnicze mądrości ku satysfakcji swych surowych profesorów i został asystentem Prawa Rzymskiego, gdy miał zaledwie lat dwadzieścia. Odnosił wreszcie sukces, uzyskując doktorat za pracę, w której porównał dwie instytucje „matrimonium cum manu” i „matrimonium sine manu”, tak, że nawet stary profesor Koschenbar-Lyskowski, niesłychanie wymagający miał dla niego słowo pochwały. Jednym słowem, przyszłość jego zapowiadała się świetnie i Kazik nie miał najmniejszej wątpliwości, że po pobycie w Hadze, gdzie jako stypendysta Funduszu Kultury miał studiować funkcjonowanie Trybunału Międzynarodowego zostanie profesorem i luminarzem polskiej nauki.

Wszystko to zmieniła wojna. Właśnie miał wyjeżdżać do Holandii, gdy został zmobilizowany, a potem z kolei ranny i po dramatycznych przygodach, przedarciu się do Francji i po walkach internowany w Szwajcarii. Tam też czasu nie tracił i przez kilka lat nauczył się kilku obcych języków m.in. i japońskiego, a także logiki matematycznej i geologii na kursach zorganizowanych w obozie, które mu pomogły zapomnieć o nudzie egzystencji. Wreszcie znalazł się i w Anglii i myślał, że z takimi kwalifikacjami jakoś uda mu się urządzić. W tym wypadku jednak zawiodła go jego przysłowiowa inteligencja. Na próżno go koledzy o niższym wykształceniu, lecz większym sprycie ostrzegali: — Ty, Kazik nie bądź głupi. Prawem Rzymskim daleko nie zajdziesz, a i ta twoja logika matematyczna na nie się nie zda. Tu trzeba myśleć, to nie uniwersytet, jak mawiał pan sierżant Bryła. —

Kazik jednak nie chciał wierzyć. Jak to, tyle mądrości i wszystko to na próżno! Nie, to niemożliwe! Polskie dyplomy są przecież wysoko cenione, jakaś praca na angielskim uniwersytecie się znajdzie. Zaczęło się pisanie podań, na które istotnie otrzymywał kurtuazyjne odpowiedzi, pełne pochwał dla swych kwalifikacji i obietnic na bliżej nieokreśloną przyszłość. Że jednak żyć jakoś trzeba, Kazik musiał się postarać o jakąś pracę, jak się pocieszał, tymczasową. W Labour Exchange kiwano głowami nad jego curriculum, ale się nie kwapiono z jakąś sugestią i tak miały tygodnie, w czasie których pobierał zasiłek bezrobotnego, godzinami wy-

stając w kolejkach. Raz jednak niepozornie wyglądający urzędnik popatrzył na niego w zamyśleniu i zrobił mu propozycję:

— Mamy pracę „kitchen portera” — 4 funty tygodniowo, jak pan chce, to możemy panu dać skierowanie. Na samą wzmiankę o tej tak skromnej pozycji, redukującej się do obowiązków noszenia kublów z niedogryzkami lub brudną wodą twarz Kazika oblała się purpurą. Jakto, jemu proponują takie zajęcie, jemu Doktorowi Prawa Warszawskiego Uniwersytetu, nie to wprost nie do uwierzenia! Podziękował z łodową grzecznością urzędnikowi i wycofał się z godnością.

Dnia tego jednak był zupełnie duchowo rozbity, nie chciało mu się wracać do pustego pokoju i błakał się po mieście, a gdy wieczorem przechodził przez jeden z mostów na Tamizie ogarnęła go taka rozpacz, że rzuciłby się w ciemną otchłań, gdyby nie silna wiara religijna, wpojona w dzieciństwie, która go powstrzymała od tego szaleńczego kroku. Nie wiedząc, co robić zaszedł do jakiegoś pubu, mając nadzieję, że może alkohol pozwoli mu na chwilę zapomnieć o dręczącej go zgrzyzocie. Tu zupełnie niespodzianie spotkał swego kolegę z wojska, Wojtkę Rokickiego, który go witał serdecznie i hałaśliwie:

— No, chłopie co porabiasz? Gdzie profesorujesz? Na jakim uniwersytecie? —

Te słowa jowialne kolegi zabrzmiały w uszach Kazika, jak bolesna ironia. Oczywiście, od Wojtki nie można było wiele wymagać. Wykształcenie jego ograniczało się do minimum. Głosem zbolałym odpowiedział więc mu swe perypetie, co przyniosło mu pewną ulgę. Wojtek wprost nie mógł się wydziwić:

— Jakto, ty człowiek nauki, tak się marnujesz, nie, to niemożliwe!

— Niemożliwe, a jednak prawdziwe — odpowiedział mu nieco cierpko Kazik.

— I na to myśmy walczyli, ach ci alianci! — zachnął się Wojtek. Kazik tylko potakiwał, ale że Wojtek stawał coraz mowę kolejki, po jakimś czasie zapomniał o swych kłopotach i zaczął się przyglądać Wojtkowi jak komus nieznanemu, a wreszcie zapytał:

— A ty co robisz?

Na to Wojtek się ożywił i zaczął opowiadać z entuzjazmem:

— Ja, bracie, nie jestem frajer. Wiedziałem, jak to będzie. Najpierw trochę zebrałem kasztanów, a teraz otwo-

rzyłem biznesik. Idzie jak krew z nosa.

— A cóż ty robisz? — powtórzył Kazik sennie, bo już i nalana twarz Wojtki i jego płowe włosy i świecące miedziane naczynia nad kontuarem zaczęły mu wirować przed oczyma i ogarnęła go senność.

— Szyby wstawiam. Mówię ci, to mowrowy interes. Niedługo dom kupuję.

— Ach, tak — szepnął Kazik wпол-
uśpiony, którego pomimo jego protestów niebawem Rokicki zaciągnął do swego mieszkania, rozebrał i do łóżka położył.

Po wszystkich tych przeżyciach Kazik spał jak zabity prawie cały dzień. Gdy się obudził i starał się zrozumieć gdzie się znajduje, Wojtek już wrócił ze swym „overall” dzwigając płócienną torbę z ciężkimi szybami.

— No, jak się czujesz? Mam nadzieję, że będziemy razem pracować. Mówię ci, bycze to zajęcie! Człowiek chodzi od domu do domu i wstawia szyby, a goście forszę bulą. —

— No, tak może to i prawda, ale ja przecież nie umiem tego robić — odpowiedział Kazik nieśmiało.

— Nie umiesz, to się nauczysz. Ja ci wszystko pokażę co i jak. Nie święci garnki lepia.

Po posiłku, który Wojtek sam przyrządził ze świeżych wiktuałów, a które Kazik zjadł z wielkim apetytem, stanęła umowa, że Kazik będzie pracował w Wojtki biznesie po otrzymaniu od niego odpowiednich instrukcyj. W ten sposób zaczęła się dla niego nowa egzystencja. Po raz pierwszy w życiu pracował na swój chleb powszedni jako robotnik. Z ciężkim worem ze szkłem zaczął chodzić Kazik po domach wstawiając szyby. Przypominał mu się czasami film z Charlie Chaplinem, w którym genialny aktor grał rolę szklarza, a współnikiem jego był mały chłopiec, tłukący szyby, aby było więcej zamówień. Tu jednak pracy nie brakło, a chłopcy grający w piłkę po podwórzach stawali się mimowolnymi współnikami. Sielanka taka trwałaby i dłużej, gdyby nie wypadek spowodowany Kazika profesorskim roztargnieniem. Pewnego dnia, gdy się zamyślił na jakieś tematy metafizyczne, zupełnie zapomniał, że trzyma w ręku ciężki biał szkła, który upadł, łamiąc mu nogę w kostce. Zaczęły się perypetie ze szpitalem, gdzie czas nawet jakiś wcale przyjemnie spędził dzięki miłym sanitariuszkom, a potem — jak zwykle — bezrobocie. Znowu jak dawniej zaczął pobierać zasiłek

Z HAPPY ENDEM

B.D.I.C

z Labour Exchange, ale tym razem jakby szczęście do niego się uśmiechnęło. Jeden z wice-dyrektorów słysząc o jego trudnościach postanowił mu pomóc osobiście przez stosunkę swego szwagra, który był kierownikiem działu mebli w firmie Harrodsa na Knightsbridge. Pełen najlepszych nadziei, lecz kuszycząc z powodu złamanej nogi udał się Kazik do wytwornego magazynu. U wejścia stał jak Cerber portier w liberii, który wskazał mu drogę do istnego Sezamu, gdzie wszystkiego można dostać czego dusza zapagnie, poczynając od żywności, naczyń kuchennych, talerzy, ubrań i sukien, a kończąc na biżuterii i wspaniałych perskich dywanach. Wpłynąwszy na srebrzystych ruchomych schodach na trzecie piętro znalazł się Kazik w obecności dyrektora biblioteki p. Page'a, który z uśmiechem szeroko rozlanym na dość surowej twarzy zaczął go rozpytywać o Prawo Rzymskie i jego w tym kierunku kwalifikacje. Kazik po raz pierwszy poczuł, że poznano się na jego talentach i nie posiadał się z radości, gdy p. Page na zakończenie posłuchania polecił mu pisać katalogi używanych książek. Niestety, jednak radość jego nie trwała długo. Zaledwie skończył pisanie katalogu, gdy p. Page z tym samym nieodmiennym uśmiechem polecił mu wyszukiwanie na półkach starych książek, na które były zamówienia od klientów. To zajęcie jednak też długo nie trwało. Tym razem p. Page polecił mu, by pomagał starszym paniom we wkładaniu kompletów książek do metalowych skrzyń, które wysyłano na okręty. Kazik przestał sobie robić złudzenia, że się poznano na jego kwalifikacjach, lecz pracę swą wykonywał jak mógł najlepiej w atmosferze pośpiechu w pokoju bez należytego światła, który z trudem pomieścił parę osób. O kontakcie z publicznością nie było mowy ze względu na jego cudzoziemski akcent. Nie był to jednak ostatni etap jego pracy. Przeniesiony o piętro niżej nagłą decyzją p. Page'a teraz miał pomagać w pakowaniu książek do wysyłki w księgarni. Gdy był zatrudniony tą mechaniczną pracą nie mającą wiele wspólnego z Prawem Rzymskim, o które p. Page tak gorliwie rozpytywał przy pierwszym widzeniu i pogrążony w ponurych rozmyślaniach nagle został wezwany do dyrektora biblioteki. Tym razem p. Page go przyjął z jeszcze bardziej wyszukaną grzecznością, prosząc, aby nie odmówił swej pomocy młodemu chłopcom noszącym książki i układającym je

na półkach. Znaczyło to, że na oczach pięknych panien, które obsługiwały publiczność, byłby zredukowany do roli popychadła w bibliotece. Degradacja już była zbyt oczywista i Kazik postanowił poszukać innej pracy.

Pod wpływem doznanego upokorzenia nabrał nowej energii. Obudziwszy się następnego dnia nie poszedł do pracy i ruszył na poszukiwania, mówiąc sobie, że na Harrodsie świat się nie kończy i że w tak ogromnym mieście jak Londyn musi znaleźć odpowiedniejszą pracę. Szczęście śmiałkom sprzyja. Przyszło mu na myśl, że znajomość obcych języków może mu się przydać w wielkich hotelach i od razu pierwsza próba przyniosła nadszodkowane rezultaty. W hotelu Ritz, którego gmach z arkadami widział nieraz przejeżdżając koło Green Parku znalazł pracę „liftmana“. Nie był to wprawdzie szczyt jego ambicji życiowych, lecz pełna wykintu atmosfera sławnego hotelu, oraz uprzejmość jego wicedyrektora, możliwość ewentualnego awansu, a przede wszystkim fakt, że nie będzie musiał pomagać młodemu chłopcom w noszeniu książek w bibliotece zaważła na jego decyzji. Już następnego dnia stanął w staroświeckiej windzie ubrany w granatowa liberie hotelowa, w której czuł się nieco nieswojo, z ręką na korbie, którą miał kierować ruchem całego wehikułu. W lustrze windy, obramowanej mahoniowym drzewem mógł widzieć samego siebie podnieconego i trochę zaleknionego czy dobrze się wywiąże z zadania.

„Les principes sont toujours difficiles“ mówi francuskie przysłowie, nie były też początki łatwe dla Kazika, gdy w windzie zaczęli się pojawiać pierwsi goście, oczekujący od niego idealnej obsługi, zgodnej z tradycją luksusowego hotelu. Nieraz ku zdumieniu ich zahamował zbyt gwałtownie, to znów poderwał windę zbyt szybko, albo też wylądował o parę cali nad poziomem podłogi. To znów zdarzyło mu się zagadać zbyt długo z jakim klientem po dotarciu na miejsce, gdy buczał dzwonek, a czekający na dole tracili cierpliwość. Były to jednak drobne potknięcia związane ze zmianą zawodu. Początkowo krepowało go również, gdy otrzymywał pierwsze „tips“ czyli napiwki, lecz gdy się zwierzył z tych wątpliwości jednemu z portierów, ten go wręcz wyśmiał, bo przecież stanowiły one gros dochodu służby hotelowej. Pomimo skromnej pracy Kazik w hotelu czuł się dobrze. Wpływała na to atmosfera elegancji i

wykintu, z którą spotykał się na każdym kroku, a także rozmowy z hotelowymi gośćmi, którzy widząc, że jest inteligentem rozpytywali nieraz o jego życie i okazywali mu wiele życzliwości jakby chcąc go wynagrodzić za niesprawiedliwość losu. Doznawał też satysfakcji estetycznej, patrząc na wielki hall, gdzie za konteuarem siedział sławny „head porter“ Georges, Grek z pochodzenia, znany ze swej przyjaźni z Aga Khanem, a olbrzymi żyrandol rzucał czarodziejskie światła na stare dywany i fotele w stylu Ludwika XV. Przesuwały się tam bezszelestnie kelnerzy we frakach, pracujący w hotelowej restauracji i barze, wytworni „recepcjoniści“ przyjmowali z wyszukaną grzecznością przybywających z różnych stron świata gości, umundurowani portierzerzy wnosili stopy waliz, a mali chłopcy hotelowi tzw. „page boys“ uwijali się żywo spełniając różne polecenia. Starzy pracownicy hotelu z pochodzenia Szwajcarzy widząc kłopoty nowicjusza udzielali mu rad i ostrzeżeń na temat odpowiedniego zachowania wobec klientów, a także opowiadali mu dzieje hotelu, który w długiej swej historii widział wiele głów koronowanych.

Znakomitości zresztą nie brakło i obecnie. W hallu jak na scenie przewijali się przedstawiciele arystokracji, wybitni politycy, kierownicy przemysłu i gwiazdy filmowe.

W obramowaniu mahoniowym windy zjawiali się jak za dotknięciem czarnoksięskiej różdżki lordowie i księżęta, raz stała w niej w płaszczu z nurków siostra szacha perskiego, a innym razem niepozornie wyglądający król-wygnaniec Piotr jugosłowiański. Największe jednak znaczenie w hotelu mieli milionerzy, rozrzucający hojną dłońią datki: magnat naftowy Mr. Gulbenkian o rozwichrzonej długiej brodzie i z orchideją w klapie surduta oraz Aga Khan, przywódca duchowy Mahometan, właściciel sławnych stajni wyścigowych. Gdy Kazik poznał dostatecznie arkana nowego zawodu wyznaczono mu pracę nocną. Odtąd odpowiedzialność za uspio-nych bogatych klientów hotelu spoczęła całkowicie na jego barkach i starego Szwajcara Johna, który siedział napół drzemiąc w słabo oświetlonym hallu. Nocne godziny w windzie wlokły się w nieskończoność, przerywane tylko wtargnięciem spóźnionych gości, którzy wracali pełni ożywienia z teatrów i balów. Po północy Kazik zjadał wraz z Johnem posiłek, nie dotykając przeważnie wystygłych potraw z kuchni hotelowej, lecz zadawałając się sandwichami. Gdy było mniej ruchu starał się zdrzemnąć, układając się na wąskiej ławeczce w windzie, obitej czerwonym pluszem. Nieraz

(Dokończenie na str. 22)

ARCHITEKCI WNETRZA

Jest dzień trzynasty stycznia roku pańskiego 1967. Uniwersytet Santa Barbara w Kalifornii gości elite amerykańskich chirurgów. Toczą się ważne narady. Odbywa się „Conference on Transplantation“ i ta ma się zająć oceną dotychczasowych wyników, a ustaleniem wytycznych dla dalszych badań nad zastąpieniem chorych tkanek i narządów zdrowymi, wykonywanym w celu leczniczym lub doświadczalnym na zwierzętach i ludziach.

W języku polskim nazywa się takie zastępcze tkanki „przeszczepem“, zabieg „przeszczepianiem“. Międzynarodowy żargon mówi o „transplantacji“ i „transplantatach“ czyli, z angielska, „graftach“. Oddzielenie przenoszonego fragmentu jest „eksplantacją“, wszczepienie w nowe miejsce „implantacją“.

Powracamy do Santa Barbara. Przemawia referent od spraw chirurgii serca i kończy swe wywody, dotyczące się transplantacji tego narządu, powściągliwym zapewnieniem: „An idea still in its infancy“, tzn. pomysł przeniesienia serca z jednego osobnika na innego spoczywał rok temu jeszcze w powijakach.

Ale już dnia 3. grudnia tego samego roku pojawia się krótka, wielce sensacyjna notatka Reutera, powtórzona skwapliwie przez wszystkie agencje, radiostacje i telewizje świata, donosząca, że w Cape Town serce zmarłej dziewczyny zostało przeszczepione przez prof. Krystia-

(Dokończenie ze str. 2)

się zrywając wpół uspijony, słysząc głosy wchodzących przez drzwi obrotowe gości. To znów się pogrążył w lekturę dzieł literackich o dużej wartości. Właśnie czytał książkę Maurois „A la recherche de Marcel Proust“, gdy do windy weszła jakaś matrona w jedwabiach, która zadziwiła się, że „liftman“ umie po francusku. Jeszcze większe było zdziwienie Kazika, gdy dowiedział się, że była to księżna Bibesco, znana ze swej przyjaźni z Proustem. Wśród dystygnowanej klienteli Kazika nie brakło również księżniczek egipskich, krewnych króla Faruka, które rozmawiały z nim wesoło po powrocie z balu, jakichś pań z Argentyny, które obdarowały go wielkim pudłem czekolady, a nawet czarującego, sławnego w świecie Aly Khana, który go zaszczylił przyjacielską pogawędką.

Wiesław Strzałkowski

(Ciąg dalszy nastąpi)

na Barnarda pacjentowi nazwiskiem Louis Washkansky i że operację uważa się za znakomicie udaną. Transplantowane serce pracuje prawidłowo.

Dnia 21. grudnia umiera bohater-ski pacjent, przedmiot podziwu całego świata, w klinice swego operatora. Między tymi dwoma suchymi doniesieniami, w czasie nie dłuższym niż 18 dni, rozegrał się dramat, którego autorstwa nie powstydziliby się żaden Szekspir i żaden z jego wielkich, antycznych poprzedników. Wyjęto serce młodej dziewczyny, zrąbionej śmiertelnie wskutek zmiężdżenia mózgu w wypadku automobilowym, a zmarłej w klinice i zastąpiono nim beużyteczne serce bez nadziejnie chorego pacjenta o polskim czy rosyjskim nazwisku Washkansky.

Tak pacjent jak i lekarz przeszli do historii kultury, a przed nią do historii medycyny. Obaj zapisali się w niej złotymi zgłoskami. Pierwszy jako przykład idealnego królika doświadczonego: chętny, cierpliwy, posłuszny, entuzjastycznie pogodzony z ryzykiem, pełen starożytności wiary i nadziei.

Drugi — jako nadlekarz i nadczłowiek.

Zagadnieniami, związanymi z problemem transplantacji zajmują się gorliwie przedstawiciele różnych działów przyrodniczych: lekarze, chirurdzy, biolodzy, biochemicy, immunologowie, zoologowie itd. Polska bibliografia jest wcale obfita. Jakkolwiek nie poświęciłem jej specjalnej uwagi, natknąłem się na osiemnaście nazwisk.

Prof. Barnard jest jeszcze młodym człowiekiem, nie przekroczył czterdziestu czterech lat. Mimo to podjął się heroicznej roli i wykonał ją mistrzowsko. Operować serce znaczy nie tylko posiadać szczytową znajomość anatomii, topografii i fizjologii. Znaczą również wyczarować na końcu skalpela jakiś dodatkowy zmysł, pozwalający się liczyć z milimetrami i w ten sposób oszczędzać ważne naczynia, nerwy lub tkanki. Każda sekunda przy tej operacji jest droga, a praca pomocniczych aparatu-

tów i kilkunastu asystentów, utrzymującej krążenie i oddech, wymaga najsubtelniejszej precyzji. Naczelnym chirurg musi pamiętać w każdej fazie skomplikowanej, technicznie trudnej, operacji, o konieczności skoordynowania przewidzianych i nieprzewidzianych posunięć czysto chirurgicznych z czynnością narkotyzera, hematologa, pulmonologa, urologa, słowem z wymaganiami i sygnałami obserwatorów każdego ważniejszego odcinka ciała pacjenta.

Od możliwości utrzymania normalnego lub zbliżonego do normy krwobiegu zależy powodzenie każdej operacji klatki piersiowej. Dzięki genialnym pomysłom, dzięki konstrukcji aparatu płucno-sercowego jest taki zabieg wykonalny. Nadludzkie wprost trudności piętrzyły się jednak przed pierwszymi pionierami. Należało bowiem niewolniczo skopiować duży i mały obieg krwi. Cóż dopiero, gdy przystąpiono do operacji, wymagającej usunięcia aż dwóch serc.

Z skąpych opisów osobowości i z jego telewizyjnej sylwetki, z jego systematyczności i logiki w wykonaniu raz powziętego dzieła, wnioskuję, że prof. Barnard mógłby osiągnąć wawrzyny i na innych polach. Jeśli mam go porównać do jakiegoś symbolu literackiego, to przyznałbym mu rangę Budowniczego Solnessa, z dramatu Ibsena.

Zainteresowanie wspomnianym wypadkiem i stąd nasuwającymi się problemami znajduje wyraz w częstych doniesieniach prasy codziennej, w sprawozdaniach telewizyjnych i nagabywaniach lekarzy ze strony niecierpliwych pacjentów. Warto więc zaznajomić się z terminologią, zyskującą już prawo obywatelstwa nawet wśród laików.

Osoba, która darzy drugą swoją tkanką, narządem nazywa się dawcą, czyli, z angielska, donor. Osoba, która przyjmuje ten dar — biorcą, czyli recipientem. Dawca i biorca może być tym samym osobnikiem. Można np. przenieść kawałek skóry uda i pokryć nim ubytek twarzy tej samej osoby. Mówimy w takim wypadku o przeszczepie w obrębie tego

CIAŁA LUDZKIEGO

B.D.I.C

samego ustroju czyli autoplastycznym lub autogennym transplantacie tj. graficie.

Jeśli przeszczep pochodzi od obcego osobnika **tego samego gatunku** określamy go jako przeszczep podobnej budowy czyli **homogeniczny**, w żargonie naukowym jako **homograft**. Transplantacja tkanki z osobnika gatunkowo różnego, np. małpy na człowieka, nazywa się **heterogenna**.

Jak dotychczas spotkała się z zupełnym niepowodzeniem. Wszelkie próby przeszczepienia nerki czy gruczołu płciowego szympansa na człowieka zakończyły się zupełnym fiaskiem. Jeden z rosyjskich szarlatanów (Woronow) twierdził w latach dwudziestych, że udało mu się przeprowadzić skuteczny zabieg odmładzający na starszych rocznikach męskich przez wszczepienie im jądra małpy. Poza aspektami psychologicznymi i kryminalnymi afera nie zasługuje na uwagę.

Historia prób transplantacji jest bardzo stara. Coś w rodzaju takiego procesu miał na myśli Empedokles, wiek V. przed Chr., gdy wystąpił ze swą teorią powstawania pierwszych gatunków zwierzęcych. Głosił, że pierwotne gatunki nie pojawiły się jako doskonałe, ostatecznie wykształcone twory, ale jedynie jako niezależne fragmenty ciała. Te odnajdywały się, przyciągały lub odpychały, przeszczepiały jedne na drugie, aż po wielu próbach i błędach, przyjęciu i odrzuceniu pożądaných lub nieharmonizujących części, powstały ostateczne twory. Medycyna hinduska praktykowała przeszczepienie jeszcze wcześniej, bo 600 lat przed Chr., posługując się materiałem skazańców, którym za karę obcinano nosy. Cornelius Celsus (nie Celsius!), znakomity lekarz i encyklopedysta rzymski pierwszego wieku po Chr. wspomina o operatywnej korekturze zniekształconych warg i ubytków twarzy przeszczepami uzyskanymi z tkanki skórnej i podskórnej. Może pierwsza próba dzisiaj tak powszechnej dermatoplastyki.

Te wczesne, bardzo śmiałe poczynania operowały przeszczepami auto-

gennymi tj. pochodzącymi od tego samego osobnika, który miał je przyjąć. Dopiero w XV wieku poczęto zajmować się homograftem tj. przeszczepem pochodzącym od drugiego osobnika, ale tego samego gatunku. O naiwności ówczesnego świata półnaukowego świadczy często powtarzana historia o amputacji nosa niewolnikowi, aby pokryć ubytek pana. Przeszczepiony nos żył jednak tylko tak długo, jak jego pierwotny właściciel. Z jego śmiercią odpadł, na znak przynależności do zmarłego. Typowy przykład tego, co Goethe nazywa „Dichtung“. Z „Warheit“ natomiast zapoznał najznakomitszy chirurg XVI wieku, Tagliacomo, i stanowczo przestrzegał przed stosowaniem homograftu.

W XIX wieku zaznaczył się postęp o tyle, że wypróbowano staranniejsze metody stosowania autogennych transplantatów skóry. Dzisiaj przeniesienie płata skóry z jednego miejsca i na pokrycie nim ubytku innej okolicy **tego samego osobnika** nie natrafia na żadne trudności. Również teoretyczne przemieszczenie zdrowej nerki na miejsce chorej tego samego pacjenta byłoby łatwo wykonalne.

Bardzo skomplikowane problemy poruszają się wyłaniać, gdy zmuszeni jesteśmy uciekać się do homograftu, a więc przeszczepu homogenicznego, pochodzącego od innego osobnika, chociaż tego samego gatunku. Organizm broni się zaciekle przed obcokrajowcem, nie chce udzielić mu prawa pobytu i z reguły, unieszkodliwia to znaczy niszczy przybyśza. Ten niegościnnie proceder klasyfikujemy jako **odrzucenie przeszczepu**.

Przyczyny dopatruje się w powstawaniu ciał odpornościowych podobnie jak to się dzieje po zakażeniu mikroorganizmami. Zaatakowany organizm mobilizuje policję, mającą za zadanie osaczenie i unieszkodliwienie intruzów. Właściwość obcego ciała czy zarazka zdolnego spowodować taką reakcję nazywamy **antygennością**, obronę przeciw antygenom — procesami odpornościowymi czyli **właściwościami immunologicznymi**.

Nie wszystkie obce ciała zachowują się tak prowokująco, ale przeszczepy, niestety, do nich należą. Opór może być tak gwałtowny i skuteczny, zwłaszcza, gdy dawca i biorca należą do niezgod-

nych grup krwi (ale i niezależnie od zgodności), że transplantat ginie błyskawicznie. Może jednak przetrwać 2-10 dni, zanim ulegnie zwyrodnieniu i zgorzeli. Może spotkać go odrzucenie dopiero po jedynastu dniach, może jednak przetrwać i dłużej, nawet rok, aby wreszcie uschnąć z niewiadomych przyczyn.

Najlepsze mózgi pracują nad znalezieniem sposobu sztucznego załamania swoistości immunologicznej biorcy tj. nad zmuszeniem organizmu do zaniechania reakcji odpornościowej. Stosuje się ogólne naświetlania promieniami Roentgena, zabieg bardzo radykalny i ryzykowny ze względu na konieczność posługiwania się dużymi, na granicy zabójczości już stojącymi dawkami. Wstrzykuje się surowicę przeciwlimfocytarną, uzyskaną przez odpowiednie przygotowanie koni, gdyż uważa się limfocyty, pewien rodzaj białych ciałek, za właściwych sprawców masakry. Podaje się wreszcie azathioprinę, kortyzon i inne preparaty, tłumiące aktywność zabójczych komórek biorcy. Wszystko to pomaga, czasem, do pewnego stopnia, równocześnie jednak naraża pacjenta na dodatkowe, groźne komplikacje, zwłaszcza na szybko postępujące zakażenie mikroorganizmami. Dlatego rezultaty przeniesienia homograftów są **wielce niepewne**, a ich prognoza **bardzo ostrożna**.

Nie zmniejsza ten fakt, naturalnie, doniosłości pomysłu i konieczności podejmowania coraz to nowych prób, aby przełamać gorliwość niechętnego ustroju. Nie wolno się jednak łudzić, droga do celu jest żmudna i najeżona trudnościami..

Tkanki służące za przeszczep nie zachowują się identycznie w obcym dla siebie terenie. Jedne z nich jak tkanka kostna, chrząstkowa, ścięgna, powięź, mięśnie nie przyjmują się w ścisłym tego słowa znaczeniu, w nowym miejscu, nie pełnią swej swoistej funkcji, nie zachowują swej identyczności. Służą raczej, dzięki swej anatomicznej budowie za ramę, za podporę uszkodzonego organu i w ten sposób pomagają mu zyskać na czasie i wyprodukować własny materiał. Nazywamy je **homostatyczne**. Inne, bardziej wyspecjalizowane, zwłaszcza całe narządy jak nerka, muszą od pierwszej chwili funkcjonować swoiście, gdyż od ich natychmiastowej czynności zależy przetrwanie organizmu. Stąd ich nazwa **homowitalne**. ((C.d.n.))

OGŁOSZENIE ZAMIESZCZONE W „ORLE BIAŁYM“
CZYTAJĄ POLACY
W 25 KRAJACH ŚWIATA

POTĘPIENIE ANTYSEMITYZMU —
SOLIDARNOŚĆ Z IZRAELEM

W dniu 25 maja odbył się w Amsterdamie XVII Krajowy Walny Zjazd SPK w Holandii. Otwarcia zjazdu dokonał prezes SPK w Holandii inż. J. Minkiewicz, który po powitaniu uczestników zjazdu i gości, odczytał listy i depesze z życzeniami nadesłane przez Zarząd Federacji Światowej SPK w Londynie oraz zarządy krajowe SPK w W. Brytanii, Francji, Belgii, Niemczech, Italii, Norwegii, Australii, Argentynie, Kanadzie i Stanach Zjednoczonych.

Następnie przemawiali goście. Pisarz holenderski i zasłużony tłumacz literatury polskiej, Willem A. Majjer, mówiąc o swej pracy dla Polski stwierdził, że ze strony emigracji spotkało go większe uznanie, aniżeli ze strony „Polski Ludowej“ i podkreślił, że w przyszłości będzie on tłumaczył wyłącznie książki autorów polskich przebywających na emigracji.

Płk. M. Semyrozum — weteran wojny bolszewickiej i prezes Związku Ukraińskich Kombatantów — podkreślił konieczność polsko-ukraińskiej współpracy na rzecz wolności obu narodów. Prezes PSL'u w Holandii p. B. Łyczak apelował o zjednoczenie niepodległościowej emigracji polskiej w Holandii dla wspólnej pracy dla Polski. O potrzebie zjednoczenia mówił również prezes Zjednoczenia Katlicko-Polskich Towarzystw w Holandii, p. H. Maląg, oraz sekretarz SPK w Belgii mgr. S. Merło, który ponadto pozdrowił zjazd w imieniu 1. Dywizji Pancerniej, A.K., „Pogoni“ oraz Komitetu Wolnych Polaków w Belgii.

Przewodnictwo obrad objął przez aklamację mgr. S. Merło z Brukseli. W sprawozdaniach zarządu prezes inż. J. Minkiewicz, mówił obszernie o sprawach organizacyjnych oraz o infiltracji reżymowej, która szczególnie wyraziście ujawniła się w Bredzie, gdzie 9 członków Polskiego T-wa Katolickiego z prezesem na czele, „odznaczonych“ zostało odznakami grunwaldzkimi nadanymi im przez prezesa ZBoWiD'u, ministra bezpieki gen. Moczara.

Skarbnik p. B. Opolski mówił o finansach stowarzyszenia, a referent prasowy red. B. Strenk, o działalności referatu prasowego SPK w Holandii, która m.in. obejmuje: redagowanie i wydanie wspólnego organu prasowego SPK w Belgii i Holandii pt. „KOMBATANT POLSKI W BENELUXIE“ oraz czasopisma w języku holenderskim „DE POOLSE OUDSTRIJDER“, a ponadto publikowanie artykułów na tematy polskie w prasie holenderskiej i belgijskiej.

Na wniosek komisji rewizyjnej udzie-

Z ŻYCIA POLSKIEGO

lono ustępującemu zarządowi absolutrium z podziękowaniem za jego pracę. Doknano wyboru nowych władz Stowarzyszenia: inż. J. Minkiewicz — prezes, H. Urbański — wiceprezes, mgr. inż. Z. Hornung — sekretarz, B. Opolski — skarbnik, red. B. Strenk — referent prasowy, kol.kol. Kiziuk i W. Niłow — członkowie zarządu.

XVII Krajowy Walny Zjazd SPK w Holandii uchwalił następującą rezolucję:

Wyraźny nawrót do metod stalinowskich w systemie rządzenia Polską budzi niepokój o najbliższą przyszłość. Prądy liberalne pojawiające się w ostatnich latach w krajach satelickich, jak Rumunia, a zwłaszcza obecnie Czechosłowacja — niczego pana Gomułki nie nauczyły i nie zmieniły jego sztywnej i tępej postawy najwierniejszego z satelitów, który gotów poświęcić najżywniejsze interesy naszego Kraju, byle tylko przypodobać się Moskwie.

Podjęta przez pisarzy, naukowców i studentów walka o elementarne prawa człowieka i obywatela: o zniesienie zniechęcającej cenzury, o wolność słowa i zrzeszania się — została pałkami policyjnymi brutalnie stłumiona.

Reżym postarał się wszelkimi sposobami stworzyć sztuczny przedział między demonstrującą młodzieżą a światem robotniczym, aby ci ostatni nie poparli czynnie młodzieży, i aby wywołać wrażenie, że większość narodu idzie ślepo za Gomułką i jego

służalczą wobec Kremla postawą. Wreszcie, aby zamydlić oczy społeczeństwu i rozładować w wygodnym dla siebie kierunku narosłe w kraju napięcia — „władze ludowe“ rozpełniały nagonkę na tzw. „sjonistów“, czyli po prostu fałszywą antysemitę, i to w kraju, w którym po masakrze hitlerowskiej pozostało niespełna 30 tysięcy niedobitków.

Ta wysoce „patriotyczna“ akcja p. Gomułki i towarzyszy przynosi ogromne szkody dobremu imieniu Polaków wśród mieszkańców wolnego świata, którzy często nie odróżniają perfidnej akcji komunistów od rzeczywistych nastrojów społeczeństwa polskiego.

Kombatanci polscy w Holandii, zebrani w dniu 25 maja 1968 roku na swym dorocznym Walnym Zjeździe w Amsterdamie:

1. Wyrażają pełną solidarność z postawą tych rodaków w Kraju, którzy walczą o liberalizację systemu i wprowadzenie zasad wolności człowieka.

2. Z oburzeniem piętnują brutalne metody zastosowane przez reżym wobec tych ludzi: pałki policyjne, rugie i areszty.

3. Jak najostrzej potępiają rozpętanie hecy w Polsce i podobnie jak to było w okresie sześciomiesięcznej wojny w czerwcu 1967 roku — wyrażają sympatię i solidarność z narodem Izraela w jego walce o zachowanie i obronę niepodległości swego kraju.

4. Śledzą z niepokojem odradzanie się nacjonalizmu i stały wzrost wpływów partii neohitlerowskiej w Niemieckiej Republice Federalnej.

B.S.



Do notatki: „Z dala od Kraju...“

Stoją od lewej ku prawej: Zbigniew Przasnyski, Wojciech Świdorski, Andrzej Narożański, Zenon Hierowski, Marek Ganther, Jan Przybyś, Marek Janota-Bzowski, Atoni Kamiński, Jerzy Tondryk. Nieobecny na zdjęciu (jest już w innej szkole) Krzysztof Niedenthal. Cała 10-tka złożyła egzamin na poziomie „O“ w ubiegłym roku szkolnym.

ZDAŁA OD KRAJU A SWÓJ JEZYK ZNAJA

Z inicjatywy prof. Józefa Zielickiego odbyło się w Domu Kombatanta w Londynie wręczenie zaświadczeń złożenia egzaminu z języka polskiego uczniom słynnej katolickiej szkoły średniej im. kardynała Vaughana. Wręczenia dokonał dyrektor szkoły ks. mgr. R.R. Kenefeck w obecności polskich członków grona nauczycielskiego szkoły: mgr. J. Chmaja, mgr. T. Heinricha oraz mgr. Marii i Józefa Zielickich.

Ze strony gospodarzy byli obecni: Stefan Soboniewski — prezes SPK w W. Brytanii, Zygmunt Szadkowski — sekretarz generalny Federacji SPK, Tadeusz Krasoń — sekretarz SPK i Związku Polskich Klubów Sportowych, Czesław Czaplinski — prezes Zrzeszenia Nauczycielstwa Polskiego Zagranicą i członek zarządu SPK do spraw szkolnych i młodzieży, Ludwik Bojczuk — ref. szkolny i oświatowy, red. R. Zakrzewski.

C. Czaplinski zaznaczył w przemówieniu, iż wręczenie „certyfikatów“ w Domu SPK ma na celu podkreślenie doniosłości pracy zmierzającej do zachowania kultury polskiej na obczyźnie, złożył podziękowanie dyrektorowi szkoły za życzliwy stosunek do młodzieży polskiej, a nauczycielom polskim za opiekę i pomoc. Z kolei przemówił ks. dyrektor Kenefeck, składając gratulacje uczniom, podziękowanie uczącym i podkreślając wartość tradycji rodzimej w wychowaniu. Gratulacje studentom złożył również prezes Soboniewski i wręczył każdemu jako upominek od SPK książkę Zygmunta Nowakowskiego „Wieczory pod dębem“, ks. dyrektor otrzymał również książkę: angielski przekład „Pana Tadeusza“ K. Mackenzie.

Pogawędka towarzysząca przy filiżance kawy i wspólna fotografia zakończyły to miłe spotkanie.

S.P.K. W EDYNBURGU

Wśród licznych organizacji polskich w Szkocji zdecydowanie wybija się na czoło Koło SPK Nr. 25 w Edynburgu. Od dłuższego już czasu organizacja ta oparta jest na silnych podstawach finansowych. Wachlarz zainteresowań i działalności Koła jest bardzo szeroki, najwięcej jednak uwagi Koło poświęca niesieniu pomocy finansowej tym organizacjom, które ze wszechmiar na to zasługują, a możliwości zdobycia odpowiednich funduszy we własnym zakresie mają znikome.

W niedzielę, 19 maja br. odbyło się w Domu Kombatanta walne zebranie

Koła, na którym ^{B.D.I.C.}całej pełni okazało się, jak istotnie działalność Koła się przedstawia. Złożone na walnym zebraniu sprawozdanie kasowe podaje, iż wydatki za rok ubiegły wyniosły ponad £1.150.00, z czego lwia część poszła na dotacje dla: Sekcji Charytatywnej Polskiej Akcji Katolickiej, Szkoły Przedmiotów Ojczystych, parafii i na inne cele kulturalno-oświatowe. Na potrzeby własne Koło zużyło minimalną kwotę.

Walne zebranie przyjęło sprawozdanie zarządu i udzieliło mu absolutorium z podziękowaniem, nie szczędząc słów uznania dla prezesa Koła, dr. Stanisława Mgleja.

W wyniku wyborów władze Koła na rok następny przedstawiają się następująco: prezes — dr Stanisław Mglej,

członkowie — M. Boroń, J. Bobrowski, J. Mirczyński, H. Gołąbek, J. Rej, J. Pałka, E. Wiśniewski, inż. A. Turski; Komisja Rewizyjna: inż. W. Śladkowski (przewodniczący), E. Młot, major A. Bilewski; przewodniczący Sądu Koleżeńskiego — płk. Różański.

Walne zebranie w zaleceniach dla zarządu na rok przyszły wskazało na konieczność przyjęcia z wydatną pomocą Klubowi Młodzieżowemu, który przejawia tak żywą i pożyteczną działalność, oraz okazywanie nadal pomocy Sekcji Charytatywnej, Szkole Przedmiotów Ojczystych i parafii.

Przewodniczył walnemu zebraniu kpt. E. Wiśniewski.

St. Bł.

J.E. KS. BISKUP WŁ. RUBIN W MANSFIELD



Ks. Biskup Wł. Rubin w gronie duchowieństwa, działaczy społecznych i dżiatwy.

W sobotę dnia 18 maja br. Polska Parafia w Mansfield gościła u siebie J.E. Ks. Biskupa Władysława Rubina w towarzystwie ks. infułata Staniszewskiego oraz ks. prałata Krzyżanowskiego.

W godzinach popołudniowych licznie zgromadzeni wierni z Mansfield i okolicy wysłuchali mszy św., odprawionej przez J.E. Ks. Biskupa w asyście ks. infułata i ks. prałata. W przemówieniu do zebranych Jego Ekscelencja przypomniał polskie tradycje majowe, miłość narodu do Matki Najśw. i naszej wiary, — która w dalszym ciągu poprzez lata poniewierki, cierpienia i niedoli wiąże polskie dusze rozrzucone po globie ziemskim.

Po mszy św. w sali Domu Katolickiego odbyła się Akademia Majowa, w której wzięli udział przedstawiciele miejscowych organizacji, z Nottingham, Pe-

terborough, Sheffield, Melton Mowbray i Chesterfield. Na wstępie prezes Stow. Katolickiego W. Witek przywitał Ks. Biskupa w imieniu Polaków z Mansfield i okolicy, zaś w imieniu tuż, młodzieży Krysia Jurkow i Stefan Ładyna ładnym wierszykiem przywitali Dostojnego Gościa wręczając Mu piękny bukiet biało-czerwonych kwiatów.

Akademii rozpoczęło występem chóru Stow. Kat. pod batutą p. A. Brzostka, który śpiewał po raz pierwszy utwór „Mario Królowo Polski“, skomponowany przez dyrygenta, do słów p. Mariana Lewandowskiego. W żywym obrazie „Rok polski“ — pióra M. Lewandowskiego, wystąpiła polska młodzież i zespół taneczny „Wrzosy“ w przepięknych strojach narodowych.

(Dokończenie na str. 26)

8 czerwca br. odbyło się zebranie Biura Studiów Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, na którym dyskutowane były sprawy młodzieży. Jest to temat, którym SPK zajmuje się od wielu lat, a Biuro Studiów, które od 1966 roku opracowuje ten problem, wydało drukiem następujące referaty: S. J. Paprocki — *Oblicze ideowe młodzieży w Kraju*; Z. Szadkowski — *Polskie organizacje młodzieżowe na uchodźstwie*, J. Wawrzekiewicz — *SPK wczoraj, dziś i jutro*; J. Żaba — *Młodzież w polskim życiu narodowym poza granicami Kraju*.

W zebraniu wzięli udział przedstawiciele organizacji młodzieżowych, jak i tych instytucji i organizacji, które zajmują się młodzieżą: Z. Bińkowski, J. Biliński, L. Bojczuk, M. Chudy, A. Czutowski, B. Domański, K. Glabisz,

(Dokończenie ze str. 25)

Bezpośrednio po akademii J.E. ks. bkp W. Rubin przemówił do zebranych, szczególnie podkreślając udział młodzieży, która pod kierownictwem starszych utrzymana jest w polskości i kontynuuje tak pięknie nasze tradycje narodowe. — J.E. dziękował tuł. Polonii za niespodziewanie piękne przyjęcie z jakim się spotkał w Mansfield. Następnie p. A. Brzostek dziękował wszystkim obecnym za liczny udział w akademii oraz osobom, które przyczyniły się do jej zorganizowania. Bukiety kwiatów wręczono p. Reni Lempickiej, H. Czajkowskiej oraz przew. Koła Pań Stow. Kat. pani Jurkow. Na apel zebranych wywołano na scenę naszego autora inscenizacji i piosenek p. Mariana Lewandowskiego.

Konferansjerkę prowadziła A. Brzostek, który również wybitnie przyczynił się do zorganizowania akademii. Całość zawdzięczamy niestrudzonemu wysiłkom i nieprzeciętnemu talentowi p. Reni Lempickiej. Akompaniowała p. H. Czajkowska; dekoracje A. Lempicki, efekty świetlne F. Dudzik.

Poza tym brali udział: S. Mikołajczyk, A. Wieczorek, Z. Starzyńska, T. Pilecka, A. Dragon, B. Łętek, K. Witek, D. Olkowska, K. Jurkow, I. Kalińska, L. Kochalska, Prasula, D. Olkowska, I. Łętek, T. Jurkiewicz, W. Barańska, 3-letni P. Jurkow oraz 3-letnia A. Szadura. W tańcach udział wzięli: L. Starzyński, S. Witek, A. Wietrzychowska, K. Wietrzychowska, K. Lempicka, K. Wawszczak, K. Dragon, A. Lempicki, Z. Michalewski, U. Michalewska, A. Barański, P. Garczewski, E. Mondszajn, H. Klapkowski, R. Kent, I. Francuz, K. Francuz i T. Miotka.

H. Ks.

J. Garliński, R. Kaczorowski, J. Kazimierski, Z. Kirakowski, W. Kojder, Z. Kołodziejcki, T. Krasoń, K. Langowski, Teodozja Lisiewicz, A. Malhomme, J. Mazowiecki, M. Mandziara, H. Moszczyński, C. Paluch, I. Paluchowa, K. Pruszyńska, B. Pruszyński, K. Rowiński, A. Rynkiewicz, K. Sabbat, K. Szczaniecka, M. Skoczek, S. Soboniewski, Z. Szadkowski, B. Szwagrzak, S. Wąsik, J. Wawrzekiewicz, W. Zahorski, R. Zakrzewski, K. Ziemiński, J. Żaba.

Dyskusję zagał przewodniczący Biura Studiów inż. J. Żaba, który m. in. stwierdził:

Żywo tkwią nam w pamięci ostatnie manifestacje studenckie w Polsce. Ich dominantą była chyba dojrzałość i poczucie odpowiedzialności w wysuniętych żądaniach: podkreślając akceptację ustroju socjalistycznego, młodzież domagała się w jego ramach wolności myśli i słowa i wcielenia w praktykę postanowień obowiązującej konstytucji. Echa uchodźcze przyniosły masową manifestację w Londynie i wymowną znowu milczenia brytyjskiego „establishment“, jak gdyby w pełni solidaryzującego się z „establishment“ warszawskim, choć tamten w tak odmiennym chodzie kolorze. Manifestacje polskiej młodzieży akademickiej w Kraju nie przyniosły żadnych politycznych zmian, chyba pogłębiły izolację polskiej partii komunistycznej w społeczeństwie.

Uczestnicy studenckiego pochodu ze świecami w Pradze, bici i prześladowani, odwrotnie nie tylko zostali zrehabilitowani i przeproszeni, ale są świadkami poważnej próby czeskiej partii komunistycznej rozszerzenia zakresu wolności bez utraty monopolu władzy.

Manifestacje młodzieży francuskiej przyspieszyły tempo zmian politycznych we Francji. Ale przede wszystkim ukazały rozterkę panującą w milionach młodych umysłów na zachodzie, które z całą gwałtownością dezaprobujał bezosobowość współczesnej cywilizacji przemysłowej, niesprawiedliwości kapitalistycznego systemu, centralizację władzy politycznej i dyspozycji ekonomicznej, ale sposobu naprawy ukazać nie potrafią.

Wypadki ostatniego półrocza aż nadto podkreśliły ogólnoludzkie tło naszych młodzieżowych trosk i rozważań. W moim referacie, który dwukrotnie ukazał się w oddzielnej broszurce, starałem się położyć szczególny nacisk na konieczność zharmonizowania w duszach naszej młodzieży jej ideałów ogólnoludzkich z naszymi polskimi „potrzebami“,

oraz na „konieczność stałej konfrontacji problematyki polskiej z ogólnoludzkimi problemami światopoglądowymi“.

Wydaje mi się tu rzeczą właściwą zwrócenie uwagi na niektóre wnioski, w tej liczbie i wnioski charakteru praktycznego, które moim zdaniem z treści obu broszur wynikają i mogą mieć pewne znaczenie dla naszych poczynań młodzieżowych. Wnioski te są moim własnym sformułowaniem, może rozszerzą one zakres naszej dyskusji. Zastrzegam się jednak, że nie mają one żadnego stempla czy „imprimatur“ czy nawet „nihil obstat“ ze strony władz SPK.

Przekonanie o wysokiej wartości ideowej młodzieży w Kraju nasuwa jeden wniosek naczelnym. Leży w polskim interesie narodowym znaczne pogłębienie znajomości spraw krajowych w ogólności a młodzieżowych w szczególności między innymi poprzez jak najbardziej intensywny kontakt polskiej młodzieży uchodźczej z Krajem i młodzieżą krajową w szczególności. Wykluczone powinny być jedynie te formy kontaktu, które by mogły implikować jakiegokolwiek „uznanie“ narzuconych Polsce władz politycznych poprzez wolną część narodu polskiego przebywającego poza granicami Kraju. Potrzebna jest natomiast zachęta i to ze strony polskich organizacji społecznych do studiowania przez naszą młodzież spraw krajowych, w szczególności współczesnej młodzieży krajowej, warunków jej pracy, jej życia, jej sylwetki duchowej. Potrzebny jest do tego warsztat pracy dostępny dla młodzieży: czy to w postaci komórki bibliotecznej, zespołów redakcyjnych, klubów, dyskusyjnych czy kilku z tych form.

W referacie swoim podkreśliłem konieczność i trudności utrzymania młodzieży naszej w głębszym związku z kulturą polską wysuwając jako zasadę świadome dążenie do dwukulturowości, a nie przeciwstawienie kultury polskiej kulturze kraju osiedlenia. Z postawy takiej wynika konieczność zarzucenia w wychowaniu i szkolnictwie świadomego i nieświadomego szowinizmu, przesadnej gloryfikacji naszych dziejów. Decydujące znaczenie dla utrzymania naszej młodzieży w związku z kulturą polską i utrzymania przy polskości przyszłych roczników ma szkoła polska. Tu zaczyna się praca młodzieżowa; w szkole polskiej w większości wypadków decyduje się przyszły związek z polskością. Poziom naszych szkół jest bardzo nierówny. Obok szkół, które mogą poszczycić się wspaniałymi wynikami istnieją szkoły-parodie, które ludzją rodziców rzekomą nauką, a swą pracę koncentrują głównie na przygo-

towaniu dzieci do akademii i popisów. Istnieje pilna konieczność stworzenia jednego systemu szkół, scalenia szkół konkurencyjnych, podniesienia poziomu nauczania. To niezwykle ważne i pilne zadanie spada na nasze organizacje społeczne i duchowieństwo. Równoległe z pracą szkolną trzeba od najmłodszych lat wciągać dzieci i młodzież w pracę społeczną, pojętą w pierwszym rzędzie jako praca nad sobą i praca dla bliźnich. Na tym odcinku organizacje społeczne winny zdobyć się na bardziej zdecydowane i systematyczne poparcie w pierwszym rzędzie harcerstwa.

Wychodząc ze szkół młodzież nasza angażuje się w różnym stopniu w bardzo różnorodnych formach organizacyjnych trwałych lub dorywczych jak organizacje takie jak KSMP, kluby sportowe, YMCA, Koła Związku Studentów, zespoły taneczne itd. Mnogość tych form stanowi w pewnym stopniu o ich sile, daje swobodę wyboru. Należy jednak szczerze powiedzieć, że na wielu terenach i na wielu odcinkach istnieje przesadna konkurencja, jeżeli wręcz nie walka o młode dusze. Usunięcie tego szkodliwego zjawiska wydaje mi się możliwe jedynie na drodze poważnego podziału prac, szczerzej, prawdziwie chrześcijańskiej współpracy i systematycznej koordynacji poczynań. Wydaje się, że nadszedł czas, by czy to z inicjatywy Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii, czy z inicjatywy duchowieństwa, czy też z inicjatywy jednej z większych organizacji społecznych np. SPK ustalić zasady podziału prac i stworzyć organ koordynacyjny prac młodzieżowych.

Dla starszej młodzieży powstanie z kolei problem wejścia w życie społeczne dorosłych. Trudno, wyobrazić sobie, by obecna młodzież zechciała w przyszłości zachować tę mnogość form organizacyjnych, których członkostwem szczyści się obecnie Zjednoczenie Polskie w W. Brytanii.

Prawdopodobnie już pora również i w interesie zaangażowania młodzieży w życie społecznym pomyśleć nad jego reorganizacją, która by dała w przyszłości trwałe zręby organizacyjne dla osób polskiego pochodzenia osiadłych w W. Brytanii. Ogromne znaczenie mają tu w pierwszym rzędzie parafie polskie. Pięknie rozbudowane, w wielu ośrodkach dookoła własnych kościołów, dają dużą nadzieję, na to, że będą przez bardzo długi czas również ośrodkami polskości. W żadnym jednak wypadku parafie nie mogą wykonać w pełni roli organizacji narodowej. Z natury rzeczy wykluczają ludzi odmiennych wierzeń, nie obejmują ośrodków małych, mają przede wszystkim zadania teistyczne,

nie mogą bezpośrednio angażować się w walkę polityczną. Należy zachęcać młodzież naszą do wchodzenia w życie parafialne, a szczególnie poza służbą kościelną, jak ministrantura, do czynnego udziału w pracy charytatywnej.

W dobrze zrozumiałym interesie ogólnonarodowym, w tej liczbie również w interesie parafii polskich, dla racjonalnego i powszechnego zaangażowania dorastającej młodzieży w życiu narodowym, leży wyłonienie w niezbyt odległej przyszłości powszechnej organizacji społecznej, do której przynależności poczuwałby się każdy Polak czy osoba polskiego pochodzenia, bez względu czy i do jakiej innej organizacji odcinkowej już należy.

Pomimo wieloletniego pobytu w tym kraju i w innych krajach wolnego świata nasze oddziaływanie na narody, które udzieliły nam gościny nie jest zbyt silne. Ten stan rzeczy może radykalnie naprawić nasza dorastająca młodzież, w pierw we własnym kręgu, w przyszłości w oddziaływaniu na całe społeczeństwo tubylcze. Zagadnienie P.O.S.K. nie jest oczywiście jako takie tematem dzisiejszej dyskusji. Jeżeli jednak ma dojść do powstania centralnego polskiego ośrodka opartego o duży „polski dom“ w Londynie to na jedną możliwość pragnę zwrócić uwagę. Młodzież z natury rzeczy lubi podejmować zadania samodzielne i mieć własne dokonania. Za interesowanie młodzieży P. O. S. K. aż do oddania w jej ręce współkierownictwa może przyspieszyć bardzo znacznie realizację projektu, usunąć elementy sporne, a w szczególności wykorzystanie P.O.S.K. jako polskiej karty wizytowej i jako ośrodka oddziaływania na społeczeństwo brytyjskie prawdopodobnie najlepiej zostałyby zrealizowane przez młodzież.

Dwa referaty oddane Państwu w formie broszur postawiły dwie podstawowe, bardzo optymistyczne tezy. Referat p. Paprockiego ukazuje oblicze ideowe młodzieży w Kraju, jako młodzieży w samym trzonie zdrowej, o wysokich, ideałach, których nie utraciła przez lata terroru, młodzieży, która nie gardząc rozsądkiem nie poddała się oportunistom. Mój referat: wyraził nadzieję, że pod zasadniczym warunkiem uszanowania prawa młodzieży do „kształtowania jej oblicza duchowego poprzez trudny proces świadomego wyboru“ i zharmonizowania ideałów polskich i ogólnoludzkich, młodzież na uchodźctwie utrzyma nasze życie narodowe, a narodowi w Kraju przyniesie rzeczywistą pomoc. Zapraszam do dyskusji nad oboma referatami oraz nad uzupełniającymi je

referatami Kol. Wawrzkievicza i Szadkowskiego.

Jeżeli czas pozwoli i cierpliwość Państwa nie zawiedzie, proszę również o wypowiedzenie się na temat przedstawionych dziś wniosków szczegółowych stwierdzających potrzebę:

- 1) pogłębiania wśród młodzieży uchodźczej znajomości spraw krajowych, a szczególnie młodzieży w Polsce,
- 2) stworzenia jednego systemu szkolnictwa w W. Brytanii i podniesienia jego poziomu oraz zasięgu zarówno w W. Brytanii, jak i w innych krajach polskiego osiedlenia,
- 3) systematycznego poparcia harcerstwa przez wszystkie organizacje społeczne i duchowieństwo,
- 4) podziału prac organizacji młodzieży i powołania organu koordynacji prac młodzieży,
- 5) zachęcania młodzieży do czynnego udziału w życiu parafii polskiej,
- 6) powołania powszechnej ogólnonarodowej organizacji społ., na terenie W. Brytanii, gdzie istnieją ku temu dostateczne warunki,
- 7) wykorzystania młodzieży w oddziaływaniu na społ. bryt., np. w ramach możliwości instytucji w rodzaju P.O.S.K.

W dyskusji nad problemem przedstawionym w referatach i w zagajeniu inż. Żaby padły następujące wypowiedzi:

- *Po ostatniej wojnie nastąpiły wielkie przemiany, olbrzymi rozwój techniki, dobrobyt, a brak równoczesnego postępu w dziedzinie podstaw etyczno-moralnych. Młodzież ulega przemianom zachodzącym w świecie, burzy się przeciwko obecnemu porządkowi, szuka idei, ale sama ich nie ma.*
- *Brak w życiu młodzieży nieformalnych zespołów złożonych z niewielkiej ilości osób, gdzie można by prowadzić dyskusje na tematy współczesnych problemów.*
- *Dwukulturowość jest jedynym słusznym rozwiązaniem w wychowaniu młodego pokolenia Polaków na emigracji.*
- *W wychowaniu młodzieży nie należy być ani szownistą, ani zaprzawnicem, dwukulturowość jest słuszną.*
- *Przy przyjęciu zasady dwukulturowości należy zwrócić uwagę na wychowanie polskie, angielską stroną zajmuje się szkoła.*

(Dokończenie na str. 28)

Notatnik kulturalny

HALINA KARSKA (HAL-KA) urządziła wystawę swych obrazów w sali Polskiej YMCA. Złożyło się na nią 7 portretów, 9 kwiatów, 11 widoków, 3 obrazy rodzajowe i 35 projektów tkanin. Wobec licznie zebranej publiczności otwarcia dokonała p. Irena Renata Andersowa. W serdecznych słowach przedstawiła ona sylwetkę uroczej i dzielnej koleżanki z wojska. Była też wzmianka o sympatycznym jej mężu Tadeuszu Krysku-Karskim, utalentowanym kompozytorze piosenek. M.in. jest on autorem popularnego „Siana“, znanego ze świetnego wykonania Renaty Bogdańskiej.

JÓZEF CZAPSKI, znany malarz i pisarz, osiadły od 1945 r. w Paryżu, miał w Galerii Grabowskiego trzecią swą wystawę w ciągu ubiegłych 10 lat. Złożyło się na nią kilkanaście płócien i rysunków. Na otwarciu zebrano się wiele osób z polskich kół literackich,

(Dokończenie ze str. 27)

- *Zbyt mało dzieci w szkołach przedmiotów ojczyźstych, a przecież od tych szkół zależy ile młodzieży zostanie w przyszłości związanej z polskością.*
- *Obserwuje się odkrywanie świadomości narodowej w okresie dojrzewania i nawrót do polskości.*
- *W warunkach w jakich wzrosło młode pokolenie, polskość jest luksusem, wymaga poświęcenia niewielkiej ilości wolnego czasu jaki zostaje na marginesie życia szkolnego, akademickiego czy zawodowego.*
- *Różnice pokoleń utrudniają współpracę, ale nic nie stoi na przeszkodzie, aby młodzi, którzy czynnie pracują wchodzili na kierownicze stanowiska zorganizowanego życia. Miarą jest osobista wartość i przygotowanie, a nie wiek.*
- *Odczuwa się brak przygotowanych młodych kierowników pracy, trzeba zorganizować kursy.*
- *Nie wszyscy rodzice rozumieją znaczenie dwukulturowego wychowania, trzeba do nich trafić i przekonać o jego wartości.*
- *Wychowanie polskie należy wiązać z całością życia w świecie.*
- *Należy się podziękowanie dla SPK za zajęcie się tym problemem i zorganizowanie zebrania. Podobne zebranie z młodzieżą jest konieczne.*

artystycznych, społecznych i towarzyskich. Wystawa trwała do połowy czerwca br.

TEKA „BIAŁE-CZARNE“ Haliny Sukiennickiej wydana została pod auspicjami „Społeczności Akademickiej U.S.B. w Wilnie“. Składa się na nią 15 plasz rysunkowych wykonanych piędzlem i tuszem indyjskim, oraz wstęp pióra M. Bohusza-Szyski, w języku polskim i angielskim. Druk wykonany został w oficynie Stanisława Gliwy. Rysunki reprodukowane są metodą offsetową w londyńskiej pracowni fotolito-graficznej Zachariasza i Andrzeja Jaworskich. Stronę tytułową zdobi linoryt kompozycji graficznej S. Gliwy.

W SALACH P.O.S.K. odbyła się łączna wystawa dwojga zmarłych malarzy: Roberta Bevana (1875-1925) i Stanisławy Karłowskiej (1906-1952). Złożyło się na nią ok. 70 prac, częściowo wykonanych w Polsce. Wystawa ta miała charakter manifestacji przyjaźni polsko-angielskiej. Otwarcia jej dokonał dyrektor London Museum dr D. B. Harden.

JADWIGA STRAWIŃSKA urządziła również w sali P.O.S.K. swą pierwszą wystawę w Londynie. Na pokaz ten złożyło się 45 prac olejnych. 30% dochodu z ich sprzedaży przeznaczone było na cele Polskiego Funduszu Bibliotecznego.

PROF. DR TADEUSZ KOTARBIŃSKI, senior polskich filozofów, otrzymał uroczyste nadany mu 13 maja br. tytuł dr. honoris causa z literatury na Uniwersytecie Oxfordskim. Razem z nim tytuł ten otrzymał ustępujący dyrektor i naczelny bibliotekarz British Museum, Sir Frank Francis. Podczas 3-tygodniowego pobytu w Anglii prof. Kotarbiński miał m.in. wykłady o prakseologii w Oxfordzie i w Londyńskiej Szkole Nauk Ekonomicznych i Politycznych Uniwersytetu Londyńskiego. Towarzysząca mu małżonka prof. dr Janina Kotarbińska miała tamże wykłady z semiotyki. Z Londynu pp. Kotarbińscy udali się do Brukseli celem wygłoszenia dalszych wykładów.

MGR. JAN OSTROWSKI, uczeń prof. Kotarbińskiego, na zebraniu naukowym urządzonym przez Polskie Tow. Naukowe na Obczyźnie i Polskie Tow. Historyczne w W. Brytanii, wygłosił odczyt pt. „Czyn i słowo — Zarys filozofii praktyki“. Po dokonaniu przeglądu dwóch głównych nurtów — analitycznego i praktycznego — w dziejach filozofii

prelegent wskazał na aktualność filozofii czynu, nawiązując do wiekowych tradycji w filozofii polskiej. W tok wywodów wplątane były urywki z „Fausta“ Goethego w przekładzie własnym (Jana i Heleny Ostrowskich).

„**LA FEMME FATALE**“, pod takim tytułem, dr Fryderyk Goldschlag wygłosił odczyt na zebraniu literackim Związku Pisarzy Polskich na Emigracji. Przedstawił on ten szczególnie typ kobiet, występujących często w postaci bohaterki utworów literackich.

HELENA ŻURKOWSKA-OSTROWSKA wygłosiła na zebraniu naukowym Sekcji Historii Kultury Polskiego T-wa Historycznego odczyt pt. „Wizerunek z gabloty Kazimierzy Hłakowiczówny“. Jak się wyraził przewodniczący zebrania, dziekan prof. J. Bujnowski — była to mikro-monografia o całokształcie twórczości poetyckiej i życia pisarki. Uwypuklona również została jej odrębność, a przy tym reprezentatywność dla poezji niepodległego międzywojnia.

J. Ostr.

KSIEGARNIA POLSKA W PARYŻU

123, Bld. Saint-Germain, PARIS 6.
Tel.: 326 04-42

OSTATNIE NOWOŚCI WYDAWNICZE

Hamel — „SŁOWNIK FRANCUSKO-POLSKI“ Fr. 20.00

Hamel — „SŁOWNIK POLSKO-FRANCUSKI“ Fr. 20.00

Marek Hłasko — „SOWA, CÓRKA PIEKARZA“
Nowa powieść znanego pisarza
206 stron Fr. 15.00

Zygmunt Zaremba — „SŁOWO O WACŁAWIE MACHAJSKIM“
Studium o polskim rewolucjonistcie, przyjacielu Stefana Żeromskiego
146 stron Fr. 9.00

Szymon Konarski — „O HERALDYCE I HERALDYCZNM SNOBIZMIE“
Źródłowy szkic historyczny
90 stron Fr. 12.00

— „POLSKA W PAMIĘTIKACH GEN. de GAULLE'A, 1944—1946“ (wznowienie)
Wybór tekstów i przedmowa Kajetana Morawskiego
40 stron Fr. 5.00

KRAJ KONTRASTÓW B.D.I.C

Sprawa przestawień struktury przemysłu, szybkiej koncentracji na wybranych gałęziach produkcji — pisał z początkiem roku jeden z publicystów „Życia Gospodarczego“ — jest warunkiem utrzymania się Polski wśród krajów o średnim poziomie uprzemysłowienia.

Przeostroża jak najbardziej na czasie. Warto się nad nią poważnie zastanowić. Dowodów potwierdzających groźne dysproporcje naszego życia gospodarczego, drobnych, poważnych i groźnych mamy pod dostatkiem na każdym kroku.

ŚWINOUJSCIE — NAJWIĘKSZA W EUROPIE BAZA PRZEŁADUNKOWA WĘGLA

Na piaszczystych wydmach Świnoujścia powstaje największy w Europie port przeładunkowy węgla. Tempo robót instalacyjnych jest szybkie. W ciągu roku uporano się z pierwszym etapem tej budowy, obliczonej trzy-etapowo na lat pięć. Port przeładunkowy już częściowo pracuje. W tym roku jego pierwsze czynne urządzenia załadują półtora miliona ton węgla eksportowego.

Na razie uruchamiana baza przeładunkowa wygląda jak kopalnia odkrywkowa pocięta torowiskami kolei. Są już w budowie ogromne „koło-czerpaki“, które zabierać będą węgiel z ogromnych pól składowych i przesypywać go na taśmociągi, które z kolei doniosą go do ładowni na statkach. Całość instalacji — uwzględniająca oczyszczanie i wazęnie węgla przed załadunkiem — kontrolowana będzie przez system elektroniczny usytuowany w specjalnej wieży, z której na cały port przeładunkowy będą wydawane dyspozycje elektroniczne.

Po rozbudowie port w Świnoujściu będzie mógł obsługiwać rudowęglowce o nośności 25-35 tys. ton. W pierwszym etapie, a więc w danej chwili, urządzenia bazy zdolne są do załadunku 2 tys. ton węgla na godzinę. Oznacza to, że przeciętny statek ładowany jest przez 10 do 15 godzin.

RENEANS RZEMIOSŁA

Związek Izb Rzemieślniczych informuje, że w roku 1967 nastąpił dynamiczny rozwój polskiego rzemiosła. Liczba zakładów rzemieślniczych wzrosła w ciągu zeszłego roku o 12.200 placówek, co w porównaniu z rokiem 1966 oznacza podniesienie stanu o 8,3%.

Tempo wzrostu zakładów rzemieślniczych jest równomierne, jednakowe na wsi i w miastach. Najszybciej jednak rozwija się rzemiosło eksportowe korzystające ostatnio — ze względów dewizowych — z poważnych ulg i ułatwień przyznanych mu przez administrację państwową. Wzrost eksportu rzemieślniczego z Polski wzrósł w ciągu zeszłego roku o 42%, co stanowi duży skok.

Należy jednak zaznaczyć, że możliwości w tej dziedzinie wykorzystywane są z wielkim opóźnieniem, gdyż obłądna polityka gospodarcza komunistów niszczyła przez lat dwadzieścia polskie rzemiosło ze względów doktrynalnych. Statystyki urzędowe rejestrując obecnie wzrost placówek tego typu — których w stosunku do rzeczywistych potrzeb kraju ciągle jeszcze jest o wiele za mało — nie podają, iż rozwijające się teraz rzemiosło długo jeszcze nie osiągnie stanu przedwojennego.

RZĘKA WÓDY CIĄGLE PRZYBIERA

Pełno w prasie krajowej utyskiwań na pijaństwo i złe skutki alkoholizmu. Wiadomo również, że monopol produkcji i sprzedaży spiritusu we wszelkich postaciach należy do państwa, a produkcja zależy nie tyle od popytu, co od planu. Otóż narodowy plan gospodarczy obecnej pięcioletki, załamujący się na wielu ważnych punktach, szczególnie istotnych dla spożycia wewnętrznego, w dziedzinie produkcji spirytusu bije wszelkie rekordy. Według danych Głównego Urzędu Statystycznego w roku 1967 nastąpił blisko 10% wzrost dostaw wódki na rynek wewnętrzny. Wniosek stąd oczywisty: władza ludowa niezdolna zaspokoić istotnych potrzeb społeczeństwa dokłada wszelkich starań, aby zaopatrzyć je w artykuł znieczulający świadomość beznadziejnego położenia.

DOBRO CZYNNY IMPORT

Skoro o wódcę mowa dodajmy jeszcze jedno. Zimą pojawiły się w sklepach importowane z Węgier aparaty do pędzenia bimbrow. Prosty aparat kosztuje zaledwie 250 złotych, co — jak już praktycznie obliczono — amortyzuje się w ciągu paru godzin. Nic więc dziwnego, że jeden z ostatnich trzeźwych dziennikarzy krajowych przewiduje, przy tak troskliwej władzy, aparaty te znajdą się wkrótce prawie w każdym polskim domu. Wolność picia okazuje się w Polsce gomułkowskiej ostatnią wolnością dostępną dla wszystkich.

TROSKA O KLIENTA

Lecz aparaty do pędzenia bimbrow jeszcze nie wyczerpały troski władz PRL o właściwe zaopatrzenie społeczeństwa w najbardziej nieodzowny w naszym klimacie przede wszystkim politycznym) trunek codziennego użytku. Troska ta idzie dalej. Uruchomiono ostatnio specjalne laboratorium do badania wody znajdowanej zamiast wódki w butelkach monopolowych. Badania laboratoryjne mają określać z jakiego wodociągu pochodzi wlewana do butelek woda: czy z Katowic, Lublina, Warszawy, Krakowa czy jakichś innych miejscowości. W ten sposób milicja otrzyma bliższe dane, gdzie należy szukać złodziei „polskiego gazu“. Drżycie więc kliki kombinatorów przed gniewem ludu!

„POMYSLNOŚĆ“ — WARTOŚĆ WZGLĘDNA

Samozadowolone władze krajowe twierdzą, jakoby plan uspołecznionego budownictwa mieszkaniowego wykonano w zeszłym roku pomyślnie, a nawet z pewnymi nadwyżkami. Zakładano — podaje sprawozdanie — wybudowanie 341 tysięcy izb mieszkalnych, a wybudowano ich nawet 348 tysięcy. Co się jednak okazuje? To ubożuchne osiągnięcie ma pewien istotny defekt: wybudowane w zeszłym roku izby są przeciętnie biorąc mniejsze niż budowane o rok wcześniej. Licząc więc osiągnięcia tego budownictwa w metrach powierzchni użytkowej okaże się, że plan nie tyle przekroczone, co naciągnięto. O tym, że nie zaspokojono w tej dziedzinie elementarnych potrzeb społeczeństwa powie nam inna statystyka.

WIĘCEJ NOWYCH MAŁŻENSTW NIŻ NOWYCH MIESZKAŃ

Przeprowadzony w roku 1966 spis mieszkań wykazał, że współczesna Polska dysponuje zasobem 7 milionów 800 tysięcy mieszkań, co w przeliczeniu na izby stanowi trochę ponad 20 milionów izb mieszkalnych, z czego jednak znaczna część — co najmniej 1/3 — wymaga modyfikacji. Średnie zaludnienie na pojedynczą izbę uległo w ostatnich latach wzmoczonego nieco budownictwa mieszkaniowego pewnej poprawie, gdyż w roku 1966 wynosiło 1,66 osoby na izbę, a w roku 1966 już tylko 1,53 osoby na izbę, lecz — niestety zmniejszyła się jednocześnie średnia wielkość nowobudowanych izb.

(Dokończenie na str. 30)

Wszakże najgorzej przedstawia się proporcja nowych mieszkań w zestawieniu z ilością nowych małżeństw, co dopiero uwidacznia istotne zapotrzebowanie na mieszkania. Otóż w roku 1966 na każde 1000 nowych małżeństw przypadało zaledwie 520 nowych mieszkań. Z wyjątkiem Warszawy wszystkie pozostałe miasta i rejony kraju rejestrują w tej dziedzinie katastrofalny niedobór. Potwierdza to tylko alarm fachowców, którzy stanowiąc twierdzą, że skutki katastrofalnej polityki mieszkaniowej w pierwszym powojennym dwudziestolecu nie będą nadrobione aż do roku 1985.

URZĘDNICY I MASZYNY

Prymitywne wyposażenie urzędów przesądza o bezproduktywnym wzroście urzędników administracji państwowej. Taki werdykt można wydać na podstawie analizy danych statystycznych GUS o stanie biurokracji wyposażeniu jej w sprzęt biurowy.

W krajach średnio uprzemysłowionych naszego kontynentu jedna maszyna biurowa przypada na 5 urzędników. Tymczasem w Polsce brak zaopatrzenia w nowoczesne urządzenia biurowe powoduje lawinowy wzrost zatrudnienia niskokwalifikowanych i mało wydajnych biuralistów. U nas w kraju jedna maszyna biurowa wypada na 22 urzędników (tak jest w większości województw), a jedynie w Warszawie i na Śląsku stosunek ten jest nieco korzystniejszy i bardziej porównywalny z Zachodem, bo wypada tam 9 urzędników na 1 maszynę.

W dziedzinie dostawy maszyn biurowych Polska uzależniona jest od Niemiec Wschodnich, gdyż nie rozwinęła własnej produkcji. Jest tym bardziej rażąca, że przed wojną przemysł nasz rokował na tym polu dobre nadzieje. Oblicza się również, że jednorazowy nakład sum wydanych w ciągu 4 lat na import maszyn biurowych jest w stanie pokryć koszt opłacalnej inwestycji na budowę polskiej fabryki takich maszyn, która w pełni mogłaby pokryć zapotrzebowanie rynku wewnętrznego. Tym więc dziwniejsze, że wiedząc o tym władze komunistyczne lokują ogromne sumy w inwestycje znacznie mniej opłacalne.

CMENTARNA GALANTERIA

Zakres pojęcia „galanteria“ staje się w Polsce coraz większy. Oto treść afisza rozplakatowanego ostatnio w Puławach:

„Podaje się do wiadomości, że ulega likwidacji nieczynny od 74 lat cmentarz położony przy ul. Kilińskiego. Życzenia co do ekshumacji ewentualnych szczątków zgłaszać należy na piśmie do Spółdzielni Pracy Galanterii Drzewnej.“

Wiślan

WACŁAW NETTER

KANCLERZ

MINISTER FINANSÓW

DEWALUACJA funta szterlinga w listopadzie 1967 roku miała nie tylko następstwa natury finansowej i ekonomicznej, ale spowodowała też zmiany w gabinecie rządu brytyjskiego. Ustąpił min. James Callaghan, a tekę i pieczęć Kanclerza Szachownicy przejął Roy Jenkins, który kierował przed tym Ministerstwem Spraw Wewnętrznych (Home Office). Zgodnie z obowiązującą praktyką parlamentarną w Westminster, każdy minister odpowiedzialny jest osobiście, zarówno za własne błędy i złe kierownictwo podległego mu departamentu, jak też nieudolność, zaniedbanie czy też niedociągnięcia całego personelu ministerstwa.

Trudno jest właściwie obciążyć min. Callaghana za stan gospodarki i chroniczny kryzys ekonomiczny W. Brytanii. Złożyło się na to wiele przyczyn. Nie bez winy są również i konserwatyści, którzy przez długi okres czasu sprawowali rządy. Stan obecny narastał powoli i przybierał coraz to wyraźniejszy obraz. Anglia przyjęła na siebie zbyt wielkie zobowiązania obronne w stosunku do swych możliwości finansowych. Do tego dochodzi pomoc krajom zacofanym gospodarczo, a w szczególności dawnym koloniom, obowiązki Londynu jako bankiera bloku szterlingowego, ogromny wzrost wydatków na agendy państwa opiekuńczego. Decydujący wpływ na pogorszenie sytuacji gospodarczej, spowodowała też zmiana stosunku świata pracy do państwa, atmosfera „każdy sobie rzepkę skrobie“, życie ponad stan, wydawanie więcej niż się zarabia, bez oglądania się na skutki. Wyraźne pogorszenie sytuacji nastąpiło po dojściu do władzy socjalistów. Nie udało się im uporać z trudnościami, zwiększyć eksportu, ani zatrzymać inflacji. Wielki przemysł brytyjski, jak również finansjera międzynarodowa nie mają zaufania do Labour Party, co jeszcze bardziej utrudnia sytuację rządowi Wilsona.

Callaghanowi zarzucano głównie dwie rzeczy: po pierwsze jego kilkakrotne publiczne zapewnienia, że

dewaluacji nie będzie, okazały się nieprawdziwe. Po drugie, że została ona przeprowadzona nieumiejętnie, w nieodpowiednim czasie i pod naciskiem banków zagranicznych. Wobec takiego obrotu sprawy min. Callaghan musiał ratować twarz i ustąpić.

Minister Finansów W. Brytanii, podobnie zresztą jak i w innych krajach, ma za zadanie zdobywać dochody na potrzeby państwa. Do jego obowiązków należy nakładanie podatków i planowanie rozchodów oraz ogólny nadzór nad fuduszami publicznymi. W dawnych czasach skarbu państwa, a właściwie monarchy, strzegł Lord Kanclerz (Lord Chancellor). Był to aż do czasów Henryka VIII. pierwszy minister królewski, główna figura Rady Przybocznej i wódz dochodów władcy.

SKARB

Początkowo sprawy finansowe podlegały Curia Regis to jest Radzie Przybocznej króla, która zbierała się okresowo celem rozpatrywania stanu skarbu monarchy. Z biegiem czasu wyłonił się z niej oddzielny urząd, wydział rachunkowy króla, zwany Exchequer, zajmujący się wyłącznie przychodami. Nazwa urzędu wywodzi się od szachownicy (Chequer), przy pomocy której obliczano aktywa i passywa skarbu. W czasie posiedzeń Rady pod przewodnictwem króla lub lorda Kanclerza, używano tej szachownicy i liczydeł do stwierdzenia stanu kasy. Szachownica ta znajdowała się na okrągłym stole na środku sali. Wokół niej zasiadali zaufani baronowie króla i skarbnik. Każda kratka szachownicy przedstawiała pewną określoną sumę pieniędzy. W miarę napływu dochodów skarbnik zakreślał odpowiednią ilość kratek i w ten sposób wiadomo było jakimi zasobami gotówki rozporządza władca w danej chwili. I choć był to system prymitywny, to jednak trzeba przyznać, że całkiem pomysły i łatwy w użyciu biorąc pod uwagę fakt, że żadne maszyny do liczenia nie były znane, a ludzie o wykształceniu matematycznym należeli do rzadkości. Z upływem lat urząd

SZACHOWNICY

WIELKIEJ BRYTANII

exchequer podzielili się na dwa działy: wyższy i niższy. Pierwszy prowadził zapisy i obliczenia przy pomocy szachownicy, drugi zajmował się liczeniem samych pieniędzy. Asystował przy tym przedstawiciel Lorda Kanclerza, który uzgadniał stan faktyczny kasy z zapisami działu wyższego. Z tego właśnie urzędnika poprzez szereg zmian i przeobrażeń wyłonił się dzisiejszy kanclerz szachownicy.

Izba wyższa urzędu Exchequer zmieniła również swój charakter. Oprócz zapisów i obliczeń podatkowych zaczęła zajmować się innymi sprawami związanymi jednak ze skarbem królewskim. Rozpatrywała odwołania od nadmiernych podatków i opłat, skargi na beżwzględność i korupcję urzędników skarbowych oraz mianowała seryfów, to jest agentów monarchy w terenie. Ich obowiązkiem było stać na straży pokoju i pilnować, by należne władcy daniny i opłaty były na czas ściągnięte. Zamiast baronów w radzie poczęli zasiadać lordowie: pierwszy lord skarbu, który z czasem został nazwany premierem, Kanclerz Szachownicy i pięciu innych lordów. Rada nie zajmowała się już więcej obliczaniem dochodów i rozchodów, lecz zbierała się w celu wysłuchania sprawozdania Głównego skarbnika i zdecydowania czy i ile należało podatki powiększyć.

Z chwilą, gdy Jerzy III zrzekł się kontroli nad skarbem w zamian za listę cywilną, to jest stałą dotację rządu na utrzymanie króla i dworu, rada straciła swą rację bytu i przestała się zbierać od roku 1856. Wtedy to właśnie doszedł do głosu i znaczenia Kanclerz szachownicy. Otrzymał od króla pieczęć skarbową i stał się odpowiedzialny za finanse państwa, z tą również różnicą, że nie wobec monarchy, ale wobec parlamentu i podatników. Z dawnych czasów zachował też pewne przywileje. Dziś, podobnie jak dawniej, bierze udział w uroczystym mianowaniu seryfów, które odbywa się corocznie, w dniu 12 listopada. Zasiada on wtedy pośród sędziów i dygnitarzy

królewskich w High Court w Londynie.

MINISTER FINANSÓW

Anglicy są mistrzami w sztuce wypełniania starych archaicznych form nową demokratyczną treścią. Zamiast zmieniać nazwy, przeprowadzać konieczne w tym celu ustawy pozostawiają stare tytuły, lecz nadają im nowe znaczenie. Kanclerz Szachownicy pozostał choć szachownica zniknęła dawno i bezpowrotnie z urzędu skarbnika.

Minister finansów zajmuje bardzo poczesne, bo trzecie miejsce w hierarchii gabinetu brytyjskiego. W jego rękach zbiegają się wszystkie nici związane z ekonomią kraju, dochodami i rozchodami państwa. On musi dbać o to, by machina rządowa miała środki finansowe do działania oraz, by administracja wydawała tylko tyle na ile stać skarb państwa. W miarę wzrostu wydatków jego obowiązkiem jest powiększyć dochody, lecz w taki sposób, by nie wpłynąć ujemnie na ogólny stan gospodarki kraju, a przede wszystkim nie obniżyć stopy życiowej szerokich warstw obywateli. Raz w roku Kanclerz Szachownicy przedstawia parlamentowi preliminarz budżetowy. Jest to przegląd finansów państwa oraz projekt podatków na rok następny. Budżet jest zwykle długo i szczegółowo dyskutowany na forum Izby Gmin. Jest też okazją do analizy sytuacji ekonomicznej i ataków opozycji na wszelkie niedociągnięcia rządu. Budżet musi być uchwalony przez parlament zanim może być wprowadzony w życie.

Wszystkie dochody państwa: podatki, opłaty, pożyczki itd. wpłacane są do wspólnej puli (Consolidated Fund) na rachunek rządu w Banku Anglii. Z tego funduszu pokrywa się następnie wydatki na administrację. Minister finansów jest gospodarzem tych państwowych funduszy. Wyплаты z konta bankowego odbywać się mogą tylko za zgodą „Głównego Kontrolera“, który czuwa nad tym, by były one zgodne z wolą parlamentu.

Praca ministra finansów jest bardzo niewdzięczna. Gladstone powiedział kiedyś, że stanowisko Kanclerza jest najbardziej niepopularnym urzędem państwowym. Wszyscy narokoło mają do niego pretensje. Urzędnicy wszystkich szczebli uważają, iż są za mało płatni. Departamenty administracji żądają więcej pieniędzy, niż skarb może im przydzielić, oraz narzekają na dyskryminację w stosunku do innych działów. Izba Gmin niechętnie zatwierdza projekty ministra finansów i krytycznie ocenia większość jego wydatków. Wreszcie szerokie rzesze obywateli choć chętnie akceptują świadczenia państwa na opiekę społeczną, oświatę i lecznictwo, ociągają się z płaceniem podatków i narzekają na ich zbyt wysoki wymiar.

W obecnej dobie gospodarowanie funduszami publicznymi jest bardzo trudne, uciążliwe i skomplikowane. Jest to zadanie ponad miarę jednego człowieka. Dlatego od stosunkowo niedawna przydzielono Kanclerzowi Szachownicy dwu innych ministrów: Głównego Sekretarza Skarbu i Ministra Ekonomii. Ten ostatni odpowiedzialny jest głównie za rozwój przemysłu i gospodarki kraju.

ROY JENKINS

Przyszłość funta i rządu socjalistycznego w Anglii zależy w dużym stopniu od zdolności nowego ministra finansów. Według wielu znawców był był to najlepszy kandydat z pośród możliwych, zdolny do przeprowadzenia uzdrowienia gospodarki narodowej. Posiada szeroką wiedzę teoretyczną z dziedziny ekonomii, ma za sobą praktykę administracyjną, którą zdobył na poprzednich stanowiskach, ministra awiacji, a następnie spraw wewnętrznych. Opanował doskonale taktykę parlamentarną, nie obce są mu też sztuczki proceduralne przy uchwalaniu ustaw. Jego wystąpienia na forum Izby Gmin są cięte, rzeczowe i inteligentne. Ogólnie biorąc, posiada wszystkie dane na to, by móc przeprowadzić skuteczną kurację niedomogów ekonomicznych W. Brytanii. Niektórzy widzą w nim rywala prem. Wilsona, a powołanie go na stanowisko ministra finansów jako pociągnięcie taktyczne. Gdy uda mu się uzdrowić gospodarkę

(Dokończenie na str. 32)

angielską, ocali nie tylko rząd Partii Pracy, ale też i pozycję premiera Wilsona. O ile nie podoła temu zadaniu zostanie automatycznie wyeliminowany z ewentualnych rozgrywek o tekę premiera.

Roy Jenkins pochodzi z Walii. Jest synem górnik i wychowankiem Oxfordu, gdzie miał okazję nie tylko kształtować swoje poglądy lewicowe, ale też zetknąć się z wielu wybitnymi politykami, którzy zasiadają obecnie w Izbie Gmin. Z górą rok spędził na studiach we Francji. Pobyt w Paryżu i współpraca z socjalistami francuskimi wywarły pewien wpływ na jego sposób myślenia. Jest on zwolennikiem wejścia Anglii do Wspólnego Rynku i uważany jest za zagorzałego „Europejczyka“.

Nowy Kanclerz Szachownicy parował się również piórem i to dosyć wydajnie. Napisał kilka książek, z których jedna została przerobiona na sztukę teatralną i wystawiona pt. „The Right Honourable Gentlemen“. Cieszyła się ona wielkim powodzeniem, a autor nosił się nawet z zamiarem porzucenia kariery politycznej i poświęcenia się wyłącznie pisaniu. Opracował też biografię H. Asquita, która stała się bestsellerem. Herbert Henry Asquit, idealizowany przez autora polityk, był przez jakiś czas Ministrem Spraw Wewnętrznych. W 1905 roku został Kanclerzem Szachownicy, a w trzy lata później — premierem.

Wacław Netter

BIBLIOTEKA „KULTURY“

Leopold Tyrmand

ŻYCIE TOWARZYSKIE i UCZUCIOWE

*Powieść o potędze małości
w socjalizmie*

Cena: sh. 43/6, F. 26, \$5.50

JANINA ORŁOWSKA

„Przechodniu

W momencie, gdy major Sawicz otworzył drzwi, pani Maria wiedziała, że decyzja wyjazdu na obchód 25-lecia Walk o Monte Cassino — została pożyta.

Krząta się więc w kuchence i jednocześnie słucha co mówi zaaferowany i ożywiony mimo zmęczenia całodzienną pracą, małżonek. Chwyta pojedyncze słowa, ale przecież i tak wie o co chodzi... „Młodzież..., harcerstwo..., niech jadą..., niech zobaczą i klasztor i cmentarz... My odejdziemy, oni zostaną...“ Chodzi po pokoju, lecz po chwili odsuwa szuflady i Maria wie, że przerzuca fotografie.

Marii nie trzeba zdjęć. Wystarczy przymknąć oczy, by zobaczyć Górę, klasztor — nie odbudowany, lecz ten w gruzach; sterczące kikuty drzew, kamienne schrony i u stóp Góry — cmentarz. A na pomniku napis: „Przechodniu powiedz Polsce, żeśmy polegli — wierni w Jej służbie“...

I znowu to obłędne koło myśli: gdyby Staś żył... gdyby... gdyby... Może starość nie byłaby tak samotna, może angielska ziemia byłaby mniej obca i przyjaźniejsza... Gdyby Staś żył...

W pokoju ucichło. Maria wie, że Zygmunt patrzy na fotografię syna i nie chce w tej chwili wejść do pokoju. Zygmunt nie powinien zobaczyć tych łez nieproszonych, a tak zawsze bliskich, bo wtedy wystarczy kilka słów i już będzie musiał wziąć tabletkę. Doktor powiedział, że musi wystrzegać się wszelkich wysiłków fizycznych i wzruszeń...

Pogodna już i uśmiechnięta wchodzi z herbatą. Ale rozmowa rwie się i smutek krąży jak ćma wokół pochylonych głów, których myśli skupiają się wokół jednego tematu. Odradzanie wyjazdu niewiele pomoże. Bo skoro Zygmunt raz postanowił, nic nie zdoła go odwieść od zamierzonego celu... „Może to ostatni raz. Bóg jeden wie“, myśli Maria.

Rano, wychodząc do pracy prosił żonę, by uporządkowała szuflady. „Szukając jakiegoś drobiazgu, przewróciłem wszystko do góry nogami...“

Uporządkowanie szuflady sprowadza się u Marii do przeglądania fotografii, jak i czytania, po raz nie wiadomo który, słów kreślonych w pośpiechu, słów pełnych młodzieńczej fantazji, radości i dumy młodego chłopca, że jest żołnierzem...

Jak nie przeczytać słów Stasia, jak nie zapłakać i jak nie zmówić pacierza za tych, co zginęli? Te wszystkie myśli tłoczą się w głowie Marii nie tylko dziś,

ale ilekroć spojrzy na fotografię syna, stojącą na biurku... Ileż to razy starała się sobie wytłumaczyć, że nie jest jedyną matką, która straciła dziecko, nie jest jedyną kobietą, której syn poległ na wojnie... Daremnie. Trudno jest powiedzieć: zginął i koniec. W myślach i sercu żyje i żyć będzie, choć tak żal tego młodego życia...

Postrzępiony na rogach i pożółkły zeszyt, zawsze nawinie się pod rękę, nawet wtedy — gdy Maria otwiera szufladę, by włożyć jakiś list, czy rachunek... Przysiada na brzeжку krzesła i otwiera go, choć właściwie mogłaby powtarzać treść jego z pamięci...

...„Od zdobycia tej góry zależy wszystko. Jeżeli zdobędziemy Klasztor — droga do Rzymu stanie otworem, a wtedy do Polski już tylko jeden krok!

Ryszard mnie pyta, czy nie boję się, że przecież możemy zginąć tak, jak zginęło tylu Francuzów, Anglików, Hindusów i wielu innych. Ale ja mam przeczuć, że my — my Polacy zdobędziemy Monte Cassino. Wszyscy nie zginą. Chciałbym przeżyć, by móc powiedzieć Ojcu, że ja także walczyłem z Niemcami. Ciekaw jestem czy On w niewoli będąc — wie o tym? Niemcy pobili nas we wrześniu, ale wojna nie skończyła się jeszcze i ostateczne zwycięstwo będzie nasze! Chciałbym, żeby Ojciec był ze mnie dumny. A Mama — na pewno płacze, ile razy o mnie pomyśli. Nie płacz Mamo. Twój syn walczy o Polskę...“

Ileż w tych słowach polskiej dumy i młodzieńczej zarozumiałości... I tkliwe słowa cisną się na usta, słowa — których on nie usłyszy...

Maria wyszukała kilka fotografii. Na jednej grupa małych, wygłodzonych chłopców, uratowanych przez wojsko; na innej kilku łobuziaków w watawnych fufajkach, ale buzie już zaokrąglone i wesołe. Staś między nimi. Takie skrząły 14-letnie... Jest i ta najbardziej ukochana: furażerka zawadiacko nasunięta na czoło i szeroki uśmiech na zuchowatej twarzy... — „Mój Boże, 17 lat... wzdycha Maria. — Całe życie było przed nim...“

Znowu czyta.

...„20 maja 1944 rok. Hurra! 18-go maja zdobyliśmy klasztor!

Ale od 17-go byliśmy w ustawicznym ogniu barażowym. Ogień zaporowy „Karpaty“ szalał, jak najgorszy huragan. Przeszło tysiąc armat rozpętało piekło na ziemi i na niebie, a w samym środku tego piekła Rysiek i ja. Nasz schron był raczej dziurą, na dnie któ-

powiedz Polsce...“



rej leżał płaski kamień. Pociski przelatywały nad nami bez przerwy, a my siedzieliśmy jak trusie, raz po raz wciśkając głowę w ramiona, aż bolała szyja. Byliśmy po dwóch dniach tak zmaltretowani i wykończeni nerwowo tym bezustannym hukiem, że nawet nie rozmawialiśmy ze sobą. Ogarnęło mnie odrętwienie i rezygnacja, a choć wierzyłem w swoją szczęśliwą gwiazdę — myślałem: nie ujdę z życiem. Zdawało mi się, że każdy pocisk leci do naszej dziury. I właśnie w tej sekundzie kamienne dno zadrżało pod nami. Spojrzeliśmy na siebie, zamierając z przerażenia. Czulem jak krew odpłynęła mi z mózgu, a ciało stężało w oczekiwaniu wybuchu. Przed oczyma, jak film w przyspieszonym tempie przelatywały obrazy — dom rodzinny, szkoła, zsyłka, wyzwolenie, gimnazjum w Barbarze... W ułamku sekundy zobaczyłem całe swoje życie. Wyobraźnią widziałem jak siła wybuchu wyrzuca mnie do góry razem z kamienną płytą i przysięgłbym, że czulem fizyczny ból w pogruchootanych koscicach. I nagle psssss... mój otepiał mózg ostatnim wysiłkiem zarejestrował syk niewypału, który w tej chwili wydał mi się głośniejszy od ognia artylerii. Zrobiło mi się gorąco i zimno, oklapłem dosłownie jak łach i pot zalał mi oczy. Osunąłem się na kamień i dopiero wtedy odetchnąłem...

I teraz nie wiem, czy to wstyd czy nie, że bałem się. Ciekaw jestem — czy wszyscy przeżywają takie uczucia? Wiem przecież, że żołnierz na froncie jest przygotowany na to, że może zginąć, ale jak to nagle staje przed tobą, ogarnia człowieka taki strach przed śmiercią...“

— Wszyscy się boją mój synu. Jedni przyznają się do tego, drudzy nie, a może zapominają o tym. Ale to jest uczucie, które towarzyszy każdemu żołnierzowi na każdym froncie — szepce Maria.

„... 28 maja. Jesteśmy na odpoczynku w okolicach Campobasso. Taki spokój panuje tutaj, że nie chce mi się wierzyć, że wojna trwa jeszcze, a my żyjemy. Chodzimy po górach, wstępujemy do włoskich gospodarzy i... zjadamy się czosnkiem. Dziwne, że nie nam tak nie smakuje tutaj, ale potem nie możemy ze sobą rozmawiać... Wieczorami w ogrodach i krzakach śpiewają słowiki, a mnie robi się tak tęskno za domem i za Tobą Mamo, że gdybym się nie wstydził, chyba zapłakałbym sobie czasem...“

„... Wyjechałem z grupą kolegów do

Neapolu. Widziałem w Królewskiej Operze Traviatę. Zwiedziliśmy Pompeje, a potem wdrapałem się na Wezuwiusz. Wyobrażasz sobie Mamo? Prowadził nas zboczami przewodnik. Czarna lawa wyglądała jak zastygła rzeka. Na dnie głębokich rozpadlin była jeszcze tak gorąca, że kiedy wetknęło się w szczelinę kawałek gazety, zatliła się, choć wulkan wybuchł jakieś 6 tygodni temu... I pomyśleć, że dotychczas znałem Zatokę Neapolitańską z obrazków...“

— Biedaku mój — tyle twego, coś zdążył zobaczyć. Pocałowała zawiadaczki zakrętas, którym Staś zakończył pisanie i zawstydzona własnym odrudchem — włożyła zeszyt do szuflady. Został jeszcze list, który Maria zna także na pamięć, ale musi go przeczytać, mimo wszystko; list od Ryszarda, kolegi Stasia.

„...Staliśmy w odwodzie. Nasze m.p. najdowało się w martwym polu niemieckiego ognia artyleryjskiego. Mieliliśmy w pobliżu strumyk i trochę drzew, co bardzo nam dogadzało, bo upał był dokuczliwy. Dzień 5-go lipca zapowiadał się gorący. Chlapaliśmy się wodą, wyglupiając się jak zawsze, będąc z daleka od ognia, a potem smażyliśmy sobie jajecznicę na prymusach. Tylko nasz radio-operator wylegiwał się na polówce, aż któryś żartując wywalił go razem z łóżkiem mówiąc, że chcemy posłuchać ostatnich wiadomości. Wygramolił się spod betów i tak jak stał w białiznie, wlaźł na carrier i założył słuchawki. Pokręcił przy radiostacji i krzyknął do nas: Hej, dziady sakramenckie — chcecie posłu... Nie skończył, bo w tej chwili w jego przewrócone łóżko grzmotnął pocisk. Huk wybuchu nas oszołomił, a jednocześnie odezwały się jęki rannych. Kto mógł rzucił się do opatrunków. Okazało się, że było 9-ciu rannych. Obejrzałem się za Staśkiem. Siedział oparty o drzewo — on zawsze w wolnych chwilach myślał o niebieskich migdałach — patrzył w niebo i uśmiechał się sam do siebie. Złość mnie porwała, bo ranni jęczeli i trzeba było odwiedzić ich na punkcie opatrunkowy. Podskoczyłem i wymierzając mu szturchańca w ramię zawołałem — Stasiu nie zgrywaj się na wariata. Ale Stasiuś tym razem nie zareagował na moją przyjacielską zaczepkę. Pozbawiony szturchańcem oparł się o drzewo — bezwładnie osunął się na trawę. Nie żył...“

— Jeden z tych białych krzyży stoi na grobie Stasia, świadczą wymownie, że tu leżą ci, co swe młode życie oddali „wierni w Jej służbie“...

Księgarnia S.P.K.

20, QUEENS GATE TERRACE,
LONDON, S.W. 7.

Anders Władysław
BEZ OSTATNIEGO
ROZDZIAŁU 35s

Sosnkowski Kazimierz
MATERIAŁY
HISTORYCZNE 63s

Rudnicki Jan
SŁOWA A CZYNY 65s

Narbut-Łuczyński J. A.
U KRESU
WĘDRÓWKI 52/6s.

Korboński Stefan
W IMIENIU
RZECZYPOSPOLITEJ 63s

Nowakowski Zygmunt
WIECZORY
POD DĘBEM 42s

Tomkiewicz Mina
BOMBY I MYSZY 35s

Grabowski Zbigniew
OJCZYŻNA EUROPA 50s

Kuniczak W. S.
THE THOUSAND
HOUR DAY 42s

Korboński Stefan
WARSAW IN EXILE 42s

Przesyłka każdej książki 4s.

„VESAK“ to wielkie święto buddyjskie. Trwa dwa dni w miesiącu maju, i przypomina o ogłoszeniu przez Gotamę Buddę zasad jego moralnej filozofii.

Miałem sposobność obserwować to święto w stolicy Cejlonu i jego okolicach. W Colombo i Madampe, które leży na północ od stolicy.

Zbudziło mnie, jak co dnia, mocne światło wczesnego poranku, które buchało na mój pokój przez dwa okna i szczeliny między górną częścią ścian a sufitem. Kruki, dwukrotnie większe od europejskich, na mój widok, kiedy wyszedłem na ganek, nie reagowały. Siedziały na palmach otaczających świątynię, obserwując bacznie co dzieje.

W pierwszych dniach mego pobytu na Cejlonie, widząc mnie, sfruwały z drzew i wrzeszczały. Drażniłem je zapewne swą białą twarzą, wyraźnie inną niż złote skóry Syngalezów. Widocznie już mnie dobrze znały, a może i słońce osmaliło mnie dostatecznie, że byłem dla nich tłem krajobrazu. Czekwały zaś na śniadanie.

Dwu czyścicieli ma Colombo, śmieciarzy, którzy pojawiają się ze swymi wozami w rannych godzinach, by ze zręcznością małp porywać kosze z wyrzuconymi przez gospodynie resztkami i kruki, które wyjadają z tych koszy resztki (szybko psującego się, w smagającym ziemię słońcu) jedzenia. Głównie ryżu i okruców płaczków, które tu zastępują chleb.

Poranek był okresem uspokojenia dla rozszalałych nocą i wieczorem, fal oceanu Indyjskiego. Morze delikatnie całowało białą wąską plażę ze złotego piasku. Granatowa woda, w pewnej odległości od brzegu, miała jasny pasek piany ubitej na skałach koralowych. Ocean był widoczny na kilometry, a łączył się z jasnym niebem, po którym szły wydęte płótna obłoków.

Po przeciwej stronie, patrząc z mego ganku, były domy szerokie, okazałe, z drzewa, coś jak dworki polskie, bo miały często i kolumnienki przed wejściem. Szerokie podwórza łączyły się z szeroką ulicą o nazwie rodziny królewskiej, która przed stu laty rządziła wyspą.

Mimo długotrwałych rządów angielskich, ludność odnosiła się z pietyzmem do potomka rodzimych władców, dziś skromnego urzędnika, który zajmował jeden z domków tej uli-

STEFAN LEGEZYŃSKI



ŚWIATŁO W

PRZEZ LĄDY

cy. Dopiero niepodległość zmieniła ten stosunek. Chciano nawet zmienić nazwę ulicy.

W tym tak zwyczajnym dla mnie obrazie ulicy (już przestałem zachwycać się pióropuszcami palm z podwieszonymi orzechami kokosowymi czy kolorowością domków na złotym piasku), nowy uderzył mnie element. Ozdoby. Wiszą kolorowe gwiazdy, różne inne figury geometryczne. Drga to na sznurach. Dużo tego, ale z przemyślnym umiarem, trafnością doboru kolorów. Piękne. Bo zaczął się: „Vesak“.

Przed dużym posągami Buddy, który stoi na zewnątrz świątyni, całe stopy płatków kwiatnych. Wypełniają one przestrzeń między kilku krzewami bananowymi. Dzieci ubrane odświętnie. Idą ludzie ku świątyni. Zajeżdża samochodem i kapłan. Hala świątyni zapełnia się. Słyszę jak wygłaszane jest kazanie. W południe zaś kilkadziesiąt osób, które wypełniły salę rozmyślań spożywa obiad, składający się z ryżu i owoców, podawanych na liściach palmowych zamiast talerzy. Jedzenie podnoszą do ust palcami, nie używają łyżek, ani widelców. Ręce mają umyte, a sami przybrani w szaty godowe. Przeważa jaśniejsza biel sarongów.

Ze świątyni wychodzi pochód. Idą pośrodku niosący dary, które ofiarowali Buddzie. Inni niosą naręcza płatków kwiatów. Kobiety kłękają, pochylają głowy do ziemi, przy nieruchomym, wpatrzonym w zaświaty Buddzie, składają mu swe dary. Sypią się kwiaty. W gromadzie uwydatnia się kapłan i starsi gminy.

Obserwuję z boku, nie biorę w tym udziału, ale kiedy zapraszają mnie, bym zajął miejsce do fotografii, która będzie pamiątką z tej wielkiej uroczystości, staję w gronie moich przyjaciół buddyjskich.

Idę przez uliczkę w stronę głównego traktu, oglądając bujające nade mną ozdoby. Są wśród nich i węże kolorowych lampek, czekających na wieczór. Mijam domek potomka królów Cejlonu. Właśnie wychodzi z niego, miły, w średnim wieku, ubra-

ny po europejsku, Syngalez. Mijamy się bez słowa. On także słyszał o mnie. Cała okolica zna mnie, początkowo byli tak zaniepokojeni jak moje kruki, później jakby przyzwyczaili się do mnie. O Polakach wiedzą coś niecoś, słyszeli o naszym męczeństwie. Paderewski to dla nich fabrykant fortepianów. Musiałem wyjaśniać, że wprawdzie zarobił w Ameryce dużo pieniędzy, lecz z gry na fortepianie. Patrzyli na mnie z niedowierzaniem, bo jak można zarobić dużo pieniędzy takim niepopłatnym zajęciem jak gra. Na Cejlonie Ignacy Paderewski na pewno by nic nie zarobił, choćby z tego powodu, że Budda nie był zwolennikiem rozrywek, a do nich należy muzyka obok teatru i tańca. Nie dotyczy to muzyki religijnej w czasie uroczystości religijnych buddyjskich.

Wieczór zamienił miasto, które objeżdżamy samochodem, wolno toczącym się wśród tłumów widzów, w fantastyczną panoramę świetlną. Od światła ziemi płoną obłoki. Jak przecinki w zdaniach, gdzie zdaniem są sznury lampek i ozdobnych konstrukcji papierowych oraz lampionów, które zwisają z olbrzymich drzew, jak płonące owoce, pojawiają się na naszej drodze olbrzymie, do kilkudziesięciu metrów wysokie, i nieomal równie szerokie, obrazy.

Jest to kilka scen z życia Buddy i jego uczniów, otoczonych wirującymi tarczami z kolorowymi lampkami. Namalowane tak, by tłum jednym rzutem oka mógł pojąć o co chodzi. Przypomina to europejskie malarstwo średniowieczne, a jeszcze bardziej malarstwo chińskie. Sceny mają wartość propagandową, uczuciową, walory malarskie słabe.

Dla mnie to tylko dekoracje i oszalałymi gra światła. Jedne lampki gasną, inne się rozświecają, i mimo ruchliwości dość prymitywnej konstrukcji, wszystko odbywa się sprawnie. Dla nich to głębokie przeżycie i religijne i artystyczne. Tym silniejsze, że życie ludności Cejlonu, za wyjątkiem górnej warstwy naprawdę bogatej, i wyjeżdżającej za granicę,

CIEMNOŚCIACH

I MORZA...

jest regulowane przepisami ich religii i ich dużą religijnością. Prawie każdy buddysta spędza nie tylko kilka dni corocznie na rozmyślaniach, w specjalnie w tym celu zbudowanych budynkach, ale wielu na szereg miesięcy przebiera się w szaty mnisze, i praktykuje za ich przykładem oderwanie się od spraw codzienności.

Syngalezi to naród, który również ściśle przylega do buddyzmu, jak Polacy do katolicyzmu. Przypominają mi również Polaków pod wielu innymi względami. Dobrotliwi, łagodni, serdeczni dla innych ludzi odmiennych od nich rasą, religią. Bezkarne pozwalają się wciskać Indusom, na swą wyspę, choć zasadniczo jest to zabronione.

Jednym z motywów, który pojawił się kilkakrotnie w czasie naszego objazdu, jest Budda siedzący w dżungli i zatopiony w rozmyślaniu, którego głowę chroni od ulewnego deszczu, rozpostarta tarcza głowy kobry, tego najbardziej jadowitego węża Azji. Obraz ten symbolizuje nie tylko miłość całej przyrody do „Lorda Buddy“, ale i jej bliskość do człowieka. I dziś spotkać się z kobrą można na krańcach stolicy.

Mały służący, którego gospodarz nie chciał zabrać w objazd światel, a który za moją protekcją zasiadł w samochodzie obok dzieciarni rodziny właściciela wozu, na widok kobry nad Buddą, podskakiwał do góry.

Wczesnym rankiem jedziemy do miejscowości Madampe, do świątyni buddyjskiej senama-yake-aramaya. W świetle dnia ozdoby, którymi przystroili się tak stolica, jak wioski i mijane miasteczka, nie robią już takiego wrażenia. Jest ich jednak wiele, a pewną nowość wprowadzają bramy tryumfalne, jakie spotykamy po drodze między miejscowościami. Też na cześć Vesaku.

Co jakiś czas nasza droga, długości 40 mil, przybliża się do oceanu, aby znów zanurzyć się w bezkresne, zdawało by się, lasy palmowe, główne obok herbaty bogactwo wyspy.

Świątynia niedawno zbudowana, wi-

doczny znak odradzania się buddyzmu od czasu zdobycia niepodległości, a obok jeszcze nie ukończony skarbiec. Wchodzę po wijącej się wokół kamiennego kopca, wysokiego na kilka metrów, drewnianej konstrukcji. W środku, w zagłębieniu złote pudełeczka, otwarte, aby można oglądać ich zawartość. Są w nich przywiezione z Indyj i Pakistanu relikwie buddyjskie, z ich miejsce świętych. Są włosy Buddy, są złote monety i drogie kamienie. Wąż oglądających ludzi pnie się. Każdy zatrzymuje się na chwilę. Powoli schodzi. Wokół rozsiadły się tysiące ludzi. Kilkanaście kobiet karmi pełną piersią niemowlęta. Nastrój sielski. Dowiedziawszy się od mych gospodarzy kim jestem, zarząd świątyni uśmiecha się do mnie. Jestem zresztą jedynym Europejczykiem na tej uroczystości. Później zamurują szczyt skarbcza na wieki. I strzec go będą przed złoczyńcami. Stoi, jak duży odwrócony kielich, na środku olbrzymiego placu.

Wracaliśmy o zmroku z Madampe. Do stolicy wjechaliśmy w nocy. Płonęła światłami. Tłumy gęste. Liczne samochody zwolniły nasze posuwanie się. Ale tym lepiej, bo można było lepiej oglądać dekoracje. Widziałem i Champs Elysees w ich niepowtarzalnym eleganckim oświetleniu i Oxford Street na Boże Narodzenie, kilka innych wielkich miast, Prater, ale światła Cejlonu na Vesak miały w sobie jeszcze większą potęgę, z dodatkiem egzotyki. Przez dwa dni nocą płonęła wyspa jak długa i szeroka. Ktoś kto nie wiedziałby, że to Vesak, a leciałby samolotem nad Cejlonem w czasie tych dwu nocy, myślałby, że to światła jakiegoś wielkiego miasta, znacznie większego niż Londyn.

Cejlon to wyspa szczęśliwa, ciepła, gdzie człowiek może żyć łatwo, a jego przyjemności są proste. Gdzie Vesak jest największym przeżyciem każdego roku. Kiedy wracam myślą do tej wielkiej wyspy, zawieszony jak order poniżej trójkątnej wstążki półwyspu Indyjskiego, widzę ją w światłach Vesaku.



Księgarnia S.P.K.

20, QUEENS GATE TERRACE,
LONDON, S.W. 7.

Wytężone przedstawicielstwo
Instytutu Literackiego i
„Kultury“ na Wielką Brytanię

Aleksander Hertz

SZKICE
O IDEOLOGIACH 20/-

Herling-Grudziński G.

INNY ŚWIAT 25/-

Singer Bernard

OD WITOSA
DO SŁAWKA 30/-

Witos Wincenty

MOJE WSPOMNIENIA
3 tomy 145/-

Zaremba Paweł

HISTORIA POLSKI
tom I 33/6

Przesyłka każdej książki 3s.

BIBLIOTEKA „KULTURY“

„Zeszyty Historyczne“

ZESZYT XIII 1968

zawiera m.in. prace:

T. Katelbach: ZET.

Wiktor Tomir Drymer: Zagadnienie żydowskie w Polsce 1935—1939.

Stanisław Kot: Wspomnienia (III)

Edward Puacz: Powstanie Warszawskie w notatkach Adama Bienia.

Witold Babiński: Ze wspomnień o Józefie Lipskim.

Tadeusz Romer: U kolebki pewnego sojuszu.

Jan Weistein: Scenariusz ministra Gafencu.

Wypadki krakowskie w ocenie sądu.

Cena: sh. 25/-, F. 15.00, \$ 3.00

GDY SIĘ JEST NA ŚWIECIE, LECZ JUŻ NIE DLA ŚWIATA

Słowo „eutanazja“ coraz silniej zakorzenia się w naszym codziennym słownictwie. Przetłumaczone dowolnie oznacza: „dobra, lub dobrowolna śmierć“ Sprawą moralną eutanazji zajmuje się dzisiaj nie tylko świat medyczny, ale i szary człowiek, może dlatego, iż żyjemy coraz dłużej i widzimy wokół siebie, codziennie, szeregi nieuleczalnie chorych starców, kalek paralityków i rakowatych, którym potrafiono za pomocą współczesnej wiedzy przedłużyć nie tylko samo, ledwo tlejące się życie — ale i także jego mękę. Wrażliwość społeczeństwa brytyjskiego na sprawy ogólnoludzkie wyraża się często w listach do redakcji poczytnych pism, i w dziale: „Letters to the Editor“ toczą się nieraz homeryckie boje przez długie miesiące.

Zagadnienie etyki lub zbrodni eutanazji nurtuje szarego człowieka coraz bardziej. Obecnie, odszedłszy od teoretycznych rozważań, czytelnicy brytyjscy, przeszli od tematu bezbolesnego uśmiercania beznadziejnie chorych, na inny temat, ściśle się z pierwszym łączący. Mianowicie na zagadnienie odpowiedzialności państwa za swoich starców, nieuleczalnych obywateli, za tych ludzi, którzy we współczesnym świecie wyścigu, pośpiechu i niecierpliwości — są obywatelami drugiej jak gdyby klasy. Warto jest zanotować kilka wypowiedzi, które podała prasa brytyjska w swojej kolumnie listów do redakcji.

„Mój ojciec — pisze pewna czytelniczka — cierpi na daleko posuniętą sklerozę. W coraz to rzadszych momentach jasności umysłowej — płacze, usuwa się z drogi, bo czuje, że przeszkadza, że denerwuje nas swym niedołęstwem. Gdy jednak po wielkich trudach i staraniach — gdyż lista jemu podobnych nieszczęśliwych jest bardzo długa — udało mi się umieścić go w domu dla starców, potrafił zmyleć czujność personelu i uciekł — z powrotem do nas. Co mamy robić? I mąż i ja pracujemy zarobkowo, wychowujemy dzieci, walczymy z dniem dzisiejszym, aby nie być dla nikogo ciężarem w odległym jeszcze, ale przybliżającym się jutrze naszej własnej starości. Państwo powinno nam pomóc — teraz. Państwo winno stworzyć takie warunki dla swoich starców i nieuleczalnych, w których nie czuliby się zepchnięci na margines społeczno-życia. Obowiązkiem państwa jest dopomożenie nam, ludziom w pełni sił, abysmy przede wszystkim mogli skoncentrować nasze wysiłki, pracę i nadzieje na wychowaniu młodego pokolenia — naszych dzieci, które są podstawą i przyszłością każdego państwa.“

PRZEWAŻNIE DLA PAŃ

Dodajmy od siebie, iż Szwecja stworzyła najidealniejsze domy dla starców jakimi może poszczycić się Europa, a jednak ich mieszkańcy nie czują się szczęśliwi. Procent samobójstw, czy też prób samobójstw w szwedzkich domach dla starców jest zatrważająco wysoki. W Anglii, niektóre sale dla nieuleczalnie chorych toną w świeżych kwiatach, przysłanych za darmo przez kwaciarnię, a kolorowe firanki wokół łóżek mają stworzyć namiastkę własnego kąta. Nad łóżkami zawieszono są słuchawki radiowe, a na każdym stoliku stoi lampka do czytania. Ale pacjenci, unieruchomieni w łóżkach, płaczą dalej bezbronnymi łzami starości, czy inwalidztwa, żebrać o powrót do swoich.

Ale wróćmy do listów czytelników, tego sejsmografu sumienia narodu.

„Mimo ciężarów, jakie narzuca na nas życie współczesne, każdy z nas opiekuje się własnym niemowlęciem, a jeżeli jesteśmy zmuszeni warunkami ekonomicznymi — oddajemy je na kilka zaledwie godzin do żóbkka. To tylko dla ludzi starych, dla nieuleczalnie chorych rodziców, którzy nam poświęcili swe napiętniejsze lata życia — nie mamy dzisiaj miejsca pod własnym dachem. Skazujemy ich na niemą rozpacz i na śmierć duchową, która kto wie, czy nie jest straszliwsza od śmierci fizycznej. Zgadnam się z opiniami wyrażonymi w innych listach, że państwo winno dopomóc — ale winno nam ono tę pomoc zaofiarować pod naszym własnym dachem. Nie wolno jest nam bowiem rozstawać się z naszym starym ojcem, czy kaleką matką, gdyż byli oni podporą ochroną i osłoda naszego dzieciństwa. Chcemy aby — gdy wreszcie nadejdzie ich czas — zagaśli przy nas, w kręgu naszej do nich miłości. Nie mamy prawa żądać od państwa, aby przejęło od nas ten obowiązek. Chcemy jedynie nieco pomocy: wizyta wykwalifikowanej pielęgniarki, obiad dla inwalidy, ugotowany podczas nieobecności domowników — przez zorganizowaną pomoc państwową, wyprowadzenie starca na spacer na kilka godzin — jednym słowem odciążenie pracujących w ich własnym domu — oto jak państwo może nam pomóc. Najlepsze bowiem domy świata dla starców, w najwspanialszym nawet państwie opiekuńczym nie mogą dać swym obywatelom „drugiej klasy“ jedynej rzeczy jaka jest im potrzebna — miłości. Gdyby zamiast nowych bloków biurowych państwowe pieniądze, pieniądze podatnika, poszły na werbowanie szeregów pomocników do-

owych, słowo „eutanazja“ byłoby szybko zapomniane.“

Oto dwa listy pracujących kobiet. Na ich tle warto przypomnieć tekst pewnego papyrusu pozostawionego w spadku dla syna przez staro-egipskiego skrybę świątynnego imieniem Api, dwadzieścia wieków temu:

„Podwój rację chleba, którą wydzielasz matce swojej. Znoś jej obecność z cierpliwą miłością, tą samą, z jaką ona nosiła ciebie w sobie. Wiele miała trosk przez swoją do ciebie miłość. Gdy urodziła cię w męce po długim czasie, przeznaczonym ci w jej łonie, karmiła cię własną piensią. Nie czuła wstrętu do twoich funkcji fizjologicznych, nie żałowała zachodu, aby umieścić cię w przyświątynnej szkole i codzień, latami, czekała na twój powrót z miską pełną strawy. A teraz, kiedyś dorósł i znalazł sobie własną kobietę, kiedy stworzyłeś wedle swego pragnienia swą własną rodzinę — pomyśl o matce. O tym jak cię karmiła i ochraniała: jak pochylała się nocą nad twym oddechem, jak ocierała pot z czoła w chorobie. O synu mój, oby nigdy matka twoja nie miała powodu do płaczu nad twymi postępkami, oby nie potrzebowała wznosić starczych rąk ku bogom, oby bogowie nie usłyszeli z jej ust najmniejszej na ciebie skargi...“

WŁOSCY PODRYWACZE

Jesteśmy w środku lata. Wiele z nas wybiera się do Włoch, po słońce, na odpoczynek i może, kto wie? ... na flirt, romans, spotkanie zaczarowanego królewicza?

Włosi od wieków cieszyli się opinią lowelasów, casanowów, czy mówiąc słownictwem Polski Ludowej — podrywaczy. Opinia taka, zdaniem Włoskiego Urzędu dla Turystyki, jest nie tylko krzywdząca, ale wręcz niezgodna z prawdą. Postanowiono więc przeprowadzić ankietę na temat natarczywości włoskich mężczyzn. Porozstawiano „pikiety“ młodych i ładnych dziewcząt w szeregu bardziej znanych włoskich miejscowości nadmorskich. Dziewczęta, ubrane w eleganckie i raczej skąpe kostiumy kąpielowe, „uzbrojone“ były w małe aparaty magnefonowe, zreczenie schowane w modnych słomianych torbach plażowych. W ten sposób przygotowane, przechadzały się przez parę godzin po nadmorskich promenadach, albo po prostu siedziały na plaży.

Pokłosie ankiety potwierdziło opinię urzędu turystycznego, gdyż statystyka

(Dokończenie obok)

zaczepki była raczej skromna: w Riccione nad Adriatykiem dziewięć-pułapka została zaczepiona 8 razy, z czego cztery — nie przez Włocha. W Lucrino pod Neapolem siedem razy — trzy nie przez Włocha, w Ostii pod Rzymem — dwa razy, w Amalfii i w Pesarze — tylko raz. Ponadto, jak zanotowały taśmy magnetofonowe — zaczepki młodych Włochów były bardzo kurtuazyjne. Były to raczej holdy dla urody dziewcząt niż chęć zawarcia bliższej znajomości. Zaczepiający cudzoziemcy natomiast byli nastroszeni co najmniej „romantycznie“, a jeden za swe zaloty został nawet odstawiony na posterunek policyjny.

RADA NA NIEUDANY WYPIEK

A teraz dobra rada pewnego słynnego ciastkarza z Oslo. Podał on niedawno przez radio wspaniałą sugestię norweskim gospodyniom, którym — jak każdej najlepszej nawet gospodyni od czasu do czasu coś w jej wypieku „nie wychodzi“.

„Jeżeli zamiast drożdżowej babki wyjmiecie z pieca ciężki zakalec, albo jeśli lekki biszkopt francuski „usiądzie“ wam w formie na kształt naleśnika, lub jeśli wspaniały tort orzechowy, ten z przepisu prababki, zapadnie się jak krater w samym środku — nie martwiecie się! W górę serca! Po prostu pokrójcie to swoje nieudane „dzieło“ na wąskie paski i wysuszczone dokładnie na sucharki. Sucharki zetrzyjcie następnie na tarce, albo w elektrycznym mikserze na mączkę. Przesypcie do słoika i użyjcie do następnego słodkiego wyrobu zamiast zwykłej mąki, lub — jeśli przepis tego wymaga — tartej bułki. Jestem gotów założyć się, że tort, czy placek upieczony na takiej mączce będzie miał wszystkie elementy do udanego wypieku w stanie niemal pół-fabrykatu. Moje własne cukiernicze początki były właśnie takie: słynne babeczki śmietankowe, po które co sobota przychodzi do mnie całe Oslo, miały swój początek w babce „piaskowej“, która podobniejsza była do babki z żelazo-betonu“.

A więc drogie czytelniczki, zanotujcie te wiekopomne słowa norweskiego mistrza i — w górę serca! — do następnego pieczenia nieudanego placka z morelami!

K. E.

**Dobry uczynek —
zachęcić przyjaciela
do prenumerowania
„ORŁA BIAŁEGO“**

MINI—SPÓDNICZKA I POLITYKA...

Kto myśli, że zrodzona przed trzema laty w Londynie mini-spódniczka nie ma nic wspólnego z polityką — jest w błędzie. Okazuje się, że mini-spódniczka, która podbiła Paryż i wdarła się przemocą do innych stolic świata, zaprzęta także głowy polityków i mężów stanu.

W Anglii spódniczki są najkrótsze na świecie, gdyż tak laburzystom jak i konserwatystom zależy na zdobyciu głosów w przyszłych wyborach i dlatego nikt sprzeciwu nie stawia w obawie, by nie zrazić potencjalnych wyborców.

W Rosji — wiadomo, kto ma ostatnie słowo. Kiedy jeszcze Nikita Chruszczow grał pierwsze skrzypce, nie solo wprawdzie — pokazano mu model męskich, wąskich spodni, lansowanych już wtedy na zachodzie. No i Nikita orzekł, że owszem, z punktu widzenia ekonomicznego są do przyjęcia, gdyż wychodzi mniej materiału. Taką samą opinię wydano o mini-spódniczkach.

W Polsce partia rządząca ma poważniejsze kłopoty i zostawia modę samym kobietom, które uważają, że co przychodzi z Londynu jest najmodniejsze, najładniejsze i w ogóle naj...

W Chinach gazety grzmiały, że „krótka spódniczka jest symbolem rewizjonizmu i narzędziem reakcji“. Poza tym, że „jest to wymysł drobnomieszczański“, dobry dla kobiet spod znaku Czang Kai Szeka, a nie dla córek Rewolucji Kulturalnej.

W Tunezji — prezydent Burgiba powiedział, „wolność musi mieć granice, nawet jeśli chodzi o długość spódniczek“. I choć nie wyraził zastrzeżeń co do mini-sukni jako takiej, to jednak zostawił kobietom swobodę uznania, gdzie ta granica ma się kończyć.

W Rumunii niektórzy politycy uważają tę kapitalistyczną modę za niegroźną. Inni zaś przypuszczają, że gdyby się przyjęła, wtedy Rumunia może być posądzona o „zdradę międzynarodowej solidarności proletariackiej“. Bezpieczniej wypowiadać się ani za ani przeciw.

Natomiast ostatni rząd grecki wykłął mini-spódniczkę razem z Meliną Mercouri twierdząc, że obie są amoralne. Zakaz noszenia jej spowodował, że jest ona poniekąd „sztandarem politycznym“ anty-reżymowo nastrojonych Greczynek.

Hiszpania odnosi się wrogo nie tylko do bikini, ale i do mini też. Kobieta, która się odważy na taką krok, może

być skazana na 10 tysięcy pesetów kary. Mimo to liczba kobiet, holdujących nakazowi podkasanej mody wzrasta, a obserwatorzy zagraniczni przypuszczają, że noszenie mini-spódniczki oznacza wrogie ustosunkowanie się do panującego reżymu.

W Persji ogłoszono, że „dziewczęta, które będą nosiły sukienki powyżej kolan, zostaną usunięte ze szkół i uniwersytetów.“ Mini-spódniczka jest tam uważana za oznakę walki z tradycją

Wypada jeszcze dodać, że Zambia uważa mini-spódniczkę za symbol imperializmu.

Ale, jak wszystkie gwiazdy i znaki na ziemi i na niebie wskazują, są to osatnie podrygi mini-spódniczki. Być może, iż o długich, do ziemi sukienkach też będzie można mówić prawie to samo, zamieniając mini na maxi. J. O.

ZAPOZNANY DOBROCYŃCA LUDZKOŚCI

W połowie ubiegłego lata, w przedwieczornej godzinie, kiedy ruch na słynnym londyńskim Piccadilly jest największy, zdumieni przechodnie i liczni turyści mieli możliwość obejrzenia pewnego starszego, zażywnego pana, który rozsiadłszy się na schodkach prowadzących do figury Erosa — która jak wiadomo, znajduje się pośrodku placu, — puszczał piękne, kolorowe bańki mydlane ponad głowy przechodniów. Zapytany przez stróża porządku publicznego, dlaczego wybrał sobie właśnie to miejsce dla puszczania baniek, a tym samym tamowania ruchu, starszy pan odpowiedział, że „puszcza je tutaj, bo tak mu się podoba“. Po czym, nie przestając wydmuchiwać przez słomkę coraz to wspanialszych baniek, tym razem jednak prosto w twarz policjanta — zaczął mu stawiać czynny opór.

Epilog tego sierpniowego popołudnia rozegrał się przed kilkoma dniami w londyńskim sądzie grodzkim, gdzie starszy pan, z zawodu lekarz, został skazany na sześć miesięcy więzienia z zawieszeniem, za nieodpowiednie zachowanie się w miejscu publicznym.

Doktor Robert X. w ostatnim słowie skierowanym do sędziego, który go skazał tak surowo, powiedział: „Czuję się niewinny, a co więcej czuję się wyrokiem ogromnie skrzywdzony. W tamten sierpniowy dzień, z gotowymi mydlinami w słoiku wybrałem się na Picadilly dlatego, aby smutnej, zagonionej i zmęczonej ludności londyńskiej dać nieco

(Dokończenie na str. 38)

GRYF PUBLICATIONS
LTD.

LIDIA I ADAM CIOLKOSZOWIE

ZARYS DZIEJÓW
SOCJALIZMU
POLSKIEGO

TOM I.

Str. 520

Cena: 63 sh.; F. 40.00; dol. 9.00

KSIĘGARNIA S. P. K.
20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.

INSTYTUT LITERACKI
SERIA „DOKUMENTY“

LEON MITKIEWICZ

Z GEN. SIKOKRSKIM
NA OBCZYŻNIE

(FRAGMENTY WSPOMNIENI)

Str. 398

Cena. 39 sh.; F. 23.00; dol. 5.00

KSIĘGARNIA S. P. K.
20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.

(Dokończenie ze str. 37)

radości. Bańka mydlana w słońcu wygląda bardzo pięknie, a my tak mało mamy słońca. Chciałem, aby przechodnie na widok mojej bańki — a jestem specem od baniek — olbrzymów — zastanowili się przez chwilę. Bo czymże jest życie, jeśli nie jeszcze jedną mydlaną bańką? Po prostu chciałem, aby przez to filozoficzne skojarzenie cieszyli się dniem dzisiejszym, słońcem i wogóle tym, że istnieją.

Doktor X. nie wytłumaczył jednak, dlaczego porozstawiał po kątach bliższą i dalszą rodzinę granatowej władzy i dlaczego chlusnął na policyjny hełm resztkami mydlin.

„Nie warto niczego robić dla ludzkości“ powiedział w stronę reporterów doktor X. i zgnębiony opuścił gmach sądu.

Z. G.

WOJCIECH STEFANSKI

W POGONI

Tradycyjne zebrania u Sewilskich w trzeci czwartek każdego miesiąca kończą się zawsze w maju na okres wakacyjny, i ulegają wznowieniu we wrześniu. Jasna rzecz, że majowe, przedwakacyjne zebranie z reguły poświęcone jest problemowi wyjazdu na urlop. Tegoroczne zebranie nie było pod tym względem wyjątkiem.

— My z mężem, naturalnie, będziemy na Riwierze, jak co roku — powitała nas Astrachańska. — A państwo gdzie się wybieracie?

Żona przewencyjnie kopnęła mnie w kostkę, poczem uśmiechnęła się słodko do Astrachańskiej.

— Wie pani, że na prawdę trudno nam się było zdecydować — powiedziała. — Tyle już człowiek widział... Ale ostatecznie postanowiliśmy pojechać do Portugalii. Tam jeszcze jest stosunkowo spokojnie i nie ma co krok tych tłumów turystów.

— Portugalia? — ożywił się major Miecz-Szabliński. — Co za zbieg okoliczności. Ja się też tam wybieram. Do Algarve, na południe. Kiedy tam kwitną drzewa migdałowe, to powiadam państwu, ósmy cud świata!

— No, to w tym roku już pan tych kwiatów migdałowych nie zobaczy, bo już przekwitły — zauważyłem.

Major spojrział na mnie wrogo.

— Tak pan sądzi? Ale tam nawet i bez kwiatów migdałowych raj na ziemi. Państwo też zapewne do Algarve? — zwrócił się do żony.

— Ach, nie! — odpowiedziała pośpiesznie. — My mamy taką małą wioskę na północ od Lizbony, której jeszcze nie odkryto.

„Pewnie, że nie odkryto“ — pomyślałem. — „Nawet my jej jeszcze nie odkryliśmy, skoro jedziemy, jak zwykle, do Brighton“. Ale Eweryński wtrącił:

— Tak, tak, nie ma to, jak takie ciche, spokojne, niezepsute cywilizacją osiedla. My z żoną także mamy taką ulubioną wioskę w Hiszpanii, w Galicji. Tam prawie nikt nie jeździ — cisza, spokój — żyć nie umierać, powiadam państwu!

— A czy państwu nie przeszkadza, że tam tyle deszczy? — zapytałem — Ostatecznie, również dobrze możnaby pojechać do Brighton.

Na słowo „Brighton“ po obecnych, z moją żoną włącznie, przebiegł jak gdyby prąd elektryczny.

— Do tej dziury? Wolałabym, żeby mnie żywcem pogrzebano! — histerycznie krzyknęła Genueńska.

— Z pana to prawdziwy humorysta — próbował moje słowa obrócić w żart gospodarz..

— Brighton? Wiesz, mój drogi, że wszystko ma swoje granice — z głębokim niesmakiem zauważyła moja żona.

— Niektórzy ludzie na prawdę nie mają poczucia humoru — z pogardą przygwoździła mnie żona doktora Dojdy.

Dyskretnie wycofałem się na ubocze, ku kredensowi, na którym stała pokazna bateria butelek, jak zawsze u Sewilskich. Przy drugim kieliszku dopadła mnie moja żona.

— Jeżeli jeszcze słowo powiesz o Brighton, rozwiodę się z tobą — syknęła. — Chcesz nas ośmieszyć na całe życie? Słyszałeś przecież, że każdy, dosłownie każdy, jedzie za granicę, prawda? Wobec tego pamiętaj — jedziemy do Portugalii, tak, jakeśmy się umówili.

Pozostawiony na uboczu, przysłuchiwałem się rozmowie. Do moich uszu dobiegały co chwila egzotyczne, pachnące kwiatami migdału i pomarańczy nazwy: Estartit, Glyfada, Biarritz, Positano...

— Skąd ci ludzie mają na to wszystko pieniądze? — po raz nie wiem który zadawałem sobie to pytanie, na które przeciętny śmiertelnik nigdy nie znajduje odpowiedzi.

Ale moja żona łatwo ją znalazła.

— Słyszałeś, co? — wybuchnęła, ledwo znalazliśmy się na ulicy — wszyscy, absolutnie wszyscy jadą za granicę, nawet tacy Genueńscy, chociaż wystarczy na nią spojrzeć, żeby wiedzieć, że tę sukienkę to już piąty raz przerabia, a my co? Jak co roku — do Brighton. Mama miała rację...

— Kiedy ci mówiła, żebyś za mnie nie wychodziła — dokończyłem znany mi na pamięć motyw — naturalnie, że miała rację. Szkoda, żeś jej nie posłuchała.

Skończyło się gorzkim przypomnieniem o zmarnowanym dla mnie życiu.

W Brighton pogoda dopisywała. Kopyta pawilonu księcia Regenta lśniły w słońcu i zadowolone tłumy rozkładały się na plaży. Właśnie z triumfem przytaszczyłem do żony dwa z trudem zdobyte leżaki, kiedy nagle żona drgnęła, jak ukąszona przez żmiję.

— Odwróć się! — syknęła.

— Co się stało? — zapytałem zdumiony.

ZA SŁONCEM

B.D.I.C

— Odwróć się natychmiast! Tam, koło kiosku z lodami stoi Astrachańska.

— Zdaje ci się — uśmiechnąłem się z pobłażaniem. — Przecież oni są na Riwierze, jak co roku.

— Chyba, że ich pensjonat nazywa się „Riwiera“ — parsknęła żona. — Ale z Anglii się nie ruszyli.

Obejrzałem się. Faktycznie, koło kiosku stała Astrachańska w plażowej sukni w wielkie kwiaty. Spojrzałem na żonę.

— Masz rację, to ona — stwierdziłem.

— Pewnie, że mam rację. Schowaj się, zanim cię zobaczy.

Przykucnąłem pośpiesznie.

— Widziała nas? — zapytałem.

— Chyba nie, bo jeszcze tam stoi. O, jest i Astrachańska! — informowała mnie żona. Nagle na jej twarzy odmalował się popłoch. — Idą tutaj! Schowajmy się pod leżaki!

— Zwariowałaś? — zaoponowałem — zobaczą wolne leżaki i siądą, i co wtedy zrobisz? Za stary jestem, żeby się bawić w odgrywanie jakiejś filmowej farsy.

W tej chwili żona odetchnęła.

— Skręcili na prawo — powiedziała spokojnie. — Jesteśmy uratowani.

Niestety, był to zaledwie początek. Od momentu spotkania Astrachańskich cały nasz urlop został przeorganizowany z myślą o uniknięciu powtórnego zetknięcia się z nimi. Zamiast spokojnie chodzić na plażę, wybieraliśmy się chyłkiem w jak najdalsze zakątki, gdzie spotkanie Astrachańskich wydawało się wykluczone. Nigdy nie szliśmy spokojnie i otwarcie, ale przemykaliśmy się pojedynczo pod domami, dając sobie wzajemnie znaki, że droga jest wolna od niebezpieczeństwa.

Po tygodniu takiej zabawy zbuntowałem się.

— Dostyc tego — stwierdziłem stanowczo — mam dostyc tej zabawy. Idę dziś na molo. Niech się mnie Astrachański wystrzeża, a nie ja jego.

— Ależ my jesteśmy w Portugalii! — błagała żona.

— A oni na Riwierze — odparowałem i wyszedłem z pensjonatu, nie oglądając się.

Do obiadu nie spotkałem Astrachańskich. Ale po południu los mi sprzyjał: przechodząc przez ulicę zobaczyłem Astrachańskiego, jak przyklejony do muru, zwrócony do mnie tyłem, ostrożnie wyglądał za róg domu. Podszedłem do niego niedostrzeżony i klepnąłem go po ramieniu.

— Jak zdrowie żony? — zapytałem przyjaźnie.

Astrachański skoczył na pół metra w górę.

— To państwo także tu? — wybelkotał.

— Jak pan widzi — odpowiedziałem nonszalancko. — W ostatniej chwili zadepeszuje nam z Portugalii, że trąba powietrzna zniszczyła nasz pensjonat. Zapóźno było na wyjazd gdzieindziej za granicę, więc przyjechaliśmy do Brighton.

Astrachański zaczął odzyskiwać równowagę ducha.

— A wie pan, że to ciekawe — zauważył. — Z nami było prawie identycznie to samo. Na trzy dni przed wyjazdem zawiadomiono nas, że willa na Riwierze, gdzie zawsze zatrzymujemy się, zagrożona jest zawaleniem na skutek osunięcia się gruntu. Co było robić?

— Gdzież to jest małżonka? zapytałem.

— Jeszcze w pensjonacie. Ja tak sobie wyszedłem na chwilę.

— Pójdę z panem — uśmiechnąłem się życzliwie.

Ale nasz spacer był dość utrudniony osobliwymi manewrami Astrachańskiego, który najwyraźniej unikał otwartych przestrzeni i lgnął do ścian domów, a przed przejściem ulicy ostrożnie wyglądał zza rogu.

— O co chodzi? Kogo pan unika? — zapytałem wręcz.

Astrachański zmieszał się wyraźnie.

— Ja? Skądże! Zdaje się panu — odpowiedział niepewnie.

Ale po pięciu minutach zmiekl.

— Widzi pan, trzy dni temu zobaczyliśmy z daleka Erywańskich, i żona — pan wie, jakie są kobiety — nie chce ich spotkać, że to niby mieliśmy być na Riwierze — pan rozumie?

— No, dobrze, ale przecież oni mieli być w Hiszpanii, w Galicji, prawda. Więc czego państwo się macie krępować? Zresztą, gdyby nie to osunięcie się gruntu...

Chwycił mnie za rękę.

— Słusznie, słusznie! Wybawił mnie pan z niesłychanie trudnej sytuacji! Ma pan rację! Niech pan pozwoli ze mną do pensjonatu, wytłumaczymy to razem żonie.

— Chętnie, ale pod warunkiem, że potem państwo wpadniecie do nas, i przekonacie moją żonę. Dochodziliśmy do pensjonatu Astrachańskich, kiedy nagle ten zatrzymał się, jak wryty.

— O co chodzi? — zapytałem.

— Patrz pan, tam na rogu! Major Miecz-Szabliński! A miał być w Algarve, w Portugalii!

— Widocznie była powódź i jego hotel doznał uszkodzeń, prawda? Chodź pan, przywitajmy się z majorem!

Drugi tydzień pobytu w Brighton upłynął nam znakomicie. Bawiliśmy się świetnie w gronie znajomych. Połowa paczki od Sewilskich zjechała do Brighton, ponieważ w ostatniej chwili okazało się, że nie mogą skorzystać z zamówionych zagranicą wakacji. Ale na odjezdnym zaprzysięgliśmy sobie stu procentową tajemnicę. Więc nie zdziwienie się państwo, jeżeli na najbliższym zebraniu u Sewilskich usłyszycie, że my byliśmy w Portugalii, Astrachańscy na Riwierze, a major Miecz-Szabliński w Hiszpanii.

Bo właściwie co to komu szkodzi? A nam to tak ułatwi życie domowe!

NAJLEPSZE PODARKI

Dla przyjaciół:

ZYGMUNT NOWAKOWSKI — Wieczory pod dębem

Cena 42s., przes. 2/6

MINA TOMKIEWICZ — Bomby i myszy

Cena 35s., przes. 2s.

Dla przyjaciół angielskich:

DAVID IRVING — Accident — The Death of General Sikorski

Cena 45s., przes. 1/6

W. S. KUNICZAK — The Thousand Hour Day

Cena 42s., przes. 4/6

w KSIĘGARNI S. P. K.

20, Queens Gate Terrace, London, S.W. 7.

DLA SZKÓŁ

Z początkiem roku szkolnego będą do nabycia następujące nowe wydawnictwa dla szkół przedmiotów ojczytych:

ANNA BOGUSŁAWSKA

U BABCI I DZIADKA

Książeczka do czytania dla dzieci przerabiających końcową część elementarza z ćwiczeniami w czytaniu zapoznajającymi dzieci z polskim alfabetem

ANNA BOGUSŁAWSKA

POCZĄTKOWA NAUKA CZYTANIA

Przewodnik dla nauczyciela

JADWIGA OTWINOWSKA

UCZMY SIĘ PISAĆ — Zeszyt III

105 ćwiczeń oraz 10 tekstów przeznaczonych na dyktanda

KSIEGARNIA S. P. K. — 20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.

Zbigniewa Grabowskiego

OJCZYZNA EUROPA

Niezwykle interesująca książka o 14 krajach kontynentu europejskiego. Wizerunek Europy powojennej, skreślony przez wrażliwego obserwatora, podróżnika, doskonałego znawcę jej historii i kultury.

Cena: £ 2.10.0

Str. 484

S k ł a d g ł ó w n y :

GRYF — KSIEGARNIA S.P.K.,
20, Queens Gate Terrace, London, S.W. 7.

Do nabycia w księgarniach polskich.

WYDAWNICTWA BIURA STUDIÓW S. P. K.

J. WAWRZKIEWICZ:

SPK wczoraj, dziś i jutro.

J. ŻABA:

Młódzież w polskim życiu narodowym poza granicami Kraju.

Z. SZADKOWSKI:

Polskie organizacje młodzieżowe na uchodźstwie.

Cena: 1/6

S. PAPROCKI:

Oblicze ideowe młodzieży w Kraju.

Cena: 3/6

KSIEGARNIA S. P. K.

20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.

Doskonała książka na nagrody młodzieży w szkołach przedmiotów ojczytych

ICH MŁODE LATA

JADWIGI OTWINOWSKIEJ

Opowieść o chłopcach z Legionów

Cena: 9/-

„GRYF” — 171, Battersea Church Rd.
London, S.W. 11.

Prosimy uprzejmie Prenumeratorów „Orla Białego” o adresowanie czeków i P.O. tylko na:
GRYF PUBLICATIONS Ltd.

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W. 11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf” — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. Oddział Redakcji we FRANCJI: „Syrena” — 20, rue Legendre, Paris, 17-e. Tel. WAG 0045, Editions ELKA S.A.R.L. c/c p. No. 5507-30 Centre Paris, oraz na pld. Francję — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.); w BELGII: J. Korab Bzozowska-Csáky, 19, rue Amédée Lnen, apt. 67, Bruxelles 3, konto poczt. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/I; w SZWAJCARII: S. J. Karolus, 10 rue Ingold, CH-2500, Biel-Bienne 4; w SZWECJI: Polski Komitet Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; we WŁOSZECH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTYNIE: „Libreria Polaca”, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.”, Dakang House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf”, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bienkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa”, L. Żukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. ORAZ OGNIWA S.P.K. W POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50. PRENUMERATA — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — względnie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy.

Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.

„cezaryzmie“, skoro rządy przedmajowe były niezym innym jak rządami oligarchów partyjnych.

Na horyzoncie ponurej terażniejszości zjawiać się zaczynają przebliski wolności. My epigoni partyjniactwa i sanacji już pewnie jej nie ujrzymy. Ale przyjdą nowi ludzie, którzy swój wysiłek skierują ku dobru kraju a nie partii.

Z poważaniem
Australia.

W. Drzymulski

**NIE SPOŁECZEŃSTWO POLSKIE
BYŁO WINNE**

Szanowny Panie Redaktorze,

Jestem czytelniczką „Orla Białego“ od 20 lat. Były w nim wypowiedzi b. dobre, dobre i słabsze, ale pierwszy raz artykuł p. F. Goldschlaga pt. „Czapkę wicher niesie...“ wzburzył mnie do tego stopnia, że nie mogę powstrzymać się od reakcji.

Po co rozdrapywać rany już podgojone? Wymienieni w artykule przedstawiciele partii byli tylko okrucem społeczeństwa. Czy, żeby powiedzieć, że społeczeństwo wydało takich polityków, trzeba obwinąć całe społeczeństwo biernością, brakiem poczucia przynależności do narodu, patriotyzmu itp.?

Nie można mówić o winie, a więc odpowiedzialności społeczeństwa, jeśli się zapomina o 100-letniej niewoli, a przytacza wypadki 20-lecia Polski odrodzonej.

Dlaczego wieszac psv na naszym społeczeństwie, którego niedomagania wynikały z zaledwie 20 lat istnienia samodzielnego, kiedy jeszcze nie wyrosło nowe pokolenie, wychowane w duchu państwowym i poczuciu przynależności narodowej.

Nie społeczeństwo polskie było winne biedzie (bo jest pracowite), nieuctwu (bo nie było nas stać na szkoły, czy nie mieliśmy jeszcze dosyć nauczycieli), ale winien ten krótki okres niepodległości i resztki pozostałości okupacji.

Z poważaniem

Maria Szymkiewicz

Hawthorn — Australia.

NADMIAR CZARNEGO KOLORU

Szanowny Panie Redaktorze,

Czytając oba artykuły pp. Ciołkocza i Goldschlaga, rację przyznaję temu ostatniemu. Nie zgadzam się tylko z p. Goldschlagiem, gdy twierdzi, że wybrańcy narodu grzeszyli biernością. Owszem grzeszyli, ale nadmierną aktywnością.

Niestety, mieliśmy wielu burzycieli i wichrzycieli, którym pachniała rewolucja rosyjska i którzy chcieli wpełznąć Polskę w sytuację podobną do rosyjskiej.

P. Ciołkosz chelpi się swymi wyczynami, że to on organizował i przeprowadzał strajki w Krakowie, Tarnowie i innych miastach. Pamiętam, jak często tacy agitatorzy spotykali się z kłonicą i widłami na wsi.

Dlaczego p. Ciołkosz nie starał się uspokoić robotników i chłopów, przedstawiając im sytuację młodego państwa?

Czy rzeczywiście w Polsce panował terror? Zdaje mi się, że wręcz przeciwnie, niezbyt surowo karano tych, którzy łamali prawo i chcieli w państwie tworzyć własne państwo. Dziś, gdy rozpatrujemy te sprawy z dala od Polski, widzimy rzeczywistość naszą w innym świetle: w Polsce nie było tak źle, jak się to p. Ciołkoszowi wydaje.

Z poważaniem

Szkocja.



L. Brown

JESZCZE O MUNDURZE MARSZAŁKA

Szanowny Panie Redaktorze,

W odpowiedzi na twierdzenie p. A. Stambrowskiego, w jego liście „Mundur Marszałka“ (O.B. Nr 47, czerwiec br.), że robienie z Piłsudskiego cywila uważam za ubliżenie jego pamięci odpowiadam, że jest to przekonanie błędne.

Nie będę dyskutował o spodniach Marszałka ani o ubiorze jego „podczas służby“, by nie sprowadzać dyskusji o Piłsudskim do poziomu groteski. Dziwię się formalistycy p. Stambrowskiego w tym wyjątkowym a znanym powszechnie wypadku. Obawiam się, że gdybyśmy dyskutowali z nim o Napoleonie pewno uznałby go także za cywila, bo „podczas służby“ ubierał się jak nikt w jego Wielkiej Armii. Jak Piłsudski miał się ubierać — w oczach p. Stambrowskiego — jak „leś-

nik“ (bo nie miał naramienników) tak Napoleon ubierał się zapewne jak „szwajcar“ eleganckiego kościoła paryskiego (bo nosił kapelusz stosowany na poprzek).

P. Stambrowski pisze, że nie będzie spierał się kiedy Piłsudski został Marszałkiem Polski i że wolno mu się było pomylić. Na pewno tak, tylko że p. Stambrowski myli się co do wszystkiego niemal, jeżeli chodzi o życiorys Piłsudskiego. Chociaż wolno mu było „ewentualnie omylić się“ co do daty nominacji marszałkowskiej, to nie należało dorabiać do tego fantastycznej historyjki o nagłości tej nominacji i innych jej rzekomych okolicznościach. Nie jest także zbyt uprzejmie ze strony p. Stambrowskiego odwoływać się do osoby trzeciej o „wyjaśnienie tej kwestii“ gdy podałem z całą dokładnością datę i przez kogo nominacja nastąpiła.

W ostatnim liście moim (O.B., kwiecień br.) wyraziłem się dobitnie co do rzekomego nadania Józefowi Piłsudskiemu godności Marszałka Francji, nazywając to fantazją p. Stambrowskiego. Ponieważ mimo to żąda on bym wyjaśnił, „kto zmusił Francuzów do nadania Piłsudskiemu stopnia Marszałka Francji“ wyjaśniam, że nikt ich nie zmuszał i godności tej Piłsudskiemu nigdy nie nadali.

Łączę wyrazy poważania

Adam J. Dąbrowski

Londyn, W. 5.

K R Z Y Ż Ó W K A Nr 606/68

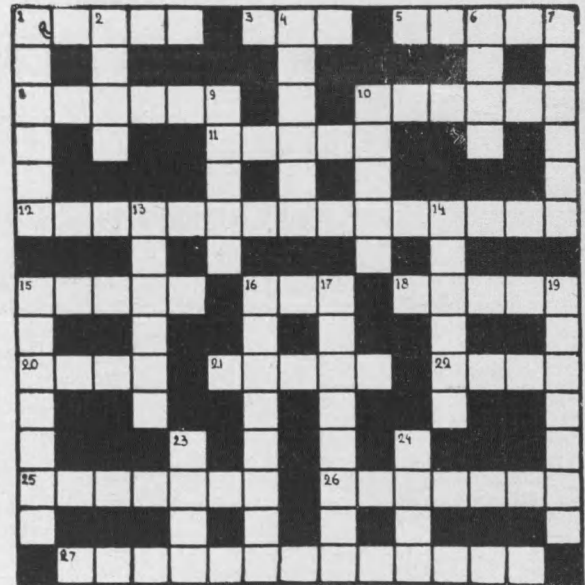
ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 1) starodawny rycerz; 3) i 16) uosobienie ciszy i spokoju; 5) symbol natchnienia poetyckiego; 8) ozdoba ubioru, niekoniecznie kobieca (wspak); 10) lachman; 11) gramatyczne nie działają w maszynie (wspak); 12) wskazanie dla smutnych i chorych (6, 2, 7); 15) i 18) niesłusznie na ostatnim miejscu; 20) orzeka o winie; 21) podobno (wspak); 22) przy niej król i kawaler?; 15) miasto w Kastylii (wspak); 26) miasto w Szwajcarii; 27) obraz Matejki (7, 6).

Pionowe: 1) wileńskie imię; 2) i 6) hrabiowska funkcja w artylerii?; 4) jeśli stawiasz na cudze to nie bierzesz odpowiedzialności; 7) opinia gramatyczna; 9) pierwszy grzech; 10) beżmyślna grupa; 13) autor Prometeusza w okowach? 14) dramatis personae; 15) imię męskie; 16) król polski, który pisywał najczulsze listy miłosne; 17) przyjaciel Patroklesa; 19) można go wpisać w koło; 23) i 24) możesz nią być w rękach losu.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 605/68

Poziome: 1) i 5) marionetka, 3) i 16) randka, 8) i 10) Zebrzydowska, 11) sława, 12) jak u siebie w domu, 15) Wigry, 18) amory, 20) amok, 21) Widmo, 22) zero, 25) Kapitol, 26) zabiegi, 27) krzak goręjący.



Pionowe: 1) mazgaj, 2) ryby, 4) branka (wspak), 6) test, 7) utrata (wspak), 9) biesy (wspak), 10) datek, 13) udreka, 14) Damazy, 15) władyka, 16) dziwoląg, 17) Almanzor, 19) wiekowy (wspak), 23) Etna, 24) zbój.

Czytaj książkę polską

GRYF PUBLICATIONS i GRYF PRINTERS

Z A P O W I E D Z I W Y D A W N I C Z E

W najbliższej przyszłości ukażą się następujące książki:

Mariusz Kułakowski

ROMAN DMOWSKI W ŚWIETLE LISTÓW I WSPOMNIENÍ

Staraniem Instytutu R. Dmowskiego w USA

Henryk Gruber

WSPOMNIENIA I UWAGI

1892 — 1942

Str. 650

Cena £ 3.0.0

PIĄTY PUŁK PIECHOTY LEGIONÓW „ZUCHOWATYCH“

Opr. GUSTAW ŁOWCZOWSKI

Nakł. 5-go Pułku Piechoty Legionów

Paweł Zaremba

HISTORIA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

Wydanie 2-gie przejrzone i uzupełnione

Herminia Naglerowa

TU JEST POLSKA

Sztuka w 4-ch aktach — Opr. i słowo wstępne Tymona Terleckiego

Zygmunt Nałęcz

WSZECHŚWIAT I PAŃSTWO

t. I i II

K S I Ę G A R N I A S. P. K.

20, Queens Gate Terrace, London, S.W. 7.

Tel. KNI 3500